

**REPUBLIKA UCZONYCH**



Zbigniew Drozdowicz

**REPUBLIKA UCZONYCH**

**BEZ NAMASZCZENIA**



Poznań 2018

KOMITET NAUKOWY  
Jerzy Brzeziński, Zbigniew Drozdowicz (przewodniczący),  
Rafał Drozdowski, Piotr Orlik, Jacek Sójka

Wydanie I

PROJEKT OKŁADKI  
Jacek Zydorowicz

REDAKCJA, KOREKTA I ŁAMANIE  
Michał Staniszewski

© Copyright by Wydawnictwo Naukowe  
Wydziału Nauk Społecznych UAM 2018  
© Copyright by Zbigniew Drozdowicz 2018

ISBN 978-83-64902-61-1

Wydawnictwo Naukowe Wydziału Nauk Społecznych  
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu  
60-569 Poznań, ul. Szamarzewskiego 89c

DRUK  
Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak

# Spis treści

Od autora ■ 7

Rozdział I

**Władze uczelni ■ 11**

1. Średniowieczne tradycje ■ 12

2. Współczesne modele zarządzania uczelniami ■ 19

3. Zarządzanie polskimi uczelniami ■ 26

Postscriptum ■ 38

Rozdział II

**Autorytety naukowe na miarę czasu ■ 43**

1. Przykładowe ujęcia problemu ■ 43

2. Tak zwane epokowe autorytety ■ 51

Postscriptum ■ 57

Rozdział III

**Samodzielność naukowa ■ 61**

1. Trochę historii ■ 62

2. Samodzielność naukowa w USA ■ 70

3. Samodzielność naukowa w Polsce ■ 76

Rozdział IV

**Młodzi uczeni ■ 83**

1. Źródła informacji ■ 83

2. Przykłady osiągnięć ■ 88

3. Mój subiektywny punkt widzenia ■ 93

Postscriptum ■ 98

Rozdział V

**Doświadczenie i entuzjazm w nauce** ■ 101

1. Kilka opinii w sprawie ■ 101
2. Kilka przykładów w sprawie ■ 105
3. Kilka sugestii w sprawie ■ 111

Rozdział VI

**Wrażliwość i drażliwość uczonych** ■ 115

1. Przykładowe ujęcia ■ 115
2. Studium przypadków ■ 120
3. Kilka ogólniejszych uwag ■ 126

Postscriptum ■ 130

Rozdział VII

**Czytanie ze zrozumieniem** ■ 133

1. Czytanie z nastawieniem ■ 135
2. Czytanie „między wierszami” ■ 139
3. Czytanie selektywne ■ 143
4. Kilka ogólniejszych uwag ■ 146

Postscriptum ■ 149

Bibliografia ■ 153

## Od autora

Tak zwany trzeci wiek skłania niejedną osobę do różnego rodzaju rachunków życia i współżycia z innymi, a czasami również do wniosku, że gdyby się dzisiaj miało pierwszy lub drugi wiek i obecny rozum, to niejedną rzecz zrobiłoby się lepiej, lub przynajmniej inaczej. Jednak co było, to było i już nie wróci. Jest rzeczą normalną, że w życiu nie wszystko wychodzi tak, jakby się chciało. Jest również rzeczą normalną, że po latach chętniej się mówi o tym, co się udało niż o tym, co nie wyszło tak, aby można było tym się później chwalić. Jeśli już ujawnia się jakieś błędy, to chętniej to robią mniej lub bardziej życzliwi nam zewnątrzni obserwatorzy niż my sami. Rzecz jasna, nie znają oni tych wszystkich szczegółów, które sprawiły, że nie okazywaliśmy się tak doskonali, jakbyśmy sobie życzyli. Jednak nie muszą ich znać. Niewiele bowiem wniosłyby one do sprawy, albo nawet mogłyby stanowić jakąś zasłonę dla tych życiowych porażek, które występują w życiu każdego – również tych uczonych, którzy zapisali najbardziej znaczące karty w historii nauki. Tak czy inaczej, warto sięgać do ich autobiografii, jednak dobrze je skonfrontować z tymi biografiami, które oparte zostały na rzetelnej dokumentacji życia uczonych.

W tej książce takie biografie są przywoływane. Nie stanowią one jednak jedyne źródła informacji o tych uczonych, którzy są w niej prezentowani, a tym bardziej jedynej podstawy formułowanych przeze mnie różnego rodzaju wniosków i ocen. W końcu przez lata bycia członkiem społeczności akademickiej i ze współżycia z tak mocno zróżnicowanym gronem osób nagromadziło się sporo spostrzeżeń. Nie wszystkimi z nich chciałbym się podzielić. Celem tych rozważań nie jest bowiem ani „wylewanie gorzkich żalów”, ani też pomniejszanie tych wielkości, które wprawdzie w praktyce nie okazywały się tak wielkie, jak im się wydawało, jednak przypomnienie o ich największych słabościach w moim przekonaniu nikomu nie jest potrzebne. Jednak przypomnienie nieco mniejszych jest niezbędne, aby nie wyglądali oni na jakieś boskie istoty.

W tym, co chciałbym powiedzieć i powiem na temat republiki uczonych, staram się jednak unikać tego patosu, który spotyka się nie tylko

na kartach hagiografii, ale także w okazjonalnych mowach pochwalnych (takich, jakie wygłasza się na różnego rodzaju jubileuszach oraz pogrzebach). Stąd owe tytułowe „bez namaszczenia”. W życiu akademickim są jednak takie sytuacje, w których swoisty patos nie tylko jest wskazany, ale także oczekiwany, a jego brak mógłby stanowić świadectwo braku akademickiego obycia. Dobrym przykładem może być patos, który występuje w wykładzie wygłoszonym w 1932 r. przez prof. Kazimierza Twardowskiego (osoby z wieloletnim doświadczeniem akademickim) z okazji przyznania mu przez Uniwersytet Poznański tytułu doktora *honoris causa*<sup>1</sup>. Już jego tytuł – *O dostojęństwie Uniwersytetu* – jest patetyczny, a stanowi on jedynie zapowiedź tego patosu, który się wyraża w takich stwierdzenia, jak: „Ilekcroć wymamiam wyraz »Uniwersytet«, czynię to – przynaję – z pewnym namaszczeniem”. Można oczywiście znaleźć również takie przykłady wygłaszanych z tej samej okazji wykładów, w których wprawdzie również brakuje akademickiego patosu, ale wyrażany jest on jednak z pewnym „przymrużeniem oka” lub nawet z „biciem się w piersi”. Przykładem może być przywoływany w jednej z części tych rozważań wykład prof. Leszka Kołakowskiego, wygłoszony z okazji przyznania mu tytułu doktora *honoris causa* przez Uniwersytet Łódzki<sup>2</sup>. Jeśli już miałbym podać jakiś przykład takiego mówienia o republice uczonych bez namaszczenia, które jest mi stosunkowo bliskie, to wskazałbym na *Umysł zamknięty* Allana Blooma. Nie podchodzę jednak do niego „na kolanach”. Różni mnie od Blooma nie tylko generalizująca ocena tego, kto i co „zawiodło demokrację i zubożyło dusze dzisiejszych studentów” (zdaniem tego autora jest nim amerykańskie szkolnictwo wyższe), ale także, a nawet przede wszystkim przyjęta przeze mnie perspektywa rozważań (stanowią ją uniwersytety europejskie, w tym polskie).

Nieco zagadkowo może również wyglądać występujące w tytule tej książki określenie „republika”. Etymologicznie pojęcie to wywodzi się z łac. *res publica* i w dosłownym tłumaczeniu oznacza tyle, co „rzecz pospolita”. W najbardziej pospolitym rozumieniu termin ten oznacza taką formę ustrojową państwa, w której organy władzy pochodzą z wy-

<sup>1</sup> Por. K. Twardowski, *O dostojęństwie Uniwersytetu*, Uniwersytet Poznański, Poznań MCMXXXIII.

<sup>2</sup> Już jego tytuł (*Diabeł kłamie również, kiedy mówi prawdę*) stanowi świadectwo, że jego autorowi z namaszczeniem nie jest po drodze. Zob. *Honoris Causa. Księga pamiątkowa ku czci Leszka Kołakowskiego*, Wyd. Łódzkie – Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1994, s. 17 nn.



boru jego obywateli i mają oni jakąś kontrolę nad wykonywaniem przez te organy swoich obowiązków. Ta forma ustrojowa w różnym czasie i w różnych miejscach zawierała istotnie różniące się rozwiązania w zakresie uprawnień i obowiązków występujących w niej władz. W XVII stuleciu (w pismach Johna Locke'a) i w XVIII (w pismach Monteskiusza) pojawiały się koncepcje ich podziału na trzy władze, tj. ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. W republikach uczonych można wprawdzie znaleźć pewne analogie do tego podziału, jednak w wielu istotnych szczegółach różnią się one od rozwiązań politycznych. Spróbuję to pokazać w pierwszej części swoich rozważań. W bezpośrednim związku z nimi pozostają rozważania dotyczące autorytetów w nauce – nie tylko dlatego, że pojęcie „autorytetu” w językach zachodnich oznacza również władzę, ale także, a nawet przede wszystkim dlatego, że w takim specyficznym obszarze ludzkiej aktywności, jaką stanowi nauka, to właśnie autorytety najwięcej znaczyły i znaczą. One również różnie wyglądały i funkcjonowały w różnym miejscu i czasie. Zdarzało się nawet, że zamieniały się swoją pozycją z tymi, które wcześniej funkcjonowały na marginesie nauki. Problem ten wiąże się bezpośrednio z podjętą w kolejnej części tych rozważań kwestią wrażliwości i drażliwości uczonych. Krótko mówiąc, trudno jest mi sobie wyobrazić osiągnięcie czegoś istotnego w nauce bez tego szczególnego rodzaju wrażliwości i drażliwości, jaką wykazują się uczeni. Czasami bywają one utrapieniem dla ich bliższego i dalszego otoczenia, a nawet dla nich samych. Bywa jednak również i tak, że okazują się one dla nich jeśli nawet nie jakimś zbawieniem, to przynajmniej takim wybawieniem, które sprawia, że mogą chociażby na moment oderwać się od myślenia, co by tu jeszcze zrobić, aby świat lub przynajmniej najbliższe otoczenie o nich nie zapomniało. Tak czy inaczej, jakoś trzeba żyć z tą wrażliwością i drażliwością. Ani ta pierwsza, ani ta druga nie dawałaby jednak wielkiej szansy na sukces w nauce bez tego specyficznego doświadczenia i entuzjazmu uczonych. Problem polega nie tylko na posiadaniu jednego i drugiego, ale także na takim dopasowaniu ich do siebie, aby szły one w miarę zgodnej parze do takiego celu, jakim jest – mówiąc wzniośle (za Twardowskim) – „osiąganie prawd i prawdopodobieństw” oraz dzielenie się nimi z tymi wszystkimi, którzy jeszcze do nich nie doszli, ale chcieliby dojść. Z reguły o ten entuzjazm łatwiej jest w wieku młodzieńczym niż w podeszłym. Natomiast z doświadczeniem jest odwrotnie. W nauce reguła ta ma jednak nader liczne wyjątki. Tej kwestii poświęcam również jedną z części swoich rozważań. Na końcu podejmuję problem czytania ze zrozumieniem. Dotyczy również czytania tej książki.

Jeszcze kilka słów na temat oryginalności zawartych w niej rozważań. Zapewne niejeden z jej czytelników będzie miał na ten temat własne zdanie. Tutaj chciałbym jedynie odpowiedzieć na pytanie, jak się one mają do moich wcześniejszych wypowiedzi na temat uczonych i nauki. Przyznam nieskromnie, że takich wypowiedzi sporo już się uzbierało (szczególnie w ostatnich kilkunastu latach). Nie mam niestety zbyt wiele na swoje usprawiedliwienie. Powiem jednak otwarcie, że wypowiadanie się na piśmie traktuję jako swój zawodowy obowiązek, a jego wypełnianie nie przysparza mi aż tak wielu problemów, aby w końcu zaniechać tego zajęcia. Nie bez znaczenia jest również występująca w ostatnich kilkunastu latach wzmożona intensywność akademickiego życia w Polsce.

Wszystko to jednak nie miałyby przełożenia na pojawienie się moich stosunkowo licznych publikacji na temat uczonych i uczelni, gdyby nie życzliwość i wyrozumiałość dla mojego piarstwa redaktorów tych czasopism, które udostępniają mi swoje łamy. W tym miejscu chciałbym podziękować zwłaszcza prof. Jerzemu Brzezińskiemu (redaktorowi naczelnemu „Nauki. Kwartalnika PAN”), Piotrowi Kieracińskiemu (redaktorowi naczelnemu „Forum Akademickiego”) oraz Grzegorzowi Filipowi (zastępcy redaktora naczelnego tego miesięcznika). Niektóre z zawartych w tej książce rozważań miały swoją pierwotną wersję w tych czasopismach. Żadne z nich nie pojawiło się w niej bez zmian.

Dług wdzięczności mam również wobec tych wielu osób, które przez lata mojej pracy na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu stanowiły wsparcie dla moich zmagania z nauką i akademickim nauczaniem, a także wobec tych, którzy wprawdzie nie okazywali mi pomocy, ale swoim postępowaniem sprawili, że raczej nie pozostawało mi nic innego niż zajmować się pisaniem, publikowaniem i wykazywaniem, że jednak potrafię coś więcej niż zajmowanie uczelnianego etatu. Chcę również podziękować tym moim kolegom i współpracownikom, którzy przez te lata wysłuchiwali moich zwierzeń na temat podejmowanych przeze mnie problemów. Mam nadzieję, że jeśli nawet któremuś z nich nie pomogłem w realizacji jego zawodowych planów, to przynajmniej znacząco mu tego nie utrudniłem.

Największy dług wdzięczności mam jednak wobec mojej Małżonki, która przez te wszystkie lata godziła się na poświęcanie przeze mnie aż tyle czasu moim akademickim zajęciom.

## Rozdział I

# Władze uczelni

To, kto i jak pełnił i pełni obowiązki uczelnianych władz, miało i ma wpływ na losy tych uczelni, a były przecież również takie sytuacje, w których decydowało o ich dalszym byciu. Dostarcza to argumentów tym, którzy uważają, że władze te powinny mieć na tyle szerokie uprawnienia, aby mogły w zasadniczym stopniu wpływać na rozwiązywanie najistotniejszych dla funkcjonowania uczelni kwestii. Należą do nich m.in. osoby, które miały decydujący wpływ na ostateczny kształt obowiązującej w Polsce od 1 października 2018 r. ustawy o szkolnictwie wyższym, nazywanej *Ustawą 2.0*. W jej świetle bowiem rektorzy, senaty i rady uczelni publicznych otrzymują takie uprawnienia, że aż strach się pomyśleć, co się może dziać na takiej uczelni, na której znajdują się one w nieodpowiednich rękach. Warto przyjrzeć się temu problemowi nieco szerzej. Nie pojawił się on bowiem dzisiaj i nie dotyczy jedynie polskich uczelni. Pokazują to dzieje tych uniwersytetów, których początki sięgają czasów średniowiecza. W tych odległych wiekach władzę nad nimi sprawowały jednak nie tylko organy uczelniane, ale także kościelne oraz świeccy władcy. Stąd w tych rozważaniach będą mówił nie tylko o uczelnianych władzach, ale także o tych władzach, które usytuowane były poza strukturami uczelni. W tych europejskich krajach, które jeszcze niedawno wdrażały w życie przyspieszony kurs marksizmu-leninizmu i przynajmniej w teorii zmierzały do krainy „szczęśliwości”, nazywanej komunizmem, możliwości decyzyjne znajdowały się do przełomu z 1989 r. w ręku tych sił politycznych, które same siebie uznały za wiedzących najlepiej, czego potrzeba społeczeństwu, w tym społecznościom akademickim. Jako to będzie wyglądało w bliższej i dalszej przyszłości na polskich uczelniach po wprowadzeniu w życie *Ustawy 2.0*, można oczywiście spekulować. Nie ulega jednak dla mnie wątpliwości, że znaczenie będą miały nie tylko formalno-prawne regulacje, ale także faktyczne potrzeby uczelnianych społeczności i ich zdolność do rozwiązywania

swoich problemów. Generalnie uważam bowiem, iż kondycja wyższych uczelni zależy w większym stopniu do działań konkretnych ludzi, natomiast w mniejszym od wyznaczających ich ramy rozwiązań formalno-prawnych.

Nie oznacza to oczywiście, że ci, którym przypadła rola uczelnianych decydentów, nie muszą się liczyć z takimi uwarunkowaniami swoich działań, jak konkretne oczekiwania i potrzeby uczelnianej społeczności. Wszystko to jednak skłonny jestem zaliczyć do tych wyzwań, którym te władzę muszą stawić czoła. Jeśli nawet nie z każdym z nich zdołają się oni uporać, to przynajmniej powinni podjąć taki wysiłek, aby na koniec móc z pełnym przekonaniem powiedzieć, że zrobione zostało w danej sprawie wszystko to, co było możliwe. Rzecz jasna, będzie im o to tym łatwiej, im w większym stopniu znajdą zrozumienie w tej społeczności. Nie jest o to jednak łatwo nawet tym, którzy chcą i potrafią każdego wysłuchać i chcieliby każdemu przychylić przysłowiowego „nieba”. Rzecz w tym, że to, co przez jednych postrzegane jest jako owe „niebo”, przez innych może być i niejednokrotnie jest postrzegane jako coś takiego, czego chcieliby uniknąć; i na końcu może się okazać, że w gruncie rzeczy nikt nie jest zadowolony. Taki jednak zdaje się być los nie tylko tych władz, które chciałyby ze wszystkimi żyć w zgodzie, ale także tych, którym do dobrego samopoczucia wystarczy samozadowolenie lub zadowolenie stosunkowo nielicznego grona osób. Jak to wygląda w wydaniu uczelnianych władz, przedstawię w dalszej części tych rozważań.

Chciałbym jednak już na ich wstępie wyraźnie powiedzieć, że w moim przekonaniu siła akademickich społeczności bierze się nie tyle ze zbiorowej mądrości, ile z tej mądrości, która jest udziałem jej najlepiej przygotowanej do wykonywania swoich obowiązków i najbardziej mobilnej części. W tym gronie można oczywiście znaleźć osoby pełniące funkcje jednoosobowych lub zespołowych organów kierowniczych uczelni. Można jednak również od czasu do czasu spotkać się z takimi uczelnianymi decydentami, którzy sami siebie uznali za kogoś w rodzaju „męża opatrnościowego” swojej uczelni i krzywym okiem spoglądają na tych, którzy powątpiewają w ich nieomyślność. W tej kwestii wypowiadam się nieco szerzej w części rozważań zatytułowanej *Wrażliwość i drażliwość uczonych*.

## 1. Średniowieczne tradycje

Dla nikogo, kto orientuje się w realiach uczelni wyższych, nie powinno ulegać wątpliwości, że o ich kondycji i społecznej pozycji stanowi nie tylko to, co jest dzisiaj, ale także to, co miało miejsce w przeszłości i to niekiedy

tak odległej, że pamiętają ją głównie historycy. W Europie takich uczelni jest jednak stosunkowo niewiele. Nie będę ich jednak tutaj wyciszał, bowiem takie informacje można znaleźć bez większego trudu w różnego rodzaju opracowaniach poświęconych europejskim uniwersytetom. Chciałbym natomiast przywołać te modelowe rozwiązania w zakresie ustroju uczelni, które występowały na europejskich uniwersytetach w okresie średniowiecza.

Od momentu pojawienia się pierwszych uniwersytetów (miało to miejsce w końcu XI i na początku XII stulecia) wzorowane były one na rozwiązaniach kościelnych. Do dzisiaj zresztą stanowiska rektorów, dziekanów i kanclerzy występują w kościelnych strukturach organizacyjnych, a nawet posiadają w nich większe zróżnicowanie niż na wyższych uczelniach<sup>1</sup>. W różnych modelach uniwersyteckiego ustroju różne były jednak sposoby wyłaniania tych władz oraz posiadały one różne uprawnienia. W modelu bolońskim funkcję rektora (łac. *rector* – władca, zarządca) pełnił student<sup>2</sup>. Był on wybierany na to stanowisko przez społeczność studentką i posiadał uprawnienia zwierzchnie nie tylko w stosunku do studentów, ale także profesorów. W wykonywaniu obowiązków pomagali

<sup>1</sup> W świetle aktualnie obowiązującego Kodeksu prawa kanonicznego rektorem może być osoba duchowna, powoływana na to stanowisko przez ordynariusza. Do jej obowiązków należy – poza wykonywaniem obowiązków liturgicznych – sprawowanie opieki nad kościołem parafialnym lub kapitulnym, należącym do domu zakonnego lub stowarzyszenia zakonnego życia. Dziekanem jest w nim kapłan kierujący dekanatem. Wyróżnia się w tym Kodeksie m.in. stanowiska dziekana generalnego, kapitulnego i honorowego. Natomiast kanclerzem jest osoba duchowna, która prowadzi sprawy związane z biskupią kancelarią. Por. *Kodeks prawa kanonicznego*, Pallottinum, Poznań 1984. W świetle obowiązujących w Polsce regulacji prawnych rektorem może być osoba, która posiada co najmniej stopień doktora oraz jest zatrudniona w danej uczelni jako podstawowym miejscu pracy. Statuty uczelni publicznych z reguły podnoszą te minimalne progi (m.in. poprzez wymóg posiadania stopnia doktora habilitowanego). Rektorowi uczelni cywilnych przysługuje zwyczajowy tytuł *Magnificencji* (z łac. wspaniałość) oraz uprawnienie do noszenia togi z gronostaju lub sobolowego futra, berła i łańcucha z symbolami uczelni. Natomiast rektorzy uczelni wojskowych podczas różnego rodzaju oficjalnych wystąpień noszą mundury swoich formacji oraz naszyjniki z symbolami swojej uczelni.

<sup>2</sup> „W Bolonii główną cechą wyróżniającą jest to, że profesorowie nie należą do uniwersytetu. Korporacja uniwersytecka skupia tylko studentów. Profesorowie tworzą kolegium doktorów. Właściwie w Bolonii jest kilka uniwersytetów. Każdy fakultet stanowi osobną korporację. Ale przewaga dwóch uniwersytetów prawniczych – prawa cywilnego i kanonicznego – jest prawie absolutna. [...] Na czele instytucji stoi najczęściej tylko jeden rektor. Jak w Paryżu, wyłoniony zostaje przez nację, których system w Bolonii jest bardzo żywotny i bardzo złożony”. J. Le Goff, *Inteligencja w wiekach średnich*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 1997, s. 81.

mu: syndyk (zajmował się sprawami finansowymi), notariusz (zajmował się sprawami kancelarii i uczelnianego archiwum) oraz adwokat (bronił studentów przed sądami). Ten model uczelnianego ustroju występował nie tylko na uczelniach włoskich, ale także w innych częściach ówczesnej Europy (m.in. w Akademii Krakowskiej).

W odróżnieniu od niego w modelu paryskim funkcje rektorskie i dziekańskie zarezerwowane były dla profesorów uczelni. Jacques Le Goff opisując urząd paryskiego uniwersytetu, podkreśla, że wzorowany był on na korporacjach rzemieślniczych. Był on wprawdzie korporacją kościelną („nawet jeżeli wielu spośród jego przedstawicieli nie miało święceń”), ale w odróżnieniu od korporacji rzemieślniczych nie posiadał monopolu na rynku miejscowym („jego polem działania jest cały świat chrześcijański”).

W ciągu wieku XIII ustala się jednocześnie jego organizacja administracyjna i zawodowa. Składa się on z czterech fakultetów: sztuk, dekretów, czyli prawa kanonicznego [...], medycyny i teologii. [...] Fakultetami, które nazywano wyższymi (dekretów, medycyny i teologii), kierowali profesorowie tytularni, czyli regenci, z dziekanem na czele. [...] Na przestrzeni tego stulecia wyłania się wreszcie zwierzchnik uniwersytetu: jest nim rektor fakultetu sztuk. [...] Przewagę tę zawdzięczał liczności swoich członków, ożywiającemu go duchowi, a jeszcze w większym stopniu swojej roli finansowej<sup>3</sup>.

W następnych stuleciach nie tylko przybywało w Europie uniwersytetów, ale także następowały liczne modyfikacje tych dwóch podstawowych modeli ustrojowych uczelni. Na uczelniach francuskich na znaczeniu traciło m.in. stanowisko kanclerza<sup>4</sup>, natomiast na angielskich zyskiwało; przykładowo: „w Oksfordzie biskup Lincol, oddalony o 120 mil od uniwersytetu, oficjalnie zarządza uczelnią za pośrednictwem swego kanclerza, ale wkrótce uniwersytet wchłania urząd kanclerza, którego sam wybiera...” Przynajmniej w części jednak umacniała się pozycja uczelnianych

---

<sup>3</sup> „Rektor artystów, dysponując finansami uczelni, przewodniczy zgromadzeniu ogólnemu. Pod koniec stulecia jest on uznawany głową korporacji. Władza jego pozostanie jednak zawsze bardzo ograniczona, jakkolwiek bowiem mógł być wybrany ponownie, w zasadzie sprawuje swoje funkcje tylko przez jeden trymestr. Taką organizację, ze znacznymi często wariantami, odnajdujemy i na innych uniwersytetach. W Oksfordzie nie ma jednego wspólnego dla wszystkich rektora. Głową uniwersytetu jest kanclerz [...] wybierany przez kolegów”. Ibidem, s. 80.

<sup>4</sup> „W Paryżu kanclerz traci faktycznie w roku 1213 przywilej udzielania licencji, to znaczy zezwolenia na nauczanie. Prawo to przechodzi na profesorów uniwersytetu. [...] W roku 1301 przestanie nawet być oficjalnym zwierzchnikiem szkół”. Ibidem, s. 74.

mistrzów i nauczycieli (również na Uniwersytecie Bolońskim)<sup>5</sup>. Jacques Le Goff nazywa to „arystokratyzacją uniwersytetu” i łączy z pojawieniem się kolegów, skupiających mistrzów i nauczycieli<sup>6</sup>. Na znaczeniu tracily natomiast te uczelniane władze, które albo składały się ze studentów, albo przynajmniej w istotnym stopniu były zależne od studentów. Wpływ na to miało m.in. dosyć swobodne traktowanie przez studentów uczelnianych obowiązków oraz takie korzystanie przez nich z uroków życia, że niejednokrotnie musiały w to wkrazać siły porządkowe. Autor *Historii społecznej Anglii* o XIV-wiecznych studentach Oksfordu i Cambridge napisał, że „byli samowolni i prowadzili wyuzdany, hulawczy tryb życia”. Przypomina również, że „w roku 1355 mieszczanie urządzili prawdziwą rzeź kleryków i studentów; niedobitki uciekły w panice z Oksfordu, a uniwersytet pozostał zamknięty aż do czasu interwencji królewskiej, która zapewniła ochronę uczonym i uczącym się oraz ich pomściła”<sup>7</sup>.

Uczelniane kolegia fundowane były zarówno przez osoby duchowne, jak i świeckie, w tym świeckich władców, arystokratów i zamożnych mieszczan. Le Goff w swojej monografii przywołuje kilka przykładów takich fundatorów (jednym z nich był Robert de Sorbon). Natomiast Jacob Burckhard w swojej *Kulturze Odrodzenia we Włoszech* wskazuje nie tylko na znaczącą rolę w odrodzeniu włoskiej kultury w XIV i XV stuleciu uniwersytetów, ale także na wspieranie finansowe i duchowe najbardziej znaczących wówczas uniwersytetów, takich jak Uniwersytet we Florencji wspierany przez ród Medyceuszy („w pierwszym rządzie przez

<sup>5</sup> „Mistrzowie bolońscy w dokumentach nazywani są *nobiles viri et prymarii cives* (szlachetni mężowie i znakomici obywatele), a w życiu codziennym – *domini legum* (panowie juryści)”. Ibidem, s. 122.

<sup>6</sup> „Kolegia będące fundacjami dobroczynnymi, przyjmowały zrazu bardzo nieznaną mniejszość uprzywilejowanych i nie były takimi ośrodkami studiów, za jakie je uważano. Jakkolwiek później niektóre z nich zagarniają pewne działy nauczania – na przykład kolegium założone w roku 1257 przez Roberta de Sorbon łączy się z fakultetem teologii i daje nazwę uniwersytetowi paryskiemu – i jakkolwiek uniwersytety w Oksfordzie i w Cambridge dzielą się na kolegia stanowiące podstawę nauczania zgodnie z systemem, który w znacznej mierze pozostał do dzisiaj nie zmieniony”.

<sup>7</sup> „Anglia jednak znalazł lekarstwo na tę chorobę. System kolegialny, choć zapoczątkowany we Francji, stał się w końcu jedyną w swoim rodzaju cechą obu uniwersytetów angielskich. [...] Tak więc w piętnastym wieku, kiedy zdławienie siłą dyskusji na tematy religijne i kościelne sparaliżowało na przeciąg stu lat intelektualną żywotność uniwersytetów angielskich, szybki rozwój systemu kolegów przyniosło poprawę moralności i dyscypliny oraz ucywilizowanie życia akademickiego...” G.M. Trevelyan, *Historia społeczna Anglii*, PIW, Warszawa 1961, s. 68 nn.



Cosimo Starszego i Lorenzo Magnifico”)<sup>8</sup>. Rzecz jasno, miało to wpływ nie na tylko na to, czego w nim nauczano i jak nauczano, ale także komu powierzano obowiązki uczelnianych władz. Warto jednak przypomnieć, że w gronie ówczesnej kadry uniwersytetu florenckiego znajdowały się nazwiska takich znakomitych humanistów tamtego okresu, jak Marsilio Ficino i Giovanni Pico della Mirandola, oraz takich wybitnych uczonych, jak Galileusz (wykładał na nim matematykę i astronomię). Takie pozytywne przykłady wpływu osób świeckich na kondycję uniwersytetów można znaleźć również w innej częściach Europy, w tym w Polsce (stanowi go m.in. reaktywowanie w 1400 r. przez króla Władysława Jagiełłę Akademii Krakowskiej). Swoje lata świetności uczelnia krakowska przeżywała pod koniec tamtego i na początku następnego stulecia (wśród jej ówczesnych studentów był Mikołaj Kopernik).

Uważniejsze przyjrzenie się realiom ówczesnych uczelni pozwala wskazać jednak nie tylko tych, którzy przyczynili się do ich sukcesów, ale także tych, którzy sprawili, że ani ich nauczyciele, ani też ich studenci nie chcieli i nie musieli podejmować wysiłku wzniesienia się na intelektualne wyżyny. Odwołam się tutaj do przykładu opisanego w książce pt. *Tradycje uniwersyteckie Poznania*. Tradycje te sięgają XVI stulecia i związane są z utworzeniem w 1519 r. przez biskupa poznańskiego Jana Lubrańskiego kolegium, które po jego śmierci w 1520 r. otrzymało nazwę Kolegium Lubrańskiego (później występowało ono pod nazwą Akademii Lubrańskiego). Starania jej założyciela doprowadziły do otrzymania od króla Zygmunta Augusta przywileju na akademickie kształcenie młodzieży.

W szkole było pięć katedr: matematyki i astronomii, retoryki i dialektyki (dyskutowania), poetyki, gramatyki oraz teologii. Patronem, a zarazem najwyższym zwierzchnikiem nowo utworzonej uczelni był biskup poznański, który

---

<sup>8</sup> „Taki człowiek jak Cosimo, który, będąc kupcem i głową miejscowego stronnictwa, ma nadto po swojej stronie wszystkich myślących, badaczy i pisarzy, który, będąc z urodzenia pierwszym obywatelem Florencji, dzięki wykształceniu uchodzi też za największego z Włochów – jest księciem naprawdę. Cosimo zdobył zresztą specjalny tytuł do sławy, uznawszy filozofię platońską za najpiękniejszy kwiat starożytnego świata myśli; przekonanie to tchnął w swojej otoczenie, przyczyniając się tym samym do drugiego, wyższego odrodzenia starożytności w obrębie humanizmu”. J. Burckhardt, *Kultura Odrodzenia we Włoszech*, PIW, Warszawa 1991, s. 141 nn. Wśród różnych ówczesnych form mecenatu Peter Burke wyróżnia mecenat akademicki, a w nim taki wariant, w którym mecenasi ingerowali w sprawy uczelni, oraz taki, w którym nie ingerowali w nie. Por. P. Burke, *Kultura i społeczeństwo w renesansowych Włoszech*, PIW, Warszawa 1991, s. 81 nn.



powoływał rektorów i decydował o kierunku naukowym Akademii. Poza tym wiele do powiedzenia miała kapituła katedralna, bo przed nią to rektor musiał składać każdego roku sprawozdanie finansowe. Król Zygmunt Jagiellończyk, potwierdzając przywilej nowej uczelni, obdarzył ją wieloma zaszczytnymi wolnościami i przywilejami. Między innymi rektorzy mieli prawo urzędowego zatwierdzania wszelkich testamentów podwładnych im profesorów [...] Do profesorów-duchownych tej szkoły należało prawo cenzurowania ksiąg i pism wychodzących z całej poznańskiej diecezji<sup>9</sup>.

Akademia ta w drugiej połowie XVI stulecia przeżywała wprawdzie różnego rodzaju trudności (związane m.in. z brakiem odpowiednio kwalifikowanej kadry), jednak ciągle rozbudowywała swoją infrastrukturę („pod koniec XVI stulecia kolegium było bardzo rozbudowane tak w zakresie budynków, jak i nauczanych przedmiotów”). Sprawilo to, że w roku 1611 otrzymała od króla Zygmunta III Wazy przywilej fundacyjny, „nadający jej mistrzom i uczniom prawo wyjęcia spod wszelkiej jurysdykcji duchownej i świeckiej krom władzy rektora według pobożnego instytutu Tow. Jezusowego, uwalniający ich też od wszelkich ceł, opłat, podatków”, oraz „podnoszący kolegium poznańskie Tow. Jezusowego do godności Akademii i Uniwersytetu”. Nie spodobało się to jezuitom z Akademii Krakowskiej. Dawali oni temu wyraz, przedstawiając ten akt prawny jako naruszenie ich przywileju akademickiego kształcenia młodzieży. Wprawdzie autor przywoływanej tutaj monografii twierdzi, że „uzasadnienie akademików krakowskich było słabe i mało logiczne, a argument, że skoro Kraków przez 100 lat nadawał tytuły akademickie i przez to nabył prawa monopolu, był niedorzeczny”, jednak okazało się ono na tyle skuteczne, że akademia w tym mieście nie powstała, a na powstanie w nim uniwersytetu czekać trzeba było aż do 1919 r. (w pierwszym roku swojego istnienia występował on pod nazwą Wszechnicy Poznańskiej, a od 1920 do 1956 r. pod nazwą Uniwersytetu Poznańskiego).

<sup>9</sup> Z. Boras, *Tradycje uniwersyteckie Poznania*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2003, s. 32 nn. Przed jego powstaniem w Poznaniu były „dwie szkoły, ale o charakterze szkół średnich. Istniała tzw. szkoła mniejsza, czyli miejska przy kościele farnym *ad Sanctum Mariam Magdalenam* [dzisiaj jej tradycje kontynuuje Liceum im. Marii Magdaleny – Z.D.], w której uczono czytania i pisania po polsku, po niemiecku i co nieco po łacinie, a także początków arytmetyki i etyki. [...] Kierownikiem szkoły był zwykle *magister atrium*, zwany szumnie rektorem. Po zakończeniu tych podstaw szkolnych młodzież mogła się kształcić dalej w szkole o wyższym poziomie (*scholar maior*), czyli w szkole katedralnej, bo była ona położona na Ostrowie Tumskim przy katedrze. Zarządzał nią ksiądz *magister scholae*, który posiadał zazwyczaj licencjat w zakresie teologii”. Ibidem, s. 32.

W drugiej połowie XVIII stulecia doszło do prawdziwej katastrofy Towarzystwa Jezusowego. Prowadzona przeciwko nim kampania (nie tylko zresztą przez osoby świeckie, ale także przez tych duchownych, którzy konkurowali z jezuitami w ówczesnym szkolnictwie) sprawiła bowiem, że najpierw zakazano jego działalności w wielu europejskich krajach, a następnie papież Klemens XIII w 1773 r. dokonał kasaty tego zakonu. Historyk Kościoła katolickiego, opisując to głośne w tamtym czasie wydarzenie, przyznaje, że „zakon ten pozostawał główną zaporą przeciwko racjonalizmowi i naturalizmowi” (oświeceniowemu), a nawet stwierdza, że ich „nauka stała zawsze na wysokim poziomie, a dla Kościoła pracowali bezinteresownie i z całym oddaniem”<sup>10</sup>. Tej opinii nie podzielali jednak ówczesni przeciwnicy jezuitów, w tym tacy polscy oświeceni, jak Hugo Kołłątaj czy Stanisław Staszic<sup>11</sup>. W krajach protestanckich uczelnie wprawdzie nie musiały się borykać z jezuitskim ekspansjonizmem edukacyjnym, jednak stawiać one musiały niejednokrotnie czoła nie tylko wpływowi Kościołów i reprezentujących ich kaznodziejów, ale także tym swoim profesorom, o których przywoływany już wcześniej autor *Historii społecznej Anglii* napisał, że obwarowani swoimi licznymi przywilejami, „czuli się rozgrzeszeni od trudu czytania, myślenia i pisania” oraz wykładnia i egzaminowania studentów<sup>12</sup>. Trzeba jednak również powiedzieć, że nie na każdym z ówczesnych uniwersytetów ich profesura tak lekko traktowała swoje obowiązki, że co bardziej ambitne osoby raczej nie zabiegały o uczelniane stopnie i tytuły, a najbardziej innowacyjne umysły realizowały swoje naukowe pomysły poza uczelnianymi murami. Takie pozytywne przykłady można znaleźć w różnych częściach Europy, w tym na Wyspach Brytyjskich – tyle tylko że nie na angielskich, lecz na szkockich uniwersytetach (np. Uniwer-

<sup>10</sup> Por. ks. B. Kumor, *Historia Kościoła*, część 6, Wyd. KUL, Lublin 1985, s. 90 nn.

<sup>11</sup> Ten pierwszy w swoim Raporcie z wizytacji Akademii Krakowskiej odbytej w 1777 r. napisał, że uczelnia ta „była przez wieki prześladowana przez jezuitów”, co doprowadziło ją do takiego stanu, że „przypomina przedpotopowego mamuta”. H. Kołłątaj, *Wybór pism naukowych*, PWN, Warszawa 1953, s. 155 nn.

<sup>12</sup> „Okolo roku 1770 nie odbywały się w Oksfordzie żadne poważne egzaminy dla zdobycia stopnia akademickiego. [...] Dążenie do wewnętrznej reformy, dzięki któremu oba angielskie uniwersytety weszły na drogę doskonalenia się, przejawiało się dopiero w ostatnich latach tego wieku. W Trinity College w Cambridge można tę tendencję notować od przełomu z roku 1787, kiedy to po zaciętej walce, na skutek której dyskutanci stawali przed sądem rektorskim, postanowiono, iż godności członków tego kolegium powinny być sprawiedliwie przyznawane zależnie od wyników starannie przeprowadzonego egzaminu”. G.M. Trevelyan, *Historia społeczna Anglii*, s. 356 nn.

sytet w Edynburgu)<sup>13</sup>. Zasadnicze zmiany na uniwersytetach europejskich miały jednak nastąpić dopiero w drugiej połowie XIX stulecia. Wiązały się one m.in. ze znajdującym uznanie w wielu środowiskach akademickich antyklerykalizmem. Najbardziej dramatycznie przebiegały one w krajach katolickich (takich jak Francja czy Włochy)<sup>14</sup>.

## 2. Współczesne modele zarządzania uczelniami

Jeśli miałbym możliwie krótko określić te modele zarządzania, to powiedziałbym, że charakteryzują się one różnorodnością i różnorodnością – nie tylko w różnych krajach, ale także w tych samych, ale na różnego rodzaju uczelniach. Nie oznacza to jednak, że nie można w tym zróżnicowaniu wskazać żadnych modelowych rozwiązań (funkcjonuje nawet określenie „humboltowski model uczelni”). Nie mają one jednak już takiego znaczenia, jakie miały przed wiekami (w przywołanym tutaj przykładzie bardziej chodzi o łączenie badań naukowych z kształceniem studentów niż o sposób zarządzania uczelnia). Jest to zresztą w jakiejś mierze zrozumiałe, bowiem dzisiaj życie społeczne biegnie znacznie szybciej niż w przeszłości i uczelnie jeśli chcą się faktycznie liczyć w tej wielkiej grze o społeczne uznanie, zmuszone są nadążać za tempem tych zmian. Próbują to oczywiście robić (jedne lepiej, a inne gorzej) i żadna z nich nie chce pozostać za tymi zmianami tak daleko, że stanie się jedynie pomnikiem przeszłości. Nie należy przy tym mylić występujących na nich różnych form kultywowania tradycji akademickich z tym, co faktycznie stanowi o jej codziennym życiu naukowym i edukacyjnym. Takie historyczne elementy akademickie

---

<sup>13</sup> „Na uniwersytetach szkockich panował zastój w zaraniu tego stulecia, które zakończyło się opromienieniem sławą rektora Wiliama Robertsona, Adama Smitha i filozofów edynburskich”. Ibidem, s. 412.

<sup>14</sup> We Francji antyklerykałowie „starali się pozbawić kler środków oddziaływania na społeczeństwo. [...] W tym samym przeświadczeniu o potrzebie odebrania duchowieństwu wyłączności w kształceniu młodzieży zostały ogłoszone w latach 1880-1886 ustawy szkolne [...]. Prawo nadawania uprawnień nauczycielskich, które ład moralny podzielił w r. 1875 między nauczycieli publicznych i nauczycieli prywatnych, zostaje przywrócone profesorom wyższego szkolnictwa publicznego”. G. Duby, R. Mandrou, *Historia kultury francuskiej. Wiek X-XX*, PWN, Warszawa 1967, s. 514 nn. Natomiast we Włoszech proces ten wiązał się z tzw. kwestią rzymską – oznaczającą nie tylko zredukowanie w 1870 r. ogromnego Państwa Kościelnego do niewielkiego Watykanu, ale także nadanie Uniwersytetowi Rzymskiemu „La Sapienza” charakteru uczelni świeckiej.

obrzędowości, jak togi czy birety, występują wprawdzie na wielu współczesnych uczelniach – również tych, które nie mogą się wykazać długim byciem w gronie tzw. starych uniwersytetów. Postronnemu obserwatorowi mogą się one nawet wydawać jakimś anachronizmem. Jednak nie tym, którzy albo są członkami tej społeczności, albo też chętnie by się w niej znaleźli (gdyby tylko zechciano ich do niej przyjąć)<sup>15</sup>. To kultywowanie akademickich tradycji przejawia się oczywiście nie tylko w wymienionych tutaj strojach. Kilka zatem przykładów takich uczelni, które należą do tzw. starych uniwersytetów.

W Anglii do najstarszych należą przywoływane już tutaj wielokrotnie uniwersytety – Oksfordzki (założony został przed rokiem 1167) i Cambridge (powstał w 1209 r.). Najwyższą władzą wykonawczą w tym pierwszym jest wicekanclerz (*vice-chancellor*); „kanclerz jest w nim stanowiskiem honorowym, natomiast osobą odpowiedzialną za sprawy administracyjne na poziomie uniwersytetu jest *registrar* [...]. Najwyższym ciałem kolegialnym zarządzającym na poziomie uniwersytetu jest *court*. Jest to często duże ciało liczące nawet 100 osób, w skład którego wchodzi przedstawiciele społeczności lokalnej, organizacji społecznych i związków zawodowych, wyżsi rangą nauczyciele akademicy, przedstawiciele pozostałych pracowników uczelni i studentów. [...] Kolejnym najwyżej usytuowanym ciałem jest senat, zwykle składający się z profesorów, szefów departamentów i przedstawicieli grup pracowniczych, takich jak pozostali nauczyciele akademicy, związki zawodowe etc.”<sup>16</sup> W ostatnim czasie w mediach po-

---

<sup>15</sup> Opis tej obyczajowości w dzisiejszym Oksfordzie znaleźć można we wspomnieniach prof. Andrzeja Walickiego, który poznał go, przebywając – najpierw w St. Anthony's College (1960 r.), a następnie w słynnym All Souls College (9 miesięcy w latach 1966-1967 i 3 miesiące w 1973 r.). „Był to zupełnie odmienny uroczony anachroniczny świat. Wspólne posiłki, wieczorem w togach, z obsługą przez lokai, ścisłe przestrzeganie ustalonych rytuałów (np. o czym można rozmawiać i kiedy; nigdy o sprawach własnej profesji i o polityce), a ponadto rygorystyczne kultywowanie swoistych tradycji danego kolegium – w All Souls był to jeden wieczór w roku, kiedy należało się »wstawić«, a przede wszystkim zakaz przyjmowania kobiet, z wyjątkiem Ladies' Day i Ladies' Nigt, tj. jednego lunchu i jednego obiadu rocznie”. A. Walicki, *Odpowiedź na ankietę „Przeglądu Filozoficznego” w sprawie kondycji polskiej filozofii*, „Przegląd Filozoficzny” 1/2014, s. 18 nn.

<sup>16</sup> „Ustawodawstwo o szkolnictwie wyższym (Wielkiej Brytanii) nie nakłada na szkoły wyższe obowiązku zagwarantowania studentom uczestnictwa ich przedstawicieli w ww. ciałach kolegialnych. W praktyce jednak w ciałach kolegialnych wielu uczelni studenci są reprezentowani przez 1 lub 2 przedstawicieli na prawach obserwatorów

jawiała się informacja, że „Uniwersytet Oksfordzki wszedł na drogę politycznej poprawności – w głównych budynkach uczelni portrety »starszych, białych mężczyzn« zastąpiono portretami kobiet, gejów i czarnoskórych”. Pojawiło się jednak również pytanie: „czy wymiana obrazów zdobiących ściany Uniwersytetu Oksfordzkiego naprawdę jest komuś potrzebna?” oraz krótki komentarz uzasadniający te wątpliwości: „niezależnie od naszych osobistych poglądów fakt jest taki, że przez setki lat na uniwersytecie studiowali i wykładali biali mężczyźni i to właśnie wśród nich znalazło się najwięcej akademickich słów, które uwiecznione zostały na zdobiących ściany uczelni portretach”.

Uniwersytet Cambridge posiada władze i gremia opiniodawcze różniące się od tamtego nie tylko nazwami, ale także zakresem obowiązków i uprawnień. Wprawdzie i w tym przypadku najwyższym jednoosobowym organem władzy jest wicekanclerz, jednak od 1922 r. nie jest on już wybierany przez kierownictwo poszczególnych kolegiów (na tej uczelni jest ich 31), lecz przez radę uczelni. Ta ostatnia składa się z 16 członków społeczności akademickiej, 4 osób spoza tej społeczności oraz 3 studentów. Posiada ona uprawnienia nadzorcze i decyzyjne, a jej przewodniczącym jest wicekanclerz. Najliczniejszym ciałem zarządczym tej uczelni jest izba regencyjna (*The Regent House*). W jej skład wchodzi kanclerz (jest on wybierany przez senat uczelni i podobnie jak w Oksfordzie pełni on funkcje honorowe, przewodnicząc m.in. różnego rodzaju uczelnianym ceremoniom), dziekani i kierownicy kolegiów oraz inne jeszcze wskazanie w statucie osoby. Ten organ uczelni pełni funkcje opiniodawcze i doradcze. Jej organem jest również senat, w którego zakresie uprawnień znajduje się m.in. wybór kanclerza oraz uchwalanie różnego rodzaju uczelnianych rozporządzeń. Jedną z cech wyróżniających tę uczelnię jest – poza jej elitarnym charakterem (na studia przyjmuje się w niej jedynie ok. 18 tys. studentów) oraz zatrudnianiem na niej najwyższej klasy uczonych (aż 65 z nich otrzymało Nagrodę Nobla) – powszechne korzystanie przez jej pracowników i studentów z takiego środka lokomocji jak rower.

We Francji jest dzisiaj ponad 90 uniwersytetów publicznych oraz 5 prywatnych (głównie katolickich). Ponadto istnieje grupa szkół wyższych, nazywanych *Grandes Écoles Supérieures*, prowadzących zarówno badania

---

(z prawem zabierania głosu, ale bez prawa głosowania). Gdy przedmiotem dyskusji są sprawy, w których nie powinni uczestniczyć, mogą być poproszeni o opuszczenie posiedzenia”. R. Mosakowski, *Szkolnictwo wyższe w krajach Unii Europejskiej. Stan obecny i plany reform*, Wyd. Politechniki Gdańskiej, Gdańsk 2002, s. 224 nn.

naukowe, jak i kształcących studentów. Szczególnie wysoką renomą cieszy się École Nationale d'Administration (Narodowa Szkoła Administracji), kształcąca kadry dla potrzeb instytucji publicznych (wśród jej absolwentów znajdują się m.in. politycy zajmujący stanowiska ministerialne). Istotny wpływ na dzisiejszy ustrój tych uczelni miały wydarzenia w tym kraju, które przysły do historii pod nazwą Maj '68. Zapoczątkowane zostały one strajkiem studentów na Uniwersytecie Nanterre; żądali oni m.in. uwolnienia osób aresztowanych za udział w demonstracjach ulicznych. Odmowa władz doprowadziła do eskalacji konfliktu. 13 maja 1968 r. największe francuskie związki zawodowe ogłosiły strajk powszechny, a protesty studenckie pojawiły się również na innych uczelniach – najpierw paryskich, w tym na Sorbonie (strajkujący ogłosili ją „wolną komuną”), a później także w innych francuskich miastach (m.in. w mającym długie akademickie tradycje Montpellier). Demonstrujący domagali się ich unowocześnienia, w tym dostosowania do współczesnych standardów ich programów kształcenia oraz organizacji władz. Zmiany takie zostały wprowadzone w 1968 r. Do najistotniejszych z nich należało przyznanie uczelniom autonomii w zakresie ustalania programów kształcenia oraz organizacji uczelnianych struktur. W przypadku Sorbony doprowadziły one do podziału tej dużej i trudnej do sprawnego zarządzania uczelni na 13 autonomicznych jednostek (tylko trzy z nich zachowały w swojej nazwie określenie „Sorbona”)<sup>17</sup>.

Obecnie podstawą prawną tej autonomii jest tzw. ustawa Savary (z 1984 r.). W jej świetle nadzór nad funkcjonowaniem francuskich uczelni publicznych pełni minister edukacji i badań. Rektorzy i kanclerze są przedstawicielami tego ministra (zobowiązani są oni m.in. do składania mu sprawozdania ze swojej działalności). Organem doradczym i opiniodawczym przy ministrze jest Krajowa Rada ds. Szkolnictwa Wyższego i Badań<sup>18</sup>. Charakter organów centralnych mają również: Konferencja Prezydentów Uniwersytetów (na jej czele stoi minister), Narodowa Rada Uniwersytetów (w zakresie jej uprawnień znajduje się m.in. opiniowanie kandydatów na stanowiska akademickie) oraz Narodowa Rada Programowa (jej zadaniem jest m.in. dbanie o zgodność programów nauczania w szkołach średnich i na studiach wyższych). Uczelniom pozostawia się

<sup>17</sup> Są to: Université de Paris I Panthéon-Sorbonne, Université de Paris III Sorbonne Nouvelle oraz Université de Paris IV Paris-Sorbonne. Ten ostatni uznawany jest za bezpośredniego spadkobiercę tradycji starej Sorbony.

<sup>18</sup> „[...] składa się ona z 61 członków reprezentujących: pracowników akademickich (29), studentów (11) oraz grupy interesów, zwłaszcza w dziedzinie edukacji, kultury, nauki, gospodarki i społeczeństwa (21)”. Ibidem, s. 90.



jednak sporą samodzielność nie tylko w zakresie podejmowanych badań, ale także programów kształcenia oraz ustanawiania struktury władz. Stąd to, co występuje na jednych, może nie pojawiać się na innych.

W świetle tzw. ustawy Savary organami uczelni publicznych są: Prezydent, rada administracyjna i rada akademicka. Ten pierwszy wybierany jest bezwzględną większością głosów na 4-letnią kadencję przez radę administracyjną. W jej skład wchodzi przedstawiciele pracowników naukowych i dydaktycznych, studentów oraz stowarzyszonych z uczelnią instytucji gospodarczych i kulturalnych. W przypadku Paris IV rada ta składa się z 60 osób, w tym 26 nauczycieli akademickich będących pracownikami tej uczelni, 6 osób niebędących nauczycielami akademickimi, 12 studentów oraz 16 przedstawicieli zewnętrznych instytucji. W przypadku Paris 11 rada ta składa się z 36 członków, w tym 16 nauczycieli akademickich będących pracownikami tej uczelni, 6 jej pracowników niebędących nauczycielami akademickimi, 6 studentów oraz 8 członków zewnętrznych. Do jej uprawnień należy m.in. zatwierdzanie uczelnianych umów oraz takich wewnątrzuczelnianych regulacji, jak statuty. Jej przewodniczącym w każdym przypadku jest prezydent uczelni, który również reprezentuje ją na zewnątrz oraz posiada uprawnienia do podpisywania uczelnianych umów i porozumień. Trzeci z organów francuskich uczelni publicznych, tj. rada akademicka, w zakresie swoich obowiązków i uprawnień ma m.in. kształtowanie polityki naukowej i edukacyjnej uczelni, określanie kryteriów kwalifikacji pracowniczych oraz zasad ich okresowej oceny. W jej ramach funkcjonują różnego rodzaju komisje, np. Komisja Naukowa (w Paris 11 składa się ona z 32 przedstawicieli pracowników tej uczelni, 4 przedstawicieli studentów oraz 4 przedstawicieli zewnętrznych instytucji). W Paris IV Komisja ds. Nauki stanowi odrębne gremium kolegialne (składa się ona podobnie jak w Paris 11 z 40 członków). Na uczelniach tych funkcjonują ponadto mające charakter doradczy i konsultacyjny Rady Dyrektorów. W ich skład wchodzi dyrektorzy jednostek badawczych, dydaktycznych i pomocniczych. Z radami tymi konsultowane są m.in. decyzje podejmowane przez prezydentów uczelni.

W Republice Federalnej Niemiec pod koniec minionego stulecia było 344 uczelni wyższych, w tym 115 uniwersytetów. Najstarszym z nich jest założony w 1386 r. Uniwersytet w Heidelbergu, występujący pod nazwą Uniwersytetu Ruprechta i Karola (ten pierwszy był jego założycielem, natomiast ten drugi jego reformatorem w 1802 r.). Zarówno w przypadku tej, jak i innych niemieckich uczelni władzą zwierzchnią jest dla nich minister rządowy ds. edukacji i badań. W jego gestii znajdują się nie tylko

decyzje związane z finansowaniem uczelni ze środków publicznych, ale także z zatrudnianiem na nich akademickiej kadry. W świetle obowiązujących w Niemczech regulacji prawnych zatrudnienie pracowników naukowych i naukowo-dydaktycznych wyższych uczelni odbywa się w drodze konkursów. Jego warunki określa się wprawdzie na uczelniach, jednak ostateczną decyzję o zatrudnieniu wyłonionych w wyniku postępowania kandydatów podejmuje ów minister. W każdym przypadku uczelnia zobowiązana jest przedstawić mu dwie kandydatury, z których dokonuje on wyboru. Zdarza się, że uczelnia przeprowadzi dokładną analizę swoich kadrowych potrzeb i wyłoni zdaniem członków komisji konkursowych dwóch odpowiednich kandydatów (w Niemczech na taki konkurs zgłasza się niekiedy ponad stu chętnych), jednak minister ten może nie wyrazić zgody na zatrudnienie żadnego z nich (uzasadniając to np. względami finansowymi). W RFN władzą centralną jest rząd federalny. Jednym z jego członków jest minister edukacji, nauki, badań i technologii. Posiada on uprawnienia kontrolne i nadzorcze w stosunku do swoich odpowiedników w rządach krajowych. Funkcje doradcze i opiniodawcze pełni dla niego: Rada Naukowa, Komitet Planowania Budowy Instytucji Szkolnictwa Wyższego, Rada Akredytacyjna oraz Konferencja Rektorów Szkół Wyższych.

Na uczelniach niemieckich organami są: prezydent lub rektor, senat, rada uczelni i ewentualnie inne jeszcze ciała kolegialne wskazane w ich statutach (nazywanych „Konstytucją Uczelni”). W przypadku Heidelbergu najwyższym jednoosobowym organem uczelni jest prezydent, wybierany z grona jej profesorów na 4- lub 6-letnią kadencję. Wspierany jest on przez biuro uniwersytetu nazywane rektoratem. W jego skład wchodzi 5 wiceprezydentów (ds. finansowych i kadrowych, ds. badań i transferu, ds. współpracy międzynarodowej, ds. jakości o rozwoju oraz ds. studenckich i dydaktyki). W wykonywaniu swoich obowiązków korzysta on ponadto z pomocy kanclerza uczelni (odpowiada on m.in. za jej sprawy finansowe). W skład senatu tej uczelni wchodzi 19 członków stałych (rektorzy, dziekani oraz komisarz ds. równouprawnienia) oraz 20 członków wybieralnych (8 przedstawicieli samodzielnej kadry naukowej, 4 pomocniczej kadry naukowej, 4 przedstawicieli pracowników technicznych i 4 studentów)<sup>19</sup>. W świetle regulacji prawnych przyjętych w tym landzie

---

<sup>19</sup> „W kontekście składu ciał kolegialnych warto wspomnieć o decyzji Sądu Konstytucyjnego z 1973 r., który zagwarantował profesorom w ciałach kolegialnych większość 51% głosów w ważnych sprawach badań oraz 50% głosów w sprawach nauczania. Po nowelizacji ustawy ramowej o szkolnictwie wyższym w 1998 r. profesorowie mają



do zadań senatu należy m.in. określanie strategii i kierunku badań prowadzonych na uczelni oraz określanie i zatwierdzanie kierunków kształcenia. W uczelni tej gremiami doradczymi i opiniodawczymi są: Akademicka Rada Doradców (składa się ona z 11 członków, w tym 9 interesariuszy zewnętrznych, a jej zadaniem jest przygotowanie długoterminowej strategii rozwoju uczelni), Rada Uniwersytetu (składa się ona z 11 członków wskazanych przez ministra ds. Nauki Badenii-Wirtembergii wybieranych z grona osób niezwiązanych zawodowo z uczelnią oraz z 5 członków wybieranych z grona pracowników uczelni) i Kolegium Uniwersyteckie (składa się ono z 50 członków, w tym 50 profesorów, 15 pomocniczych pracowników naukowych i administracyjnych oraz 15 studentów, a do jej zakresu obowiązków i uprawnień należy m.in. powoływanie członków Rady Uniwersytetu spośród osób niezwiązanych zawodowo z uczelnią, a także wybór kanclerza).

Wszystkie wymienione tutaj uczelnie oraz wiele z tych, które chciałyby chociażby trochę zbliżyć się do ich osiągnięć i prestiżu, stają przed tymi wyzwaniem i zadaniami, które wyznacza gospodarka – nie tylko zresztą ich krajów, ale także światowa. Mówi się zresztą o tym w różnego rodzaju rozporządzeniach i dyrektywach Unii Europejskiej. Przypomnę zatem krótko, że UE powstała jako wspólnota gospodarcza i w znacznej mierze taki charakter zachowała do dzisiaj. Tego rodzaju wskazania można znaleźć również w tych deklaracjach programowych, które dotyczą bezpośrednio szkolnictwa wyższego krajów wchodzących w skład tej wspólnoty (żeby tylko tytułem przykładu wymienić „Deklarację Bolońską” z 19 czerwca 1999 r.)<sup>20</sup>. Mówią o tym również ci ekonomiści, którzy dobrze znają zarówno dzisiejsze realia gospodarcze świata zachodniego, jak realia tych wyższych uczelni, które osiągają swoją wysoką pozycję społeczną dzięki temu, że są sprawnie zarządzane przez prezydentów lub rektorów menedżerów<sup>21</sup>. Porównują oni przy tym m.in. te modele

---

prawnie zagwarantowaną przynajmniej połowę głosów w sprawie nauczania, z wyjątkiem oceny”. Ibidem, s. 189.

<sup>20</sup> Podkreśla się w niej m.in. potrzebę „ustanowienia bardziej kompletnej i szerszej Europy, przede wszystkim poprzez wzmocnienie jej wymiaru intelektualnego, kulturalnego, społecznego, naukowego i technologicznego” i uznaje się to wszystko za „klucz do promowania mobilności obywateli, nowych możliwości pracy oraz ogólnego rozwoju kontynentu”. Ibidem, s. 251.

<sup>21</sup> „[...] profesjonalne zarządzanie – takie, które odnajdujemy w najlepszych firmach i w wykonaniu najlepszych menedżerów – nie musi i nie może cechować wyłącznie przedsiębiorstw. Mówienie o zarządzaniu instytucjami edukacyjnymi lub

zarządzania występujące na wiodących uczelniach amerykańskich z tymi, które są realizowane na uczelniach europejskich i w niejednym przypadku wychodzi na to, że te pierwsze górują nad tymi drugimi – nie tylko pod względem sprawnego zarządzania, ale także pod względami efektywności badawczej oraz atrakcyjności oferty edukacyjnej („Wystarczy porównać Uniwersytet w Cambridge z Uniwersytetem Kalifornijskim”)<sup>22</sup>. Zapewne miał swoje racje prezydent USA Bill Clinton, mówiąc: „przede wszystkim gospodarka, głupcze”. Swoje racje mają jednak również ci, którzy uważają, iż na wyższych uczelniach nie tylko gospodarka powinna wyznaczać ich wyzwania i zadania oraz sposoby ich rozwiązywania, ale także sporo do powiedzenia powinni mieć ci uczeni, którzy uprawiają takie nauki, które wprawdzie nie przekładają się na wdrożenia, ale bez których nie byłoby możliwe pojawienie się i funkcjonowanie dyscyplin wdrożeniowych. Bez wątplenia trudno jest niejednokrotnie łączyć te pierwsze z tymi drugimi. Jest to jednak możliwe do zrobienia, a potwierdzenie tego można znaleźć nie tylko na uczelniach technicznych, ale także na tych starych uniwersytetach, które dzisiaj zajmują czołowe miejsca w różnego rodzaju rankingach.

### 3. Zarządzanie polskimi uczelniami

Niektóre realia związane z tymi uczelniami zostały przypomniane w historycznej części tych rozważań. W tym punkcie chciałbym natomiast wypowiedzieć się głównie na temat współczesnych rozwiązań w zakresie sposobów zarządzania polskimi uczelniami. Trzeba jednak chociażby krótko przypomnieć, jak wyglądała akademicka Polska przed II wojną światową oraz w okresie hitlerowskiej i sowieckiej okupacji, a także

artystycznymi nie oznacza wcale zrównania szkoły wyższej z firmą usługową, a galerii sztuki ze sklepem”. Z.W. Puślecki, *Zarządzanie strategiczne a idea uniwersytetu*, w: *Uniwersytety. Tradycje, dzień dzisiejszy przyszłość*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2009, s. 169 nn.

<sup>22</sup> Ten pierwszy ma charakter elitarny, natomiast ten drugi egalitarny i nazywany jest przez cytowanego tutaj ekonomistę „multi-universytetem”. Jego zdaniem „obydwa typy uczelni mają wady, choć każdy inne” – jednak potrzeba stworzenia społeczeństwa wiedzy, umasowienia kształcenia wyższego, utrata wyłączności w tworzeniu wiedzy zdezaktualizowały model tradycyjny, a model przedsiębiorstwa niesie poważne zagrożenie realizacji fundamentalnej misji uniwersytetu: jego służbie prawdzie, służebności publicznej, korporacyjnemu zarządzaniu opartemu na etosie itd. Nie ma zgody w środowisku akademickim Europy ani na jedno rozwiązanie, ani na drugie w czystej postaci”. Ibidem, s. 181.

w pierwszych dziesięcioleciach po jej zakończeniu. Krótko rzecz ujmując, jak na tak duży kraj (obszar Polski obejmował wówczas m.in. dzisiejszą Litwę oraz sporą część Ukrainy) do 1939 r. uczelni wyższych było w naszym kraju stosunkowo niewiele, bo zaledwie 20, w tym 13 publicznych<sup>23</sup>. Do najbardziej znaczących należały wówczas uniwersytety w Warszawie, Krakowie i w Poznaniu oraz takie uczelnie techniczne, jak Politechnika Warszawska czy Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Ich struktura organizacyjna, w tym organy władzy, była podobna do tych, które występowały na uczelniach zachodnich (w szczególności niemieckich), tj. najwyższymi władzami były w nich władze rektorskie, wspierane przez senaty uczelni oraz kanclerzy, natomiast nadzór nad szkolnictwem wszystkich szczebli (od podstawowego do wyższego) sprawowało Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (jednym z jego departamentów był Departament Nauki i Szkół Wyższych)<sup>24</sup>. Borykały się one z podobnymi problemami, które występowały na niejednej z przedwojennych uczelni zachodniej, np. pozyskiwanie odpowiednich środków finansowych na prowadzenie badań naukowych oraz takiej kadry naukowej i dydaktycznej, która mogłaby wykonywać swoje obowiązki na odpowiednim poziomie. Na polskich uczelniach te problemy występowały wówczas jednak w większym nasileniu. Pojawiły się na nich również takie, których rozwiązanie najwyraźniej przerosło możliwości ówczesnych władz (nie tylko zresztą uczelnianych). Jedną z nich była kwestia antysemityzmu. Wprawdzie nie wyglądało to tak dramatycznie jak na uczelniach niemieckich pod dojściu Hitlera do władzy (usuвано wówczas z nich

<sup>23</sup> Te ostatnie wskazane są w Ustawie o szkołach akademickich z 15 marca 1933 r. Por. A. Ostrowski (red.), *Zbiór przepisów o szkolnictwie akademickim. Ustawy – rozporządzenia – ogólne*, Książnica Atlas, Lwów – Warszawa 1938, s. 25 nn.

<sup>24</sup> W świetle przywoływanej tutaj ustawy do władz akademickich zalicza się: zebranie ogólne profesorów („składa się ono z tych osób, które należą do składu rad wydziałowych”), senat akademicki („w jego skład wchodzi rektor, prorektor, dziekani oraz inni członkowie, których liczbę i sposób wyboru ustala statut szkoły”), rektor („wybierany jest spośród profesorów zwyczajnych na okres dwóch lat przez zebranie delegatów wydziałowych zwykłą większością głosów”, ale jego „wybór podlega zatwierdzeniu przez Prezydenta Rzeczypospolitej na wniosek Ministra W.R. i O. P.”), prorektor („wybierany na okres dwóch lat przez zebranie delegatów wydziałowych z grona profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych”, a jego wybór „podlega zatwierdzeniu przez Ministra W.R. i O. P.”), rada wydziału (w jej skład wchodzi profesorowie zwyczajni, nadzwyczajni i delegaci docentów”) oraz dziekan („wybierany przez radę wydziału na okres roku spośród profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych zwykłą większością głosów”. Ibidem, s. 27 nn.

osoby aryjskiego pochodzenia), to jednak do chlubnych kart polskich uczelni okresu międzywojennego nie można zapisać przyzwolenia na wyznaczanie dla takich osób odrębnych ławek. Jednak mimo tych i wielu innych trudności przynajmniej niektóre z tych uczelni miały osiągnięcia naukowe na światowym poziomie. Tytułem przykładu można przywołać sukcesy filozofów ze szkoły lwowsko-warszawskiej oraz matematyków Uniwersytetu Lwowskiego. Znaczących osiągnięć tej pierwszej spotykałem w latach 90. minionego stulecia m.in. na uniwersytetach francuskich, natomiast najbardziej znaczących przedstawicieli tej drugiej można było spotkać po 1945 r. na uczelniach amerykańskich<sup>25</sup>.

Po wybuchu wojny we wrześniu 1939 r. polskie szkolnictwo wszystkich szczebli znalazło się w dramatycznej sytuacji. Na obszarach zajętych przez III Rzeszę władze okupacyjne podjęły szeroko zakrojoną politykę pozbawiania społeczeństwa polskiego jego inteligencji. Jej wyrazem było m.in. zakazanie działalności uczelni wyższych i szkół średnich, a nauczanie w szkołach powszechnych zredukowane zostało do elementarnego. W Poznaniu zlikwidowany został Uniwersytet Poznański i w jego miejsce powołano w 1941 r. Uniwersytet III Rzeszy (jego kadre stanowiły osoby sprowadzone z okupowanych krajów nadbałtyckich oraz z uczelni niemieckich). Na obszarach wschodniej Polski, zajętych 17 września 1939 r. przez Związek Radziecki, utworzono dwie nowe republiki radzieckie – białoruską i ukraińską. Nowe władze wprawdzie zezwoliły na dalsze funkcjonowanie uniwersytetów we Lwowie i w Wilnie, jednak wymogły na władzach tych uczelni istotne zmiany w programach kształcenia (wprowadzono m.in. obowiązek studiowania dzieł Lenina i Stalina), natomiast tę część kadry, która się nie godziła na politykę nowych władz, spotykały surowe represje<sup>26</sup>. Po agresji Niemiec na Związek Radziecki w czerwcu 1941 r. i zajęciu przez nie również tych ziem obie uczelnie zostały zamknięte. Na terenach

<sup>25</sup> Inicjatorem i „dobrym duchem” szkoły lwowsko-warszawskiej był Kazimierz Twardowski, natomiast do jej najbardziej znaczących przedstawicieli należeli Stanisław Leśniewski, Jan Łukasiewicz i Alfred Tarski, natomiast z młodszego pokolenia Kazimierz Ajdukiewicz, Tadeusz Czeżowski i Aleksander Bocheński (ten ostatni po wojnie był wykładowcą na Uniwersytecie we Freiburgu). W kwestii osiągnięć tej szkoły por. J. Woleński, *Filozoficzna szkoła lwowsko-warszawska*, PWN, Warszawa 1985. Na temat osiągnięć lwowskiej szkoły matematycznej por. R. Duda, *Lwowska szkoła matematyczna*, Wyd. Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2010.

<sup>26</sup> Szerzej w tej kwestii por. M. Walczak, *Szkolnictwo wyższe i nauka w latach wojny i okupacji 1939-1945*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk 1978.

okupowanych przez III Rzeszę prowadzone było wprawdzie kształcenie na tajnych kompletach (pod koniec wojny brało w nich udział ponad 100 tys. uczniów oraz kilka tysięcy studentów), jednak nie mogło ono dać tego wykształcenia, które dawało przedwojenne nauczanie.

Po zakończeniu wojny Polska znalazła się w określonych jałtańskim porozumieniem trzech wielkich mocarstw zmienionych granicach oraz uznana została za strefę wpływów radzieckich. Poza jej granicami znalazły się Kresy Wschodnie, w tym Lwów i Wilno. Jednym z kroków mających sprawić, że działające tam uniwersytety obiorą kurs naukowy i edukacyjny zgodny z oczekiwaniami władz radzieckich było usunięcie z nich tej części kadry, która została uznana za „element klasowo wrogi”. Należała do nich znacząca część polskich profesorów. Już na początku stycznia 1945 r. przeprowadzona została na nich kadrowa czystka. Część tych profesorów została aresztowana, inni zostali zmuszeni do szukania sobie miejsca do pracy zawodowej poza granicami Związku Radzieckiego. Niektórzy z nich znaleźli je w krajach zachodnich. Spora ich część zasiła kadrowo polskie uczelnie (m.in. w Krakowie, Poznaniu, Toruniu i we Wrocławiu).

Przynajmniej w pierwszych latach po zakończeniu II wojny światowej polskiej inteligencji wydawało się, że nowe realia polityczne mogą przynieść naszemu krajowi więcej dobrego niż złego<sup>27</sup>. Takie przekonanie umacniało nie tylko zatrudnianie na polskich uczelniach przedwojennych profesorów, w tym tych, którzy zostali usunięci z uczelni lwowskiej i wileńskiej, ale także powierzanie niektórym z nich funkcji kierowniczych. Przykładem może być powierzenie w roku 1945 funkcji rektora Uniwersytetu Poznańskiego prof. Stefanowi Dąbrowskiemu, absolwentowi lwowskiego uniwersytetu, jednak od początku istnienia tej uczelni związanemu z nią zawodowo<sup>28</sup>. Po jego rezygnacji (wymuszonej przez ówczesne władze polityczne i partyjne) obowiązki rektora tej uczelni pełnił prof. Stefan

<sup>27</sup> Henryk Słabek oceniając stan ducha polskiej inteligencji tamtych lat, stwierdza, że „większość polskich intelektualistów wchodziła w apogeum stalinowskiej dyktatury bez widocznego sprzeciwu”, i dodaje, że „część inteligentów, szczególnie doświadczonych, miała dość narodowych, rodzinnych i własnych dramatów” i „wpadała w objęcia Nowej Wiary”. H. Słabek, *Intelektualistów obraz własny w świetle dokumentów autobiograficznych. 1944-1989*, Książka i Wiedza 1997, ss. 9 i 49.

<sup>28</sup> Prof. Stefan Tytus Dąbrowski był lekarzem i biochemikiem, specjalizującym się w fizjologii żywienia. W latach 1920-1921 pełnił funkcję wiceministra spraw zagranicznych II Rzeczypospolitej Polskiej, a w latach 1922-1935 był posłem na sejm. Na rektora Uniwersytetu Poznańskiego został on wybrany w roku 1939, jednak w związku z wybuchem wojny i likwidacją przez władze III Rzeszy tej uczelni nie mógł on podjąć

Błachowski<sup>29</sup>. W 1948 r. powierzone zostały one prof. Kazimierzowi Ajdukiewiczowi, przedstawicielowi młodszego pokolenia filozofów ze szkoły lwowsko-warszawskiej (pełnił je do 30 września 1952 r.)<sup>30</sup>. Pokazuje to zarówno te realia akademickie, z którymi z różnych względów musiały się liczyć ówczesne władze polityczne (takie jak dotkliwy brak wysoko kwalifikowanej kadry profesorskiej), jak i prowadzoną przez tę władzę politykę „marchewki i kija”. Na początku nieco więcej było tej pierwszej. Jednak dosyć szybko, bo już na początku lat 50., przeszła ona do owego „kija”. Wyjaśnienie tego faktu znaleźć można m.in. w biografii prof. Ajdukiewicza<sup>31</sup>. Jej autorzy przypominają, że „kwestie personalne [...] były z założenia wyłączone z kompetencji rektora. Znajdowały się one w gestii prorektora [...] On właśnie wspólnie z kilkoma jeszcze osobami, reprezentował uniwersytet na [...] Komisji Szkół Wyższych przy KW PZPR, gdzie – w atmosferze »sądu kapturowego« – zapadały odpowiednie decyzje”. Przywołują oni również te dokumenty, które pokazują, w jaki sposób stosowana była ta polityka „kija” oraz jak przekładało się to na usuwanie z uczelni „nieprawomyślnych osób (w tym gronie znaleźli się

---

tych obowiązków. Szerzej na temat tego uczonego zob. A. Gąsiorowski, J. Topolski (red.), *Wielkopolski Słownik Biograficzny*, PWN, Warszawa – Poznań 1981, s. 346 nn.

<sup>29</sup> „Rezygnacja z funkcji rektora przez Dąbrowskiego związana była z zarzutami władz państwowych i Polskiej Partii Robotniczej dotyczącymi poparcia i aktywnego udziału w zjeździe duszpasterzy akademickich i przedstawicieli komitetów akademickich ślubowań jasnogórskich z całej Polski [...]. Zastrzeżeń było więcej, m.in. za przemówienie, jakie wygłosił 15 grudnia 1945 r. na inauguracji roku akademickiego 1945/1946 oraz za działalność w Stronnictwie Narodowym. Poglądy polityczne i religijne rektora Uniwersytetu Poznańskiego były nie do przyjęcia dla władz państwowych i partyjnych” J. Matysiak, *Stefan Błachowski (1889-1962)*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2017, s. 134 nn.

<sup>30</sup> „Ajdukiewicz został powołany na stanowisko rektora na mocy Dekretu z dnia 28 października 1947 o organizacji nauki i szkolnictwa wyższego [...]. Dekret stanowił, że rektora na trzyletnią kadencję powoływał prezydent RP spośród trzech kandydatów wyłonionych przez zebranie wyborcze. Samo powołanie odbywało się na wniosek ministra oświaty, który uprzednio zasięgał opinii Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego” K. Gan-Krzywoszyńska, P. Leśniewski, *Kazimierz Ajdukiewicz (1890-1963)*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2016, s. 85 nn.

<sup>31</sup> Jej autorzy piszą, że „uniwersytet był traktowany jako arena zdecydowanej konfrontacji politycznej. Za jedno z pierwszoplanowych zadań uważano walkę z »reakcyjną profesurą«, o której słusznie napisano: »profesorowie [...] zdawali sobie sprawę, że pozwolono im wrócić na stanowisko, bo po roku 1945 nie można było ich nikim zastąpić«”. Ibidem, s. 86 nn.



jej późniejsi profesorowie – Zygmunt Ziemiński i Kazimierz Kolańczyk), czy dyscyplinowanie uczelnianych władz<sup>32</sup>.

Pierwsza połowa lat 50. minionego stulecia zapisała najciemniejszą kartę w historii całego społeczeństwa polskiego, i nie tylko polskiego, bowiem również wszystkich tych państw, które znalazły się w strefie wpływów Związku Radzieckiego. Do historii przeszły one pod nazwą stalinowskich represji; a mówiąc językiem autorów *Czarnej księgi komunizmu* – „masowego terroru”<sup>33</sup>. Po rozprawieniu się przez ówczesne komunistyczne władze z polityczną opozycją, przyszła kolej najpierw na Kościół („od wiosny 1948 roku coraz bardziej obserwowany i coraz częściej atakowany”) oraz na wyższe uczelnie i tę część profesury, która została uznana przez nie za „reakcyjną”. Wspomniany tutaj prof. Kazimierz Ajdukiewicz nie został wprawdzie wpisany na tę „czarną” listę, jednak znajdował się w gronie osób obserwowanych przez organy śledcze (występujące wówczas pod nazwą Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego), a w 1952 r. został napiętnowany przez czołowego polskiego marksistę tamtych czasów prof. Adama Schaffa. Na łamach ideologicznej „Myśli Filozoficznej” zarzucał mu on najpoważniejszy z ówczesnych „grzechów” filozoficznych, tj. idealizm<sup>34</sup>. Ajdukiewicz (wybitny znawca metodologii i logiki) odpowiadał na te zarzuty, posługując się argumentami logicznymi. Jednak w tamtych trudnych latach liczyła się nie tyle siła tych argumentów, ile argument siły tych, którzy znajdowali się wówczas u władzy politycznej i wspierali takich swoich ideologów jak wspomniany tu Schaff („autor podręczników i książek propagujących leninowsko-stalinowską wersję materializmu dialektycznego i historycznego”)<sup>35</sup>. Dla uczelni

---

<sup>32</sup> „Pod koniec rektorskiej kadencji Ajdukiewicza, na początku 1952 r., odnotowano kolejny raz wspieranie przez niego niemarksistowskich naukowców i »reakcyjnej« profesury”. Ibidem, s. 89.

<sup>33</sup> „Jesienią 1947 roku zorganizowany i skoordynowany opór został całkowicie złamany” i „partia komunistyczna mogła przejść do następnego etapu: sowietyzacji Polski i podporządkowania sobie całego społeczeństwa”. S. Courtois (i in.), *Czarna księga komunizmu. Zbrodnie, terror, prześladowania*, Prószyński i Sk-a, Warszawa 1999, s. 355 nn.

<sup>34</sup> A ściślej, „uczynienie z analizy semantycznej, w dodatku opacznie, idealistycznie pojętej, radykalnego środka, swoistego panaceum na spory światopoglądowe. K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie*, PWN, Warszawa 1985, t. II, s. 155 i nn.

<sup>35</sup> Zdaniem Leszka Kołakowskiego „te książki były mniej prymitywne niż odpowiednia twórczość filozofów sowieckich”. L. Kołakowski, *Główne nurty marksizmu, Powstanie – rozwój – rozpad*, Aneks, Londyn 1988, s. 927 nn. Ten znawca marksizmu

oznaczało to nie tylko usuwanie z grona jej profesorów tych osób, które znalazły się w przekonaniu ówczesnych władz po niewłaściwej stronie walki politycznej i ideologicznej, ale także nadzorowanie realizowanych na nich programów badań oraz kształcenia. Można powiedzieć, że po wydarzeniach Marca 1968 r. (związanych m.in. ze studenckimi wystąpieniami w obronie autonomii uczelni) znalazło swoje urzeczywistnienie ludowe porzekadło: „nosił wilk razy kilka, ponieśli w końcu i wilka”. W gronie wykluczonych z pracy na polskich uczelniach znalazła się bowiem część tych profesorów żydowskiego pochodzenia (w tym Adam Schaff), którzy wcześniej tak gorliwie swoim słowem i piórem wspierali komunistyczne władze. Rzecz jasna, przykre to – nie tylko zresztą dla tych, którzy wcześniej występowali w roli owego „wilka” (bo przecież o byciu członkiem uczelnianej społeczności nie powinno decydować żadne pochodzenie).

W następnych latach nasilały się wprawdzie w Polsce napięcia i przejawy niezadowolenia społecznego, ale władza polityczna nadal pozostawała w ręku „jedynie słusznej” partii (czytaj: Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej) i trzymana ona była w tym ręku na tyle mocno, że można było rozprawić się dosyć skutecznie z opozycją. Dla uczelni oznaczało to m.in., że władze rektorskie wprawdzie były wybierane przez społeczność uczelnianą, ale wybrani na rektorów kandydaci wymagali zatwierdzenia przez sprawującego nadzór nad uczelniami ministra. Natomiast przy decyzjach personalnych niższego szczebla sporo do powiedzenia miały uczelniane organizacje partyjne. Zdarzało się, że brak pozytywnej opinii z ich strony zamykał drogę do objęcia uczelnianego stanowiska niejednej osobie. W Poznaniu głośna była w latach 70. sprawa kandydatury na stanowisko rektora osoby z tytułem profesora, której sekretarz tej uczelnianej organizacji (ze stopniem magistra) swoją negatywną opinią zablokował objęcie tej funkcji. Podobnych przykładów można znaleźć więcej. Dotyczą

---

miał zapewne dobrą orientację w tej ideologii i filozofii, zdobył ją nie tylko jako jego analityk, ale także taki praktyk, który najpierw uległ jego „urokowi” i – jako pracownik naukowy Uniwersytetu Łódzkiego oraz Uniwersytetu Warszawskiego – usiłował nim zarazić osoby mające do niego krytyczny stosunek, a później (po uwolnieniu się od tego zauroczenia) jako jeden z jego krytyków. Mówił on zresztą o tym w swoim wykładzie wygłoszonym w 1992 r. na Uniwersytecie Łódzkim, w związku z nadaniem mu przez tę uczelnię tytułu doktora honoris causa (przyznawał w nim m.in., że w swoim marksistowskim zapale „czuł się wszechwiedzącym i dopiero potem stopniowo i powoli głupiał”. *Honoris Causa. Księga pamiątkowa ku czci Leszka Kołakowskiego*, Wyd. Łódzkie – Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1994, s. 17 i in.



one nie tylko wyboru władz rektorskich, ale także, a nawet przede wszystkim powoływania na niższe stanowiska uczelniane. W każdym razie było pewną regułą, że do obejmowania uczelnianych stanowisk kierowniczych trzeba było mieć nie tylko jakieś osiągnięcia naukowe czy doświadczenie w kierowaniu zespołami uczonych, ale także poparcie partyjnych decydentów. Łatwo jest sobie odpowiedzieć na pytanie, jak to się przekładało na funkcjonowanie i osiąganie przez polskie uczelnie znaczących wyników naukowych i edukacyjnych.

Sytuacja ta na krótko uległa zmianie po wystąpieniach robotniczych w sierpniu 1980 r. i powstaniu tzw. pierwszej „Solidarności”. Dla całej Polski oznaczało to powiew wolności – jednak wolności w miarę kontrolowanej przez ówczesne władze polityczne. Do gry o pozyskanie społecznego uznania wszedł wówczas nowy gracz – Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. Na uczelniach zyskał on taką pozycję, że w wyborach uczelnianych władz ktoś, kto nie był popierany przez ten związek zawodowy, nie mógł specjalnie liczyć na wyborczy sukces. Nie chcę przez to powiedzieć, że zmieniła się wprawdzie ideologia, jednak nie zmieniły się takie mechanizmy wyłaniania władz, które sprawiły, że na odpowiedzialnych stanowiskach uczelnianych znalazły się osoby nieprzygotowane do należytego wykonywania swoich obowiązków. Różnie bowiem z tym bywało; w każdym razie jest to kwestia dyskusyjna. W okresie pierwszej „Solidarności” ówczesne władze polityczne nie dały jednak wiele czasu na dyskusje w tej i wielu innych kwestiach społecznych. W grudniu 1981 r. doszły one bowiem do wniosku, że sytuacja zaczyna się wymykać spod jej kontroli i wprowadziły stan wojenny. Generalnie oznaczał on próbę powrotu do tego, co miało miejsce przed porozumieniami sierpniowymi 1980 r. Dla uczelni oznaczało to odwołanie wszystkich władz rektorskich i dziekańskich oraz powrót do ich powoływania po staremu. Sytuacja taka trwała do przełomu z 1989 r. Oznaczał on najpierw podzielenie się władzą z polityczną i społeczną z opozycją, a później, gdy okazało się, że ta opozycja ma w gruncie rzeczy znacznie większe poparcie społeczne niż „jedynie słuszna partia” i „jedynie słuszna ideologia”, przejęcie władzy przez tych, którzy znajdowali się po drugiej stronie tej społecznej barykady i opowiadali się nie za demokracją ludową i wolnością ludu, lecz demokracją i wolnością rozumianą na sposób zachodni. Wprawdzie w praktyce okazało się, że ani ta pierwsza, ani też ta druga nie może być wyrażana bez żadnego przymiotnika, to jednak nie przeszkodziło to w dokonaniu w Polsce głębokich zmian społecznych.

W przypadku życia akademickiego wyrażały się one m.in. w pojawieniu się wielu nowych uczelni prywatnych (nazywanych oficjalnie „niepublicznymi”) oraz w znaczącym zwiększeniu liczby studentów. Swoje apogeum zjawisko to osiągnęły w roku 2014. Według ministerialnego wykazu funkcjonowały wówczas w Polsce 434 uczelnie, na których kształciło się ok. 1,5 mln studentów (przed przełomem 1989 r. ich liczba nie przekraczała 900 tys.). Zdecydowana większość uczelni prywatnych stanęła wobec tego samego problemu, z którym borykały się polskie uczelnie po zakończeniu II wojny światowej, czyli stosunkowo dużego zainteresowania ich ofertą dydaktyczną ze strony młodzieży oraz braku odpowiedniej liczby dobrze przygotowanej kadry nauczającej. Rozwiązały one ten problem stosunkowo prosto, tj. poprzez „zaciąg” kadry na drugie i kolejne etaty z uczelni publicznych (niektórzy z ich profesorów potrafili obsłużyć po kilka uczelni niepublicznych). W stosunkowo prosty sposób rozwiązały one również kwestię swoich uczelnianych władz. Generalnie bowiem przyjęły one zasadę, że ten, kto jest założycielem uczelni, ten ma na niej władzę. Na niektórych z tych uczelni takie osoby pełniły i pełnią funkcje rektorskie. Jednym z formalno-prawnych warunków do ich objęcia jest jednak posiadanie stopnia doktora. Ci, którzy go nie posiadali i nie posiadają, a są założycielami tych uczelni i faktycznymi decydentami, występują na nich jako kanclerze lub kanclerze założyciele. Mało kiedy jednak są oni odpowiednikami kanclerzy i wicekanclerzy występujących na uczelniach zachodnich. Ci ostatni bowiem z reguły są osobami posiadającymi nie tylko stopnie i tytuły naukowe, ale także spore doświadczenie akademickie, a w tych przypadkach, w których to drugie nie jest znaczne, rekompensowane jest to dużym doświadczeniem w polityce oraz w pełnieniu znaczących funkcji rządowych (przykładem może być chociażby obecny wicekanclerz Uniwersytetu Cambridge). W polskich realiach akademickich takim osobom brakuje niejednokrotnie nie tylko tego pierwszego, ale także tego drugiego doświadczenia. Mają one natomiast często takie doświadczenie biznesowe, które skłania ich do traktowania swoich uczelni jako prywatnego biznesu (mimo ustawowych zakazów w tym zakresie). Na uczelniach tych funkcjonują również władze rektorskie, senaty oraz jeszcze inne organy władzy. Jednak mało kiedy posiadają oni istotne uprawnienia decyzyjne (wyjątkiem są sytuacje, w których założyciel uczelni jest jednocześnie jej rektorem). Z reguły ich rola sprowadza się do funkcji reprezentacyjnych, a czasami tylko dekoracyjnych.

Inaczej to wygląda na uczelniach publicznych. Wprawdzie po przełomie 1989 r. podejmowane były kilkakrotnie próby dokonania istotnych zmian w funkcjonowaniu wyższych uczelni w Polsce, to żadna z nich nie zawierała takiej propozycji zmiany struktury uczelnianych władz, w której nie byłoby miejsca dla rektora czy senatu uczelni. Wspomniana na wstępie tych rozważań *Ustawa 2.0* obok tych dwóch organów uczelni wprowadza trzeci, tj. radę uczelni. W trakcie trwających prawie dwa lata dyskusji nad projektem tej ustawy zgłoszonych zostało wiele istotnych zastrzeżeń do takiego rozwiązania. Jego autorzy jednak uporczywie go bronili. Wprawdzie nie obronili jego pierwotnej wersji (w jej świetle rada uczelni miała posiadać uprawnienia decyzyjne i kontrolne), to ostatecznie została ona wpisana do tej regulacji prawnej jako organ uczelni opiniujący projekty jej strategii i statutu oraz monitorujący jej gospodarkę finansową i zarządzenia rektora. W dyskusjach tych zastrzeżenia zgłaszane były również do propozycji takiego rozszerzenia uprawnień rektora uczelni publicznej, że w gruncie rzeczy staje się on nie tylko najwyższym jednoosobowym organem decyzyjnym uczelni, ale także jedynym takim organem. Rozwiązanie to pozostało w ostatecznej wersji *Ustawy 2.0*. Nie będę jednak formułował tutaj żadnych przypuszczeń, jak to będzie funkcjonowało w praktyce. Nie będę również oceniał funkcjonowania żadnego z dotychczasowych rektorów mojej uczelni – nie tylko dlatego, że wymagałoby to przywołania różnych okoliczności wyjaśniających i usprawiedliwiających takie, a nie inne wypełnianie przez nich swoich obowiązków, ale także, a nawet przede wszystkim dlatego, że taka ocena mogłaby być zabarwiona sporym subiektywizmem, a być może nawet emocjonalizmem; bo przecież były takie sytuacje w moim wieloletnim funkcjonowaniu na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, w których jedni z rektorów odegrali bardziej, natomiast inni mniej pozytywne role. Jestem jednak przekonany, że tego rodzaju spostrzeżenia ma również wiele tych osób, które przeszły podobną do mojej drogę akademickiego życia.

Pozwolę sobie jednak na pewną ogólniejszą refleksję. Otóż w gabinecie rektora mojej uczelni wiszą na ścianach portrety wszystkich jej rektorów. Sugerowałbym jednak, aby ich wkładu w umacnianie pozycji tej uczelni nie oceniać ani na podstawie wielkości tych portretów, ani też wyrazu tej troski, która maluje się na twarzy niejednej z tych postaci. Nie przywiązywałbym również większej wagi do uzdolnień tych artystów, którzy są autorami tych portretów. Niejednemu z nich bowiem to dzieło wyszło tak, że jego bohater, gdyby jeszcze żył, to być może głośno by protestował. Jest

w tym trochę złośliwości. Mam jednak wrażenie, iż lepsze to niż powiedzenie kilku słów za dużo o tych rektorach, którzy w moim przekonaniu albo zapisali mało chlubne karty w historii mojej uczelni, albo ich wkład w rozwój uczelni był tak skromny, że trzeba sporo trudu, aby go znaleźć.

Konkretniej chciałbym się natomiast wypowiedzieć na temat uczelnianych wyborów. Mam w tym zakresie swoje spostrzeżenia i osobiste doświadczenia. Dwukrotnie bowiem byłem wybierany na stanowisko dziekana sporego wydziału oraz kilkakrotnie miałem mandat elektorski w wyborach władz rektorskich. Na początek kwestia kandydatów na stanowisko rektora. Teoretycznie na tak dużej uczelni jak moja (zatrudniającej ponad 5 tys. pracowników, w tym ok. 3 tys. naukowo-dydaktycznych i dydaktycznych) z ich znalezieniem nie powinno być większych problemów. Formalne wymagania w tym względzie nie były bowiem i nie są specjalnie wygórowane. Przed wprowadzeniem *Ustawy 2.0* jednym z nich było posiadanie stopnia doktora habilitowanego. Takich osób, które spełniają ten wymóg, na mojej uczelni było i jest wiele. Jednak jak już przychodzi do wyborów uczelnianych, to na tzw. giełdzie pojawia się zaledwie kilka nazwisk, w tym tacy, którzy z różnych względów są niewybieralni. Jednak ich pojawienie się w gronie potencjalnych kandydatów do stanowiska rektora może być skutecznym straszakiem dla sporej części akademickiej społeczności oraz może napędzać głosy elektorskie tym, którzy faktycznie mają szanse na objęcie tego stanowiska. Im bliższej samych wyborów, tym lista ta jest coraz krótsza, aż w końcu na placu boju pozostaje tylko dwóch lub niewiele więcej kandydatów. Czy to dobrze, czy źle? Różnie z tym bywa. Z reguły jednak nie jest tak, aby ci nieliczni kandydaci nie musieli stoczyć między sobą poważnej batalii. Reguła ta ma jednak swoje wyjątki, bowiem w przypadku, gdy o reelekcję ubiega się dotychczasowy rektor, szanse jego kontrkandydatów na wygranie wyborów są dużo mniejsze, a bywa niekiedy i tak, że bliskie zeru. Batalia ta oczywiście różnie przebiega. Szczególnie ostra jest ona wówczas, gdy na uczelni istnieją głębokie podziały, a grupy uczelnianych interesów są liczne i wpływowe. Rzecz jasna, poważni kandydaci do objęcia stanowiska rektora nie tylko muszą znać te realia, ale także tak manewrować między tymi grupami, aby przynajmniej w kampanii wyborczej wyglądało na to, że żadna z nich nie znajdzie się na marginesie uczelnianego życia. Łatwiej jest o to tym kandydatom, którzy wcześniej pełnili funkcje prorektorów. Stąd m.in. tak często właśnie oni okazują się zwycięzcami w tej batalii. Niejednokrotnie jest jednak tak, że na stanowisko rektora kandyduje dwóch lub więcej do-

tychczasowych prorektorów. Wówczas tacy kandydaci muszą się wykazać albo lepszymi od innych zdolnościami krasomówczymi (nie zawsze jednak jest to cenione przez uczelnianą społeczność), albo krótszą listą błędów popełnionych w trakcie wypełnienia wcześniejszych obowiązków, albo też takimi trudnymi do jednoznacznej oceny cechami osobowymi, jak pozytywny stosunek do bliższego i dalszego otoczenia. Natomiast raczej im nie pomoże wygrać uczelnianej batalii okazywanie swojej wyższości nad innymi – tacy kandydaci jednak również się zdarzają i czasami nawet wygrywają wybory.

Po drugiej stronie tej wyborczej batalii znajduje się mocno zróżnicowany elektorat. Najliczniejszą, bowiem aż 60-procentową grupę stanowią w nim profesorowie i doktorzy habilitowani. Nie tylko przez wiele lat do niej należałem, ale także przyszło mi się z nimi układać w wyborach dziekańskich (i nie tylko w nich). Niestety, nie w każdym przypadku mogłem z pełnym przekonaniem powiedzieć, że wiem, jakie są ich oczekiwania i wymagania. Trudno było o to zresztą również w trakcie pełnienia przeze mnie przez 8 lat funkcji dziekańskiej. Na Radach Wydziału pojawiały się bowiem takie wystąpienia, z którymi do końca nie było wiadomo, co zrobić – bo powiedzenie komuś, że zachowuje się niezbyt mądrze raczej by utrudniło niż ułatwiło sytuację (jednak taka pokusa istniała). Natomiast kontakty „twarz w twarz” czasami stawiały mnie wobec dylematu: czy dla tzw. świętego spokoju dać w końcu to dofinansowanie, czy też go nie dać i przypomnieć przy okazji, że uczelnia nie finansuje „turystki naukowej” (występującej pod nazwą: udział w konferencji naukowej). W niejednym takim przypadku ratunkiem okazywała się nie tylko daleko idąca wyrozumiałość dla różnych ludzkich niedoskonałości, ale także panowanie nad swoimi emocjami (najtrudniej było o to wówczas, gdy osoba prosząca miała łzy w oczach – pytanie: na ile autentyczne, a na ile teatralne?)

Mniej kłopotliwą grupę elektorów stanowią przedstawiciele pomocniczych pracowników naukowych i naukowo-technicznych. Nie tylko dlatego, że stanowią oni zaledwie 15% uczelnianego kolegium elektorskiego, ale także, a nawet przede wszystkim dlatego, że po pierwsze, łatwiej jest im się między sobą porozumieć, a po drugie, skłonni są oni kierować się sugestiami swoich przełożonych. Rzecz jasna, nie zawsze głosują tak jak ich profesorowie. Jednak wyjątki od tej reguły są stosunkowo rzadkie. Podobnie rzecz wygląda z mającymi 5-procentowy udział w elektoracie przedstawicielami pracowników administracyjnych uczelni. Jest pewną regułą, że do tej grupy elektorów wybierane są osoby, które albo same

pełnią kierownicze funkcje administracyjne na uczelni, albo też takie, które są przez nie asygnowane. Kandydaci do objęcia uczelnianych funkcji muszą zatem przekonać do siebie przede wszystkim owych przełożonych.

Najwięcej niewiadomych związanych jest z elektoratem studenckim. Nie tylko bowiem ma on stosunkowo liczną, bo aż 20-procentową reprezentację, ale też niejednokrotnie jest on podzielony na grupy rozbieżnych interesów. Kandydaci do objęcia stanowisk rektorskich i dziekańskich czasami licytują się w składanych im obietnicach, a studenci nie zawsze orientują się w tym, co jest możliwe do zrealizowania, a co stanowi jedynie „kielbasę wyborczą”. Brak tej orientacji nie zawsze jednak stanowi dla studentów przeszkodę dla popierania w wyborach tych kandydatów, którzy wprawdzie potrafili wiele im obiecać, ale nie potrafili uzyskać wcześniej takiego akademickiego doświadczenia, które dawałoby szanse na należyte wykonywanie przez nich obowiązków rektorskich, prorektorskich lub dziekańskich. Na mojej uczelni mieliśmy w swoim czasie do czynienia z taką sytuacją, że stanowiąca w tym elektoracie frakcję większościową grupa studentów niemal do końca upierała się przy kandydacie na stanowisko prorektora ds. studenckich osoby niepełniającej wcześniej znaczących funkcji uczelnianych i blokowała kandydaturę osoby z doświadczeniem dziekańskim. Kłopot polegał na tym, że w świetle obowiązujących regulacji prawnych kandydat na to stanowisko musi uzyskać poparcie większości studenckiego elektoratu. W końcu (po wielu negocjacjach) udało się uzyskać większościowe poparcie dla kandydata z doświadczeniem dziekańskim, jednak pozostał spory niesmak. Można oczywiście powiedzieć, że taki jest „urok” demokratycznych wyborów. Tyle tylko, że na wyższych uczelniach mało kiedy zasady zwyczajnej demokracji sprawdzają się w praktyce.

## Postscriptum

W tym dopisku chciałbym powiedzieć parę słów o funkcjonowaniu na uczelni tych osób, które w swoim czasie pełniły na niej obowiązki uczelnianych władz, ale zakończyły swoje kadencje i przeszły do kategorii „byłych”. Rzecz jasna, jednym to funkcjonowanie przychodzi łatwiej, innym trudniej. Zdarza się, że niektórzy z nich starają się stać „byłymi” możliwie najpóźniej. Takie uporczywe trzymanie się swojego „stołka” w społecznym odbiorze uchodzi jednak za rzecz mało chwalebłą. W środowisku akademickim jest to o tyle trudne, że pełnienie funkcji rektorskich i dziekańskich ograniczone

jest do dwóch kolejnych kadencji. Nie oznacza to oczywiście, że w żaden sposób nie może być przedłużone – zdarzają się przecież powroty na te stanowiska po przerwie wynikającej z obowiązujących w tym zakresie regulacji prawnych. Wiele jednak w tym przypadku zależy od tego, jak wypadły te osoby, pełniąc swoje uczelniane obowiązki. To z kolei zależy zarówno od ich kwalifikacji, jak i tych cech osobowościowych, które sprawiły, że nie tylko nie odwrócili się od nich ich dotychczasowi współpracownicy i zwolennicy, ale także pozyskali nowych. Z tym jednak różnie bywa. Na tym polega problem nie tylko tych osób, ale także ich akademickiego otoczenia. Ważne jest, aby był on nie tylko uświadamiany, ale także w miarę bezboleśnie dla wszystkich stron rozwiązywany. Przedstawię w tej kwestii kilka swoich uwag i sugestii.

Istnieją oczywiście pewne podobieństwa między funkcjonowaniem „byłych” w polityce oraz w życiu akademickim. W jednym i drugim przypadku zdaje się mieć zastosowanie zasada, że mniej ważne jest to, co oni sami mają istotnego do powiedzenia o sobie i swoich osiągnięciach. Ważniejsze jest natomiast to, co mają na ten temat do powiedzenia inni. To, że czasami zaprasza się ich na różnego rodzaju mniej lub bardziej ważne spotkania – prawiąc im przy tym różnego rodzaju komplementy oraz tytułując „po staremu” – nie oznacza jeszcze, że bardzo wysoko ocenia się ich osiągnięcia. W końcu owe komplementowanie niewiele kosztuje, a nazywanie kogoś „premierem”, „ministrem”, „rektorem” lub „dziekanem” – mimo że osoby te nie pełnią już tych funkcji – należy do dobrych obyczajów. Występują jednak również istotne różnice między byciem „byłym” w polityce i w życiu akademickim. W pierwszym przypadku bowiem można zapisać się w pamięci obywateli zarówno chwalebnyymi dokonaniem, jak i takimi, o których lepiej nie mówić. O tych ostatnich wiedzą jednak tylko nieliczni i z różnych względów zachowują dyskretnie milczenie. W polityce możliwe są również takie sytuacje, w których osoby zajmujące wysokie stanowiska polityczne lub rządowe wprawdzie wiele mówią o tym, co powinno się zrobić i co ewentualnie zrobić, jednak za tymi słowami albo nie idą żadne konkretne działania, albo też idą takie, które stawiają pod znakiem zapytania nie tylko ich prawdomówność, ale także powagę sprawowanych przez nich urzędów. W środowisku akademickim tego rodzaju postępowania nie traktuje się już z taką wyrozumiałością, a popełnione błędy przez tych, których społeczność akademicka obdarzyła w swoim czasie pewnym zaufaniem i powierzyła im znaczące stanowiska, przypominają się mniej lub bardziej otwarcie przy różnych okazjach. Przekonali się o tym m.in. ci byli,



którzy po wynikającej z regulacji prawnych przerwie podjęli nieskuteczną próbę ponownego objęcia kierowniczych stanowisk na uczelniach.

Jak się oni z tym czują? Zapewne niektórzy z nich nie najlepiej. Jednak powiedzenie, że wszyscy oni czują się z tym źle, spotkałoby się zapewne z niedowierzeniem osób znających akademickie realia. Nie jest przecież tak trudno znaleźć w środowisku akademickim przykłady takich „byłych”, którzy w okresie zajmowania przez nich uczelnianych urzędów mieli wprawdzie sporo satysfakcji z bycia na uczelnianym „świeczniku”, ale niewiele dobrego z tego wynikało dla ich uczelni lub wydziału. To drugie jednak nie bardzo trafia do świadomości niektórych „byłych” i zdarza się, iż zachowują się oni tak, jakby wyświadczyli swojej uczelni samo dobro. Nie będę jednak tutaj przywoływał żadnego przykładu. Problem bowiem nie tyle w personaliach, ile w takim pojmowaniu i realizowaniu swoich obowiązków, aby później nie stawiać w kłopotliwej sytuacji siebie oraz tych, z którymi przychodzi się spotykać w uczelnianych murach; bo nie wiadomo, czy zwroty „panie rektorze”, czy „panie dziekanie” nie będą stanowiły okazji do przypomnienia, że nie zrobili oni tego, co zrobić powinni. Problem także w tym, aby ci z nich, którzy pozostawili po sobie trudne do rozwiązania problemy, w końcu zrozumieli, że nie mogą do końca życia oczekiwać, iż należy im się dużo więcej niż uprzejmościowe gesty i słowa. Muszą jednak wyraźnie powiedzieć, że te krytyczne uwagi na temat „byłych” dotyczą jednak nie ich większości, lecz mniejszości.

Większość stanowią ci, którzy pręcej lub później godzą się ze swoim losem, a przynajmniej nie okazują tak demonstracyjnie tego, jak trudno jest im żyć w tym „życiu po byciu” – rektorem, dziekanem lub kierownikiem jakiejś jeszcze innej uczelnianej jednostki organizacyjnej. Rzecz jasna, im wyższe zajmowało się stanowisko kierownicze w uczelnianej hierarchii, tym trudniej jest stać się zwyczajnym profesorem – z tytułem lub bez tytułu, ale w każdym przypadku nie tylko bez symbolicznych oznak uczelnianej władzy, ale także, a nawet przede wszystkim bez tego grona współpracowników i pracowników pomocniczych, którzy załatwiali wiele prozaicznych spraw codziennego życia zawodowego, takich jak pilnowanie kalendarza zajęć, organizowanie różnorakich spotkań czy też – jak to ma miejsce w przypadku rektorów – stawianie się ze służbowym samochodem na określoną godzinę. Bez tego wszystkiego można jednak jakoś żyć i przeżyć do emerytury, a nawet – jeśli wykazało się w poprzednim życiu odpowiednio dużo rozwagi czy chociażby zwyczajnej wyrozumiałości i uprzejmości wobec swoich współpracowników i podwładnych – żyć w miarę przy-



jemnie. Można zresztą w tym „życiu po byciu” znaleźć jakieś pozytywy, np. uczestniczenie w różnego rodzaju uczelnianych uroczystościach bez konieczności wygłaszania przy tym okolicznościowych przemówień czy korzystanie z uczynności i uprzejmości tych uczelnianych pracowników administracyjnych, którzy albo nam coś zawdzięczają, albo też nie do końca orientują się, na czym polega różnica między byciem rektorem lub dziekanem oraz byciem byłym rektorem lub dziekanem.

Uwagi te oparte są wprawdzie na „obserwacji uczestniczącej”; jednak nie chciałbym sprowadzać tego problemu do osobistych doświadczeń – nie tylko dlatego, że nie oddają one jego złożoności, ale także dlatego, że jak zwykle w takich przypadkach – pole widzenia uzależnione jest od „miejsce siedzenia” i do niejednej z tych uwag można zgłosić różnego rodzaju zastrzeżenia. Mimo tego pokuszę się o sformułowanie kilku ogólniejszych sugestii. Po pierwsze zatem warto pomyśleć o tym, że przyjdzie nam być „byłymi” nie tylko w trakcie pełnienia jakiejś ważnej funkcji publicznej, ale także przed jej objęciem. Po drugie, warto konfrontować nasze przekonania o tym, jak wypadliśmy w tej roli nie tylko ze swoimi wyobrażeniami oraz z tym, co mówią nam nasi bliscy koledzy i przyjaciele, ale także z zachowaniami wobec nas naszego dalszego otoczenia. Nie warto przy tym stawiać całej puli naszych oczekiwań wobec tego otoczenia na tzw. wdzięczną pamięć tych, którym w naszym przekonaniu wyświadczyliśmy kiedyś jakąś przysługę. Ludzka pamięć jest bowiem zawodna. Jeśli już jest w niej coś bardziej trwałego, to raczej wyrządzone nam krzywdy (rzeczywiste lub tylko domniemane) niż tzw. dobre uczynki.



## Rozdział II

# Autorytety naukowe na miarę czasu

W takim świecie zmieniających się wartości i wielkości, jaki stanowi kultura, również autorytety naukowe podlegają zmianom, które sprawiają, że te z nich, które w swoim czasie błyszczały na firmamencie nauki albo całkowicie utraciły swój niegdysiejszy blask lub przynajmniej sporo z niego straciły. Rzecz jasna, jedne z nich szybciej, inne wolniej i nie zawsze zależało to od tego, co sobą prezentowały. Z reguły istotny na to wpływ miały również zmiany dokonujące się w ich bliższym i dalszym otoczeniu. Te ostatnie oczywiście także dokonywały się i dokonują raz szybciej, innym razem wolniej. Oznaczało to nie tylko szybszy lub wolniejszy upadek istniejących autorytetów naukowych, ale także pojawienie się nowych. Nauka bowiem nie znosi takiej próżni, jaką stanowiłby ich całkowity brak. Kwestią wartą uważniejszego rozważenia jest nie tylko to, jak one się w niej pojawiały, ale także jakie pełniły i pełnią role oraz jak przechodziły na godną szacunku „emeryturę”, lub też pozostawały na kartach historii w znacznie mniej szacownych formach. Chciałbym przynajmniej odnośnie do niektórych z tych kwestii podzielić się pewnymi uwagami i sugestiami.

### 1. Przykładowe ujęcia problemu

Problem autorytetów był już wielokrotnie analizowany i przedstawiany przez przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych. Na wstępie odwołam się do takiego jego ujęcia, którego autor nazywa „socjologiczno-historycznym”. Zawiera ono nie tylko pewną historyczną retrospektywę pojawiania się i funkcjonowania w kulturze zachodniej różnego rodzaju autorytetów, ale także ma charakter generalizujący. Znajduje się ono w rozprawie Franka Furediego (emerytowanego profesora socjologii na Uniwersytecie Kent w Canterbury) pt. *Autorytet*. We jej wprowadzeniu autor przypomina,

że tytułowe pojęcie w oryginalnej łacińskiej formie (*auctoritas* – powaga moralna) zostało użyte po raz pierwszy „jako forma samopoznania Augusta, cesarza Rzymu, dla wskazania, że wyposażony jest on w coś ważniejszego niż zwykły przywódca wojskowy lub polityczny”<sup>1</sup>. W dalszej części swoich rozważań wykazuje on, że pojmowanie i przedstawianie autorytetu dokonywało się w Cesarstwie Rzymskim poprzez kwestionowanie osiągnięć starożytnej Grecji, w okresie średniowiecza poprzez debaty dotyczące władzy religijnej i świeckiej, a w czasach nowożytnych i najnowszych poprzez debaty na temat funkcjonowania demokracji, opinii publicznej i nauki. W tych kwestiach sporo do powiedzenia mieli tacy „pionierzy nauk społecznych jak Karol Marks, Émile Durkheim, Georg Simmel, Ferdinand Tönnies, a zwłaszcza Max Weber”. W poszczególnych częściach tej rozprawy jej autor analizuje zarówno funkcjonowanie autorytetów w każdym z wymienionych tutaj okresów, jak i wskazuje na takie występujące w różnym czasie i w różnych społeczeństwach procesy, jak: „racjonalizacja autorytetu oraz jej ograniczenia”, „oswajanie z autorytetem opinii publicznej” czy „przekazywanie władzy przez racjonalizację perswazji”. Wskazuje także na różnego rodzaju zmienne, powodujące pojawienie się jednych autorytetów i znikanie innych (np. „wybuch epidemii grypy, klęska żywiołowa, wypadek lub kryzys finansowy”), jego usprawiedliwianie i uprawomocnianie („w całej historii takie podstawowe normy jak boski autorytet, tradycja i zwyczaje, rozum i nauka, powszechna zgoda stanowią bazę dla narracji o uprawomocnianiu autorytetu”) oraz ujawnianie ich słabych stron, gdy w społeczeństwie pojawia się potrzeba perswazji<sup>2</sup>. Często przywoływanym przez Furediego autorytetem jest Max Weber. Wprawdzie nie powołuje się na niego bezkrytycznie (jednym ze stawianych mu przez niego zarzutów jest brak wyraźnej odpowiedzi na pytanie, czy autorytet opiera się na panującej władzy, czy też ta władza opiera się na panującym autorytecie), jednak to właśnie tego uczonego uznaje on za

<sup>1</sup> „Od czasów Augusta były ciągle podejmowane próby zdobycia czegoś więcej niż siły. Jednak raz po raz społeczeństwa uznawały, że trudno jest znaleźć odpowiedni sposób konceptualizacji tego”. F. Furedi, *Authority. A sociological history*, Cambridge University Press, New York 2013, s. 1 nn.

<sup>2</sup> „Sama potrzeba perswazji jest zwykle w czasach nowożytnych świadectwem nieobecności władzy i stanowi ona główny temat tej książki. Naszym celem nie jest przedstawienie historii autorytetu, lecz zbadanie jego zmieniającego się znaczenia od czasów starożytnej Grecji do współczesnych oraz wykazanie, że wierzenia, zwyczaje i konwencje stanowią podstawę dla organu uzasadniającego go”. Ibidem, s. 4.

jednego z bardziej znaczących badaczy analizujących i przedstawiających związki autorytetu z panowaniem społecznym.

Warto przywołać przynajmniej niektóre z Weberowskich wskazań. Szczególnie szeroko i głęboko problem ten jest analizowany w jego rozprawie pt. *Gospodarka i społeczeństwo*. W jej części III, zatytułowanej *Typy panowania*, Weber stwierdza, że zarówno panowanie, jak i autorytet „cechuje określone minimum woli posłuszeństw”. Dodaje, że żaden z nich „nie zadowala się dobrowolnie wyłącznie materialnymi lub jedynie efektywnymi, czy też wyłącznie wartościoworacjonalnymi motywami jako szansami swego trwania. Każdy z nich stara się także wzbudzać wiarę w swą »prawomocność«”<sup>3</sup>. Wyróżnia on „trzy czyste typy prawomocnego panowania”: 1. „racjonalny – opiera się na wierze w legalność ustanowionych porządków i prawa wydawania poleceń przez osoby powołane przez nie do sprawowania panowania [...]”; 2. tradycyjny – opiera się na powszedniej wierze w świętość obowiązujących od zawsze tradycji i prawomocność obdarzonych przez nie autorytetem osób [...]”; i 3. charyzmatyczny – opiera się na niepowszednim oddaniu osobie uznawanej za świętą, za bohatera czy wzorzec, i objawionym przez nią porządkom...” Każdy z tych typów panowania jest przez Webera szczegółowo analizowany i przedstawiany.

Przywołam tutaj jedynie jego ustalenia dotyczące panowania charyzmatycznego. Po pierwsze zatem wyjaśnia on, co nazywa „charyzmą”. W świetle tego wyjaśnienia jest to „uznawana za niepowszednią [...] cecha jakiejś osoby, z racji której uważana jest ona za obdarzoną nadprzyrodzonymi, nadludzkimi lub przynajmniej rzeczywiście niezwykłymi, nie każdemu dostępnymi siłami czy właściwościami”. Odpowiada także na pytania: 1. co rozstrzyga o „obowiązywaniu charyzmy”? (rozstrzyga o tym m.in. „zaufanie do przywódcy, uznanie jej przez osoby podlegającej panowaniu”); 2. jaką rolę odgrywa charyzma w różnych epokach (w epokach związanych z tradycją jest ona „wielką swoistą rewolucyjną siłą”, sprawiającą „przemianę głównej orientacji zasad i czynów”); oraz 3. co sprawia, że charyzma najpierw powszednieje, a później traci swoje panowanie – sprawiać to mają w różnych społecznościach oraz w różnych etapach rozwoju tej samej społeczności wprawdzie różne czynniki, ale do pewnej prawidłowości

<sup>3</sup> „Wraz z rodzajem prawomocności, do jakiej pretenduje dane panowanie [i dany autorytet – Z.D.], zmienia się także typ posłuszeństwa, gwarantującego je sztabu administracyjnego i charakteru sprawowania panowania (i autorytetu)”. M. Weber, *Gospodarka i społeczeństwo. Zarys socjologii rozumiejącej*, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 2002, s. 158 nn.

należy m.in. utrata przez osobę będącą jej nosicielem zwolenników, oraz pojawienie się nowego typu charyzmatyków. Zdaniem Webera zarówno spowszednienie, jak i utrata charyzmy nie odbywa się jednak bez walki<sup>4</sup>.

Interesujące są również spostrzeżenia Webera dotyczące społecznego funkcjonowania intelektualistów i ich związków z charyzmą oraz z różnymi typami panowania. Kwestia ta pojawia się w różnych częściach tej obszernej monografii. W części V, poświęconej analizie „typów religijnych stosunków wspólnotowych”, wyróżnia on warstwę „negatywnie uprzywilejowanych” („ich swoistą potrzebą jest zbawienie od cierpienia”). W tej grupie społecznej znajdować się mają m.in. intelektualiści. Tym, co ich łączy, są m.in. „metafizyczne potrzeby ducha, którego do rozważania etycznych i religijnych problemów nie zmusza materialna niedolna, lecz przymus wewnętrzny, by móc ująć świat jako sensowny kosmos i zająć wobec niego stanowisko”. Nie oznacza to jednak, że intelektualista nie szuka żadnego zbawienia. Oznacza to natomiast, że ten typ zbawienia, którego on szuka, „jest zawsze zbawieniem od »wewnętrznej niedoli«, i dlatego jest zawsze, z jednej strony, bardziej oddalony od życia, a z drugiej – ma bardziej zasadniczy i systematyczny charakter niż zbawienie od zewnętrznej niedoli, które właściwe jest nieuprzywilejowanym warstwom. Intelektualista stara się podążać niezliczonymi drogami i nadać swemu sposobowi życia jakiś całościowy »sens«, a więc doprowadzić do »jedności« z samym sobą, z ludźmi i z kosmosem [...] Im bardziej intelektualista wypiera wiarę w magię, i przez to »odczarowuje« procesy w świecie, które tracą swój magiczny »sens« i już tylko »są« i »dzieją się«, ale już nic nie »znaczą«, tym pilniejszy staje się wymóg, by świat i »sposób życia« jako całość znamionowało znaczenie i »sens«. Konflikt tego postulatu z realiami świata i jego porządkami oraz możliwościami sposobu życia w nim prowadzą do swoistej dla intelektualistów ucieczki od świata, która może być zarówno ucieczką w absolutną samotność, albo – w nowocześniejszej wersji – w nie naruszoną przez ludzkie porządki »naturę«”<sup>5</sup>.

<sup>4</sup> „Początkowo nie zapomina się o osobistych wymaganiach charyzmy pana, a walka charyzmy urzędowej lub dziedzicznej z charyzmą osobistą stanowi w dziejach typowy proces”. Ibidem, s. 190.

<sup>5</sup> „Ten filozoficzny typ intelektualizmu, którego nośnikami są – przeciętnie – społecznie i ekonomicznie dobrze sytuowane klasy [...], nie jest jednak jedynym ani często najistotniejszym z religijnego punktu widzenia. Obok niego istnieje intelektualizm proletariałoidalny, powiązany z intelektualizmem wytwornym przez zająbiające się stadia

Przywołana tutaj Weberowska lista typów intelektualisty i intelektualizmu nie jest kompletna. Jednak nawet na tej wybiórczej podstawie można wskazać pomost prowadzący do filozofów i filozofii. W żadnej części tej rozprawy nie występują oni jednak w głównych rolach, a w tych jej fragmentach, w których się pojawiają, niejednokrotnie nie należą do grona osób godnych szacunku czy społecznego uznania. Widoczne jest to zwłaszcza wówczas, gdy ich funkcjonowanie społeczne oceniane jest – tak jak to ma miejsce w części IV tej rozprawy – z religijnego punktu widzenia. Pojawia się tam stwierdzenie, że całe ich filozofowanie jest jedynie „intelektualną gadaniną”<sup>6</sup>. Lepiej wypadają oni wówczas, gdy są oceniani z politycznego punktu widzenia (przyjęty on jest w części V i VI tej rozprawy). W każdym razie nie tylko nabywają oni wówczas „urzeczowionej charyzmy”, ale także mają istotny wpływ na jej nabywanie przez innych (m.in. poprzez uprawomocnienie w teoriach i praktykach wychowania swojego modelu charyzmy”<sup>7</sup>.

W tej obszernej rozprawie znajduje się niewiele takich wypowiedzi, w których w znaczących rolach społecznych występują uczeni. Tę lukę w pewien sposób wypełnia wykład wygłoszony przez Webera w 1917 r. na Uniwersytecie w Monachium, zatytułowany *Nauka jako zawód (Wissenschaft als Beruf)*. Podjęta w nim kwestia autorytetu uczonych ma co najmniej dwa istotnie różniące się „oblicza” i każde z nich związane jest w jakiejś mierze z panowaniem na wyższych uczelniach – nie tyle jednak z panowaniem osób, ile systemów, w których przychodzi im funkcjonować zawodowo. Pierwszym z nich – nie najpiękniejszym – jest panujący na uczelniach w Sta-

---

przejściowe, a odróżniający się od niego wyłącznie rodzajem typowego sensu, na jaki jest zorientowany”. Ibidem, s. 394.

<sup>6</sup> Z tego punktu widzenia ich potrzeba poszukiwania „sensu” i w pewnym stopniu znajdowanie go poprzez demystyfikację religii i religijności oraz „pogardliwą indyferencję wobec problemów religijnych i Kościoła” sprawia, że „z ich gadaniny nigdy jeszcze nie powstała żadna nowa religia”. Ibidem, s. 402.

<sup>7</sup> „Pierwotnie charyzmatyczne wychowanie może w toku procesu przekształceń stać się formalnie państwową lub kościelną instytucją, albo też może być pozostawione formalnie swobodnej inicjatywie osób zainteresowanych zrzeszonych w cechu. [...] W hellińskiej polis i w Rzymie istniał nie tylko państwowy, ale także kapłański aparat biurokratyczny, który mógłby stworzyć klerykalny system wychowania...” (ibidem, s. 847). Podobnie było w czasach średniowiecza oraz w czasach nowożytnych i praktycznie aż do połowy XIX stulecia, tj. do momentu pojawienia się systemu edukacji świeckiej (na różnych poziomach kształcenia i wychowania) miał on swoisty monopol na tworzenie tego systemu.

nach Zjednoczonych „system biurokratyczny”. Społeczną pozycję uczonego mierzy się w nim miejscem w akademickiej hierarchii i związaną z nim wysokość uposażeń. Najniższy szczebel zajmuje w niej młody naukowiec asystent, otrzymujący „na początku skromną pensję”<sup>8</sup>, a najwyższy – profesor otrzymujący w tym systemie uposażenie odpowiadające średniemu szczeblowi kadry kierowniczej. Problemem jest jednak nie tylko różnica uposażeń, ale także, a nawet przede wszystkim wzorowanie tego systemu na tym, który obowiązuje w kapitalistycznych zakładach produkcyjnych. W efekcie na amerykańskich uczelniach „asystent jest w równym stopniu zależny od dyrektora instytutu, co pracownik w fabryce (dyrektor instytutu uważa bowiem w całkiem dobrej wierze, że ów instytut jest »jego« i że to on w nim rządzi)”. Weber nie wyklucza możliwości posiadania przez takiego dyrektora swoistej charyzmy. Jest to jednak innego rodzaju charyzma niż ta, którą posiadają, a przynajmniej posiadać powinni, uczeni.

Punktem wyjścia nakreślenia obrazu tej ostatniej uczynił Weber ten model uczelni, który obowiązywał (i w jakiejś mierze obowiązuje nadal) na niemieckich uniwersytetach. W nim kadra uczelniana przechodzi drogę od asystenta do profesora. Jednak na tej drodze nie tylko pojawia się stanowisko docenta i ewentualna habilitacja, ale także „bolesny dylemat, czy habilitować zasadniczo każdego naukowca, który wykazał się zdolnościami, czy też uwzględniać »popyt na wykładowców«, a więc monopol nauczania przyznać docentom już utytułowanym”<sup>9</sup>. Istotne znaczenie ma w tym modelu to, że nie można się habilitować na tej samej uczelni, na której uzyskało się doktorat. Sprawia to, że mistrzowie i nauczyciele, którzy są uznawani za autorytety w jednej uczelni, mogą być nieuznawani za nie w innej. Prowadzi to do tego, że „jednym z nieodłącznych momentów uniwersyteckiej kariery jest zwykły przypadek” lub też – co na to samo wychodzi – trafienie (lub nie) na taki szczęśliwy zbieg okoliczności. Weber zresztą szczerze przyznaje, że odegrał on wielką rolę „w powołaniu go w bardzo młodym wieku na profesora zwyczajnego jednej z dyscyplin, na której polu jego rówieśnicy dokonali wtedy z pewnością więcej niż on”. Tak

<sup>8</sup> „Najczęściej odpowiada ona wysokości wynagrodzenia robotnika stojącego niewiele wyżej od robotnika niewykwalifikowanego”. M. Weber, *Nauka jako zawód i powołanie*, w: Z. Krasnodębski, M. Weber, *Wiedza Powszechna*, Warszawa 1999, s. 199 nn.

<sup>9</sup> „Najczęściej wybiera się to drugie wyjście. Oznacza to jednak zwiększenie groźby, że faworyzować się będzie jednak swoich uczniów. [...] Rezultat był taki, że jeden z moich najzdolniejszych uczniów został odrzucony na innej uczelni, a to jedynie dlatego, że nikt mu nie wierzył, że takie właśnie są moje zasady”. *Ibidem*, s. 200.



jednak być nie powinno, a przynajmniej to nie przypadek czy szczęśliwy zbieg okoliczności powinien sprawiać, że otrzymuje się szansę na rozwój naukowy oraz na dojście do znaczących wyników w nauce, a co za tym idzie, stania się naukowym autorytetem.

Tej ostatniej kwestii poświęcona była zasadnicza część jego wykładu. Punktem wyjścia w niej jest problem „wewnętrznego powołania do nauki”. Zaskakujące może być nie tyle kojarzenie go ze znajdowaniem przez uczonego w sobie wielkiej pasji badawczej czy natchnienia do uprawiania nauki, ile łączenie go „z umiejętnością nałożenia sobie kłapek na oczy i utwierdzenia się w przekonaniu, iż los jego własnej duszy zależy od prawidłowego dokonania poprawki w tym właśnie, a nie w innym miejscu rękopisu” (lub w innej badanej „materii”). Jedno i drugie musi jednak być poparte ciężką i uporczywą pracą. Bywa, że w „trakcie tej pracy uczonemu nie przychodzi do głowy żaden »pomysł« co do kierunku, w jakim zmierzają obliczenia, oraz co do znaczenia cząstkowych rezultatów”. Co więcej, „pomysł dyletanta może mieć pod względem naukowym taką samą, a nawet większą doniosłość niż pomysł specjalisty. Wiele naszych najlepszych ujęć problemów i osiągnięć poznawczych zawdzięczamy dyletantom”. Nie oznacza to oczywiście przyznania dyletantom głównej roli w rozwoju nauki. Oznacza to natomiast, że nie ma ani jednej drogi do stania się autorytetem w nauce, ani też jednego wzorca bycia takim autorytetem. Zdaniem Webera nie może jednak nim być nikt, kto nie traktuje swojego zawodu jako powołania do „służenia nauce” („Tyczy to nie tylko nauki”) oraz poszukiwania zarówno w tym, co się bada, jak i w samym podejmowaniu wysiłku badawczego głębszego sensu<sup>10</sup>.

Dopowiedzenia do tych Weberowskich wskazań znaleźć można w pracy zbiorowej pt. *Autorytety w nauce*, pod redakcją Pawła Rybickiego i Janusza Goćkowskiego. Ten ostatni nie tylko w swoich rozważaniach powołuje się na autorytet Webera, w tym na wyróżnione przez niego typy panowania, ale także formułuje bardziej kategoryczne tezy niż jego poprzednik. Stwierdza bowiem, że „nie ma nauki bez autorytetów, jak nie ma szkoły bez nauczycieli, cechu bez mistrza, twórczości bez wzorców, a obyczajów bez norm”<sup>11</sup>. Wskazuje również (powołując się tym razem na takie autorytety

<sup>10</sup> „W ten sposób dotarliśmy do problemu sensu nauki. Nie jest bowiem wcale oczywiste, że to, co podlega tego rodzaju zasadzie, jest samo w sobie sensowne i rozumne. Dlaczego podejmuje się pracę, która w rzeczywistości nigdy nie będzie miała końca, ani nawet nie może się doń zbliżyć”. Ibidem, s. 205.

<sup>11</sup> Dodaje przy tym, że „Autorytety te są nierozzerwalnie związane z tradycją myślenia i działania naukowego oraz stosunków między uczonymi. Stanowią część

w zakresie filozofii nauki, jak Thomas Samuel Kuhn czy Karl Raimund Popper) na ich zróżnicowanie w różnych dyscyplinach naukowych oraz zmienianie pod wpływem naukowej krytyki ich statusu i funkcji. Przy całym różnicowaniu i zróżnicowaniu autorytetów można jego zdaniem „wyróżnić trzy kategorie uczonych miarodajnych i wywierających wpływ na wzory myślenia i działania uprawiających działalność badawczą i nauczycielską w danej dziedzinie wiedzy. Są to: a) wielcy poprzednicy danej dyscypliny; b) »ojcowie założyciele« – wybitni twórcy fundamentów danej dyscypliny; c) doktorzy i luminarze teraźniejszości – prezentujący swą twórczością »sytuację problemową« i sposób uprawiania nauki w danym okresie dziejów ukonstytuowanej już dyscypliny»<sup>12</sup>.

W tym skłaniającym do głębszych przemyśleń zbiorze rozważań o specyfice i roli autorytetu w nauce mieści się również analiza Janusza Sztumskiego związków i różnic między autorytetem i prestiżem. Jego zdaniem są to wprawdzie dwie różne, jednak powiązane ze sobą w kwestie. Różnice widoczne są m.in. wówczas, gdy odwołamy się do łacińskiej etymologii obu pojęć (*auctoritas* oznaczało „poważanie oparte na posiadaniu władzy”, natomiast *prestigia* „oznaczało zarówno czar, jak też kuglarstwo, mamidło, oszukaństwo itp. zjawiska”). W przypadku uczonego w grę może wchodzić zarówno autorytet, jak i prestiż. Ten pierwszy „może wynikać zarówno z rzeczowej oceny jego kompetencji i walorów osobistych, jak też z tytułu zajmowanej przez niego pozycji w społeczności uczonych lub w ogóle w hierarchii społecznej...”. Ten drugi natomiast „jest rezultatem głównie emocjonalnego stosunku do jego właściwości osobistych lub nauki, którą reprezentuje i posiadanego przez danego człowieka tytułu naukowego. Jego zasadniczą funkcją jest przydawanie uczonemu swoistego blasku przypominającego ten, jaki ma autorytet»<sup>13</sup>. Współcześnie ten pierwszy „będzie w dużym stopniu zależeć od kształtujących przebieg procesu sugestii społecznej, np. od dobrze prowadzonej reklamy”.

---

dziejnictwa przejmowanego przez uczonych każdej sekwencji nauki z dorobku poprzedników”. J. Goćkowski, *Funkcja autorytetów naukowych w świecie uczonych*, w: P. Rybicki, J. Goćkowski (red.), *Autorytety w nauce*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, PAN, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk 1980, s. 40 nn.

<sup>12</sup> Ibidem, s. 47. Jedynie dla socjologii podaje on nazwiska tych, którzy podpadają jego zdaniem pod którąś z tych kategorii.

<sup>13</sup> J. Sztumski, *Autorytet i prestiż uczonego*, w: P. Rybicki, J. Goćkowski (red.), *Autorytety w nauce*, s. 37 i in.

## 2. Tak zwane epokowe autorytety

Przed wskazaniem i przeanalizowaniem okoliczności pojawienia się i funkcjonowania tytułowych autorytetów spróbuję wskazać, co się niejednokrotnie rozumie pod tym określeniem – bo to, że ono występuje w języku potocznym, nie ulega wątpliwości, podobnie zresztą jak nie ulega wątpliwości, iż różne osoby mają w tej kwestii różne skojarzenia. Jednak nawet przy tych rozbieżnościach epokowe autorytety mają taką moc przyciągania uwagi, że pojawiają się zarówno w skojarzeniach uczniów, jak i ich nauczycieli. Jeśli jeszcze tym skojarzeniom towarzyszy jakaś refleksja historyczna, to bywają one postrzegane i przedstawiane jako swoiste wizytówki albo którejs z epok, albo nauki w ogóle, albo też którejs z jej dyscyplin. Mogą one jednak występować zarówno w którejs z tych ról, jak i we wszystkich jednocześnie. W przeszłości pojawiały się zresztą próby kreowania takich autorytetów, które miały mieć ponadepokowy charakter. Przykładem może być założona w 1635 r. przez kard. Richelieu Akademia Francuska (*Académie française*). Liczba jej członków nie mogła i nie może być większa niż 40, ich kadencje są dożywotnie i każdy z nich nazywany jest „nieśmiertelnym” (*l’immortalité*)<sup>14</sup>. Podobnie zresztą było w przypadku członków powstających w późniejszym okresie w różnych krajach Akademii Nauk. Ukazuje to nie tylko aspiracje uczonych oraz ich promotorów, ale także występującą przy tej okazji umowność określeń – bo przecież nie ulega wątpliwości, że członkowie tych gremiów nieśmiertelnymi nie byli i nie są. Co więcej, niejeden z nich nie dokonał niczego takiego wielkiego, aby na nią zasłużyć. Mam nadzieję, że stanowi to jakąś odpowiedź na pytanie skąd w tytule tej części rozważań owe „tak zwane” To, że autorytety te nie spełniają i spełniać nie mogą tego warunku, nie oznacza jednak, że nie mogą one spełniać tych warunków, które zostały wskazane przez Janusza Goćkowskiego przy wyróżnianiu ich typów. Rzecz jasna, jedne z nich spełniają je w większej, natomiast inne w mniejszej mierze. Można

<sup>14</sup> Bierze się to stąd, że takie ich osiągnięcie, jakim było opracowanie słownika języka francuskiego (Akademia ta skupiała i nadal skupia głównie literatów), na zawsze miało zapisać się w kulturze francuskiej; i w jakiejś mierze się zapisało (akademyści francuscy faktycznie opracowali taki słownik) – tyle tylko, że nie na „zawsze”. Na stronach internetowych można znaleźć pełen wykaz wszystkich dotychczasowych „nieśmiertelnych” członków tego gremium. Przynajmniej niektórzy z nich mogą być postrzegani jako autorytety w dziedzinie literatury.

jednak znaleźć przykłady takich uczonych, którzy jednocześnie byli poprzednikami swojej dyscypliny, jej „ojcami założycielami” oraz „doktorami i luminarzami”. Przywołam tutaj kilka takich przykładów.

Jednym z nich był i w jakiejś mierze pozostaje Pitagoras (ur. ok. 572 r. p.n.e.). Dzisiaj w programach szkolnych funkcjonuje jako autor twierdzenia Pitagorasa<sup>15</sup>. Tym, którzy studiują filozofię lub przynajmniej interesują się jej tradycjami, znany jest również jako ten z filozofów, który miał swoją filozofię i swój sposób filozofowania (ponoć uliczne filozofowanie uznawał za niegodne prawdziwego filozofa) oraz chciał i potrafił dzielić się nią z innymi, co sprawiło, że miał liczne grono uczniów i kontynuatorów. Odpowiedzieć na pytanie, jaka to była filozofia oraz jaki to był sposób filozofowania, nie jest i niestety nie może być jednoznaczna. Wiele tutaj bowiem zależy od tego, do którego z historycznych przekazów się odwołujemy. Wszystkie one pochodzą z drugiej ręki i powstały wiele lat po śmierci Pitagorasa<sup>16</sup>. Jednym z nich są napisane ok. połowy III wieku n.e. przez Diogenesa Laertiosa *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*. W świetle relacji tego dziejopisarza (powołującego się zresztą również na różne i nie zawsze zgodne ze sobą źródła) Pitagoras miał zarówno znakomitych nauczycieli (ponoć utrzymywał, że ich dusza przeszła do jego duszy), jak i liczne grono takich uczniów, którzy go naśladowali i „przy nim trwali, a na jego wykłady przyjeżdżali nawet cudzoziemcy”<sup>17</sup>. Jednak przynajmniej niektóre z jego zaleceń (maksym) mogą budzić zdziwienie u jednych i rozbawienie u innych – żeby tylko tytułem przykładu przywołać następujące: „Nie oddawaj moczu, zwracając się ku słońcu” ani też „nie oddawaj go na ucięte paznokcie i włosy”. Można zapytać: czy taki wielki uczony i filozof nie miał poważniejszych problemów do rozwiązania i czy wypada mu wypowiadać się publicznie o takich intymnych kwestiach, jak oddawanie moczu?

Tego rodzaju pytań nie wywołuje napisany przez Porfiriusza (zm. ok. 305 r. n.e.) *Żywot Pitagorasa*. Jego tytułowy bohater jawi się w nim bowiem nie tylko jako ważny i poważny uczony i filozof, ale także jako ten, który

<sup>15</sup> Przypomnę, że stosujemy je wyłącznie do trójkąta prostokątnego i pozwala ono obliczyć długość jednego z jego boków w sytuacji, gdy znamy długość dwóch pozostałych – jeżeli bowiem trójkąt jest prostokątny, to suma kwadratów długości przyprostokątnych jest równa kwadratowi długości przeciwprostokątnej.

<sup>16</sup> „Sam Pitagoras bowiem niczego nie napisał i bardzo mało informacji o nim zostało potwierdzonych...” G. Reale, *Historia filozofii starożytnej*, t. I, Wyd. KUL, Lublin 1993, s. 105 nn.

<sup>17</sup> Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, PWN, Warszawa 1984, s. 477 nn.

najpierw uważnie „słuchał nauk Ferekydesa, a później Hermodamasa i Anaksymandra”; „miał syna Arimnestora, który wznosił mu pomnik”, który miał upamiętniać „liczne wynalezione przez niego sztuki i umiejętności”; ponadto „oznaczał się taką czystością obyczajów i niechęcią do spożywania istot żywych, że nie zbliżał się w ogóle do kucharzy i myśliwych”<sup>18</sup>. Zapewne, są to ważne dodatki do wykreowania Pitagorasa na pomnikową postać, ale tylko dodatki. Porfiriusz na nich jednak nie poprzestaje i dalej dodaje, że był on przeciwnikiem tyranów i tyrani (takiej m.in., jaką Samijczykom zgotował tyran Polikrates). „Gdy zaś wylądował w Italii, udał się do Krotony [...], miasto Krotończyków tak było poruszone pojawieniem męża sławnego z wędrówek i niezwykłego, jak też pod względem natury znakomicie wyposażonego przez los (miał bowiem postać szlachetną i wspaniałą i wdzięk, jak też odznaczał się pięknym głosem i obyczajem), że gdy zjednał sobie dusze rady starców przemawiając długo i pięknie do młodzieży, na polecenie sprawujących władzę po raz drugi zwrócił się z naukami do ludzi młodych” – nawet... do kobiet („dla słuchania go powstało zgromadzenie kobiet”). Ważne jest oczywiście nie tylko to, kogo nauczał i jak nauczał, ale także to, czego nauczał. W świetle tego przekazu najistotniejsze w jego nauczaniu było to, że „dusza jest nieśmiertelna, następnie, że przechodzi ona w inne rodzaje istot żywych; ponadto, że po dokonaniu się określonego obiegu czasu to, co niegdyś zostało zrodzone, rodzi się na nowo, słowem nie istnieje nic nowego; dalej, że wszystkie istoty żywe należy uważać za pokrewne sobie”. Ważne jest również to, jak było odbierane to nauczanie przez jego uczniów i słuchaczy. Jeśli wierzyć temu przekazowi, to było ono odbierane z podziwem i to przez „ponad dwa tysiące słuchaczy”; a nawet z taką atencją, że „zaliczyli oni Pitagorasa w poczet bogów”<sup>19</sup>. Dzisiaj ten sposób kreacji autorytetów spotkałby się zapewne z różnego rodzaju zastrzeżeniami w środowisku naukowym, a być może nawet uznany zostałby za przejaw jakiejś niemającej wiele wspólnego z nauką wyznaniowości. W czasach Porfiriusza było to jednak dobrze odbierane i traktowane z całą powagą. Potwierdza to m.in. wizerunek Pitagorasa i pitagorejczyków narysowany przez Jamblichą<sup>20</sup>. Warto pamiętać, że zarówno ten pierwszy, jak i ten drugi byli przeciwnikami wierzeń i praktyk chrześcijańskich.

<sup>18</sup> Porfiriusz, *Żywoć Pitagorasa*, Epsilon, Wrocław 1993, s. 3 nn.

<sup>19</sup> „Dlatego wszyscy spośród nich – ilekroć zamierzali przekazać komuś coś z niewypowiedzianych tajemników Jego nauk [...] przysięgali, przywołując na świadka Pitagorasa jako boga”. Ibidem, s. 10.

<sup>20</sup> Jamblich, *O życiu pitagorejskim*, w: ibidem, s. 27 nn. Rozprawa ta stanowi jedną z 10 ksiąg *Zbioru nauk pitagorejskich* (zachowały się tylko 4 z nich).

Wielką polemikę z nimi prowadził św. Augustyn (354-430), m.in. w swoim *Państwie Bożym*, dziele, które poza wszystkim innym stanowi ważny rozdział w historii obalania jednych autorytetów i kreowania innych, w tym autorytetu jego autora (został on zaliczony do Ojców Kościoła). Interesujące może tutaj być postrzeganie i przedstawianie Pitagorasa nie tyle jako matematyka, ile jako tego czołowego filozofa, który zapoczątkował filozofię Italików i nadał znaczenie samemu pojęciu „filozofia”; „zapytany, czym się zajmuje, odpowiedział, że jest filozofem, to jest przyjacielem albo miłośnikiem mądrości; albowiem uważał za zbyt wielkie zuchwalstwo publicznie siebie mędrcom nazywać”<sup>21</sup>. Za nim poszli inni filozofowie italscy, w tym uznawany przez św. Augustyna za „najcelniejszego z uczniów Sokratesowych, Platon”. Tacy znawcy filozoficznych tradycji jak przywoływany tutaj wcześniej Giovanni Reale nie tylko podzielają to opinię, ale także wskazują na przyczynienie się Platona i platonizmu do umocnienia w kulturze zachodniej autorytetu Pitagorasa jako dużego formatu filozofa i uczonego.

Do tzw. epokowych autorytetów zaliczam również angielskiego uczonego (matematyka, fizyka, astronomia, alchemika i badacza Pisma św.) Izaaka Newtona (1642-1727). Pojawia się on na kartach szkolnych podręczników, „prześladując” tych uczniów, którzy z naukami ścisłymi i przyrodniczymi są raczej „na bakier”, a w każdym razie nie pasjonują się ani prawem powszechnego ciężenia, ani też taką matematyczną analizą, która pozwala odpowiedzieć na pytanie, dlaczego przysłowiowe jabłko spada na głowę, a nie ulatuje w kosmos. W tych rozważaniach nie chciałbym jednak zajmować się ani tymi uczniami, ani nawet tym jabłkiem. Chciałbym natomiast przypomnieć niektóre z tych okoliczności, które sprawiły, że Newton znalazł się w czasach nowożytnych w gronie najbardziej znaczących autorytetów naukowych, a dla niektórych również filozoficznych. Kwestia ta była zresztą już wielokrotnie analizowana i przedstawiana. Odwołam się tutaj jedynie do kilku takich prezentacji, które jeśli nawet nie przekonują do końca trafnością analiz, to przynajmniej mogą stanowić interesujący przyczynek do dyskusji o kreowaniu w czasach nowożytnych i najnowszych epokowych autorytetów.

Pierwsza z nich powstała zaledwie kilka lat po śmierci Newtona, w 1734 r., i stanowi część składową *Listów o Anglikach*. Jej autorem jest filozof francuski Wolter – osoba niemająca wprawdzie gruntownego przygotowania naukowego (zaliczył zaledwie dwuletnie studia w jezuickim Kolegium Ludwika Wielkiego w Paryżu), jednak posiadająca wyostrzony zmysł krytycznej obserwacji, sporą odwagę osobistą i niemały talent literacki

<sup>21</sup> Święty Augustyn, *Państwo Boże*, Antyk, Kęty 2002, s. 289 nn.



(przyznają to nawet jego przeciwnicy). Wszystko to znajduje wyraz m.in. w trzech spośród dwudziestu czterech owych *Listów*, tj. w czternastym (*O Kartezjuszu i Newtonie*), piętnastym (*O systemie ciężenia*) i szesnastym (*O optyce Pana Newtona*). Już z pierwszego z nich można się dowiedzieć „o sławnym Newtonie, burzycielu systemu kartezjańskiego [...], otoczonym szacunkiem ziomków, którzy sprawili mu pogrzeb niby jakimś królowi”<sup>22</sup>. Jego alter ego jest Kartezjusz – jeśli wierzyć Wolterowi, niewielkiej miary uczony, ale jeszcze gorszy filozof („natura stworzyła go niemal poetą”). Ta kreacja jednej wielkości poprzez deprecjację innej kontynuowana jest w kolejnych listach. Jedynie dla oddania jej stylu narracyjnego przywołam stwierdzenie jej autora, że „pan Newton unicestwił raz na zawsze wszystkie te małe i duże wiry”, które wiodły swój żywot w teoriach Kartezjusza, podobnie zresztą jak unicestwił jego „błędnie pojmowaną naturę światła” („twierdził bezpodstawnie, iż jest ono ciałem złożonym z drobniutkich kuleczek”). W *Liście szesnastym* wymieniana i oceniana jest liczniejsza grupa uczonych, tj. Galileusz („ukazał mechanikę sprężyn świata poprzez swoje odkrycia astronomiczne”), Kepler (ukazał ją „poprzez swoje obliczenia”), Kartezjusz („przynajmniej przez swoją dioptrykę”) i Newton („we wszystkich swoich dziełach”). Można byłoby oczywiście zapytać, skąd ten filozof i utalentowany literat czerpie swoją wiedzę na temat tych bądź co bądź specjalistycznych badań i ich wyników? Pytanie to jest tym bardziej zasadne, że w napisanych nieco później *Elementach filozofii Newtona* (ukazały się drukiem w 1740 r.) szczegółowo je analizuje i wskazuje na konkretne błędy popełnione już nie tylko przez Kartezjusza, ale także przez pozostałych uczonych. Nie miał się ich ustrzec nawet Newton. Jednym z nich był pogląd na „rozbiór materii pierwotnej”. Miał on przyjmować – podobnie zresztą jak Kartezjusz – „fantazyjną koncepcję trzech pierwiastków” (ognia, powietrza i ziemi)<sup>23</sup>.

Dla tego sposobu kreowania autorytetów naukowych, jaki prezentuje Wolter, charakterystyczne jest, że pomija się w nich to, co mogłoby być uznane za tak poważny błąd, że w żaden sposób nie mogliby oni znaleźć się w tym zacnym gronie. Dla autora *Listów o Anglikach* takim błędem było m.in. opowiadanie się za religią chrześcijańską. Odpowiedź na pytanie,

<sup>22</sup> Wolter, *Listy o Anglikach albo Listy filozoficzne*, PIW, Warszawa 1953, s. 106 nn.

<sup>23</sup> „[...] obaj oni doszli do tego samego wniosku różnymi drogami. Newton nie zwykł był przyjmować twierdzeń, które nie miałyby podstaw albo w oczywistości matematycznej, albo w doświadczeniu; wierzył on, że również w tej kwestii pozostaje w zgodzie z doświadczeniem”. Niestety, zmyliło go ono, podobnie zresztą jak zmyliło w tej kwestii „sławnego Roberta Boyle’a”. Voltaire, *Elementy filozofii Newtona*, PWN, Warszawa 1956, s. 46 i in.

jak ta kwestia wyglądała u Newtona, można znaleźć m.in. w biografii tego uczonego nakreślonej przez Franka E. Manuela. Jej autor pisze, że „w ciągu trzydziestu lat wyęzionej działalności intelektualnej w Cambridge [uczony ten był w nim najpierw profesorem matematyki, a później optyki – Z.D.], w okresie niczym nieporównywalnego wysiłku, dodawała Newtonowi sił świadomość bezpośredniego, przez nikogo nie zapośredniczonego, osobistego kontaktu z Bogiem, jego Ojcem. To dla jego chwały nieprzerwanie się trudził...”<sup>24</sup>. Inny z autorów intelektualnego wizerunku Newtona – Jerzy Kierul – przypomina, że Newton już od lat młodzieńczych interesował się kwestiami religijnymi, a w latach późniejszych swojego życia podjął próbę „uzgodnienia różnych przekazów historycznych zarówno w kwestii chronologii wydarzeń związanych z religią chrześcijańską, jak i w kwestiach teologicznych”<sup>25</sup>.

Do tzw. epokowych autorytetów skłonny jestem zaliczyć również Alberta Einsteina (1879-1955), z mocniejszym już jednak akcentem na „tzw.” – nie dlatego, że bagatelizuje znaczenie jego osiągnięć naukowych (takich jak szczególna i uogólniona teorii względności), lecz przede wszystkim dlatego, że jego badania i osiągnięcia naukowe sytuują się w jakiejś mierze już w czasach współczesnych, a w nich aspirowanie do epokowej pozycji wygląda cokolwiek podejrzanie<sup>26</sup>. Co przez to rozumiem, wyjaśnię w następnym rozdziale. Tutaj zwrócę jedynie uwagę na uczynienie z tego dużego formatu uczonego postaci medialnej – w różny zresztą sposób, bowiem wystąpił zarówno w głównej roli w emitowanym w telewizji filmie dokumentalnym, jak i wieloodcinkowym filmie fabularnym. Albert Einstein to twórca

<sup>24</sup> „W potajemnych rozważaniach teologicznych rozpatrywał drażliwe problemy dotyczące Trójcy Świętej – badał każdy, w dowolnym języku, biblijny rękopis na temat świętości Chrystusa, który tylko wpadł mu w ręce”. Nieco dalej autor ten dodaje, że „mimo kłopotów ze zrozumieniem religijnych wypowiedzi Newtona, a wiele z nich było filozoficznie nietrafnych, z pewnością można stwierdzić, iż nie był on zwolennikiem ani zwykłego mechanistycznego poglądu na świat, ani deistycznej religii naturalnej. Za złośliwość ująć może powoływanie się na takiego bezbożnego świadka jak Wolter, wówczas gdy dysponujemy licznymi świadectwami nabożnych biskupów...”. F.E. Manuel, *Portret Izaaka Newtona*, Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 1998, s. 130 i nn.

<sup>25</sup> „Prace historyczne i teologiczne Newtona nigdy nie były cenione na równi z jego pracami z fizyki czy matematyki. [...] Centralne miejsce w tych poglądach zajmował zawsze Bóg. [...] Ten sam Bóg, który rządzi przyrodą i wypełnia przestrzeń, jest jednocześnie Bogiem Starego Testamentu, władcą historii”. J. Kierul, *Izaak Newton. Bóg, światło i świat*, Oficyna Wydawnicza Quadrivium, Wrocław 1996, s. 254 i in.

<sup>26</sup> Na temat życia i osiągnięć naukowych Einsteina napisano już sporo biografii. Por. przykładowo: J. Bernstein, *Albert Einstein i granice fizyki*, Świat Książki, Warszawa 2008.



szczególnej teorii względności i autor wynikającej z niej równoważności masy i energii, sformułowanej słynnym wzorem  $E = mc^2$ ; twórca ogólnej teorii względności – uważanej za jego największe dzieło – oraz opartych na niej pierwszych modeli kosmologicznych i pierwszych spekulacji o falach grawitacyjnych; współtwórca pojęcia fotonu i korpuskularno-falowej teorii światła, a przez to mechaniki kwantowej; jednocześnie – czołowy krytyk jej najczęstszej, kopenhaskiej interpretacji i współautor paradoksu EPR; odkrywca emisji wymuszonej, statystyki Bosego-Einsteina i możliwości istnienia kondensatu Bosego-Einsteina.

## Postscriptum

Ważnym głosem w dyskusji nad autorytetami w nauce i w akademickim nauczaniu, ale nie tylko w nich, bowiem również w innych obszarach życia i współżycia z innymi, jest *Umysł zamknięty* Allena Blooma, amerykańskiego filozofa (zaliczanego do nurtu neokonserwatywnego), profesora kilku prestiżowych uniwersytetów (m.in. w Cornell, Yale i Paryżu). Stanowi ona przede wszystkim krytykę tamtejszego szkolnictwa wyższego (już w jej podtytule znajduje się stwierdzenie, że „zawiodło ono demokrację i zubożyło dusze dzisiejszych studentów”). Stanowi ona jednak również postawienie wielkiego znaku zapytania przy postrzeganiu i przedstawianiu Ameryki jako kraju, którego kultura pod niejednym względem przewyższa kulturę europejską, w tym kulturę akademicką. Autor tej książki stara się przekonać jej czytelnika, że jest dokładnie odwrotnie. Do kwestionowanych przez Blooma już w części wprowadzającej tej książki amerykańskich wielkości i wartości należą wolność i wiążąca się z nią bezpośrednio demokracja. Są one wpisane „w literę i w ducha Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych i wpajane nie siłą, lecz przez odwołanie się do rozumu” amerykańskiej młodzieży. Z tego „rodzi się jej instynktowny, bezwarunkowy, a nawet fanatyczny patriotyzm, całkowicie odmienny od przemysłanego, racjonalnego, chłodnego, a nawet egoistycznego przywiązania – nie tyle do kraju, ile do formy i racjonalnych zasad rządzenia – wymaganych w Stanach Zjednoczonych”<sup>27</sup>. Stąd też wywodzić się ma model dzisiejszej edukacji amerykańskiej – określanej przez Blooma jako „edukacji ku »otwartości«”. „Otwartość” ta oznaczać ma, że „edukacja nie wymaga przyjęcia żadnego

<sup>27</sup> Por. A. Bloom, *Umysł zamknięty. O tym, jak amerykańskie szkolnictwo wyższe zawiodło demokrację i zubożyło dusze dzisiejszych studentów*, Zysk i S-ka, Poznań, s. 29 nn.

niekwestionowanego zespołu przekonań, uchodzących za naturalne dla wszystkich ludzi, ani wyrzeczenia się innych poglądów. Jest otwarta na wszelkie typy ludzkie, na wszystkie style życia, na wszelkie ideologie”. Odpowiadając na pytanie, skąd to się wzięło w kulturze amerykańskiej, wskazuje on na tych ideologów liberalizmu, którzy lansowali i umacniali w społeczeństwie amerykańskim „pęd ku niczym nie ograniczonej wolności”. W przeszłości należeli do nich tacy filozofowie, jak Hobbes i Locke, oraz ci ojcowie założyciele państwa amerykańskiego, którzy uznawali ich za autorytety i inspirowali się ich poglądami. Należeli do nich jednak również ci założyciele sekt purytańskich, którzy uciekając przed prześladowaniami w Europie, osiedlali się w Ameryce i wprawdzie „zobowiązywali się do przestrzegania prawa i zachowania wierności konstytucji”, jednak w zamian oczekiwali, że „społeczeństwo zostawi ich w spokoju, choćby głosili najbardziej odrażające poglądy”. W późniejszym czasie te i podobne im idee rozwijali i umacniali w przekonaniach społecznych takie filozoficzne autorytety, jak John Stuart Mill i John Dewey. Natomiast „karykaturą tego nurtu jest pisarstwo Johna Rawlsa, który niestrudzenie przekonuje, że ludziom nie wolno na nikogo patrzeć z góry, a nawet wymyślił formę rządów, która by to uniemożliwiła”. Wszystko to i wiele jeszcze innych liberalnych wielkości i wartości w tej książce jest „na nie”.

Na jej kartach pojawia się jednak również sporo „na tak”. Książka ta bowiem nie jest jedynie aktem oskarżenia starszej i młodszej daty liberalizmu, ale także próbą obrony starszej i młodszej daty konserwatyizmu oraz stających za nimi autorytetów. Największy z nich, Platon, nie powinien być dla nikogo specjalnym zaskoczeniem, a już na pewno nie dla tych, którzy zapoznali się ze *Społeczeństwem otwartym i jego wrogami* Poppera (na jego kartach występuje on jako jeden z najbardziej znaczących i wpływowych zwolenników społeczeństwa zamkniętego). Dalej jednak mogą już się pojawić wątpliwości, czy aby na pewno można zaliczyć wymienione tam autorytety filozoficzne do przeciwników liberalizmu i zwolenników konserwatyizmu. Szczególnie wiele ich może pojawić się przy czytaniu części tej książki zatytułowanej *Niezapisana karta*. Jej autor bowiem próbuje przekonać czytelnika, że ta „niezapisana karta” to, po pierwsze, młodzież amerykańska, która przychodząc na uniwersytet, „nieświadoma jest głębszego ja i świata wykraczającego poza ich powierzchowne doświadczenie” (w odróżnieniu od niej „europejscy uczniowie posiadają znacznie bardziej wyrafinowaną znajomość ludzkiego serca”), a po drugie, niezajomość przez nią dzieł takich znaczących filozofów europejskich, jak Kartezjusz

i Pascal, Rousseau i Kant, a także Montaigne, Rabelais, Racine i Monteskiusz oraz wiele takich (jak to się dzisiaj mówi) „ikon kultury” (w rodzaju Joanny d’Arc, Ludwika XIV czy Napoleona), które kierują naszą uwagę ku czemuś, co jest wprawdzie trudne do jednoznacznego wysłowienia, ale co jednak wzbogaca ludzką duszę i daje głębokie poczucie więzi z bliźnimi, w tym z członkami swojej rodziny („rodzina wymaga szczególnego połączenia natury i konwencji, wymiaru ludzkiego i boskiego”). W tym punkcie rozważań Bloom stawia kwestię autorytetu rodziców. Stwierdza tam m.in., że w społeczeństwie amerykańskim „rodzice nie posiadają autorytetu prawnego i moralnego, którym cieszyli się w Starym Świecie. Brak im wiary w siebie jako wychowawców własnych dzieci”, a także, iż „nie posiadają recept na przyszłość, która pozostaje całkowicie otwarta i przyćmiewa przeszłość, o której wiedzą, że jest niedobra”<sup>28</sup>.

Ten krytyczny głos na temat amerykańskiej kultury współbrzmi do pewnego stopnia z przywoływanymi wcześniej opiniami Maxa Webera na temat amerykańskiego szkolnictwa wyższego. Paradoks polega na tym, że reprezentują oni zasadniczo różniące się opcje ideowe i polityczne – Bloom konserwatywną, a Weber liberalną. Potwierdza się jednak w tym przypadku pogląd, że nawet tak różne opcje może sporo łączyć, a przynajmniej warto szukać nie tylko tego, co dzieli, ale także tego, co łączy. Skłonny jestem nawet twierdzić, że w ten sposób zdobywa się pozycję autentycznych autorytetów – rzecz jasna, nie tylko w nauce i w akademickim nauczaniu.

---

<sup>28</sup> „Rodzice nie sprawują już kontroli nad atmosferą w domu, a nawet nie mają już ochoty podejmować takich prób. Z wielką subtelnością i energią telewizja wkracza nie tylko do pokoju, ale także w gusta starych i młodych, odwołując się do tego, co sprawia natychmiastową przyjemność, a podkopuje wszystko, co w jej doznawaniu przeszkadza”. Ibidem, s. 65.



## Rozdział III

# Samodzielność naukowa

Z dochodzeniem do samodzielnością w nauce pod niektórymi względami jest tak jak w codziennym życiu, tj. osiąga się ją w miarę dorastania oraz przekraczania kolejnych progów dojrzałości i zdobywania swoich umiejętności – począwszy od opanowanie sztuki samodzielnego chodzenia i posługiwania się łyżką, a skończywszy na opuszczeniu rodzinnego domu i znalezieniu się „na swoim”. Takich progów może być i w praktyce jest oczywiście znacznie więcej, a to, który z nich bierze się pod uwagę, zależy nie tylko od dążących do samodzielności, ale także od tych, którzy oceniają te poczynania i pozwalają (lub nie) na ich osiągnięcie i przekraczanie. Niejednokrotnie jest przy tym tak, że to, co dla jednych oznacza przekroczenie kolejnego progu samodzielności, dla innych może oznaczać, i w praktyce oznacza, albo zaledwie zbliżenie się, albo nawet oddalenie się od niego, albo też pójście nie tą drogą, którą pójść się powinno. W każdym razie osiągnięcia samodzielności w nauce nie można sprowadzać ani do samodzielnego stawiania problemów, ani do samodzielnego ich rozwiązywania, ani nawet do ich rozwiązywania w zespole odpowiednio dobranych i dążących do tego samego celu kolegów i współpracowników. Nie od dzisiaj bowiem wiadomo, że w tym obszarze ludzkiej aktywności – podobnie zresztą jak w wielu innych – różne mogą być zarówno cele, jak i sposoby dochodzenia do nich oraz mierzenie ich wartości i ważności. W prowadzonych tu rozważaniach spróbuję to pokazać na konkretnych przykładach. Jednak już w tych wstępnych uwagach można powiedzieć, że te różnice ujawniały się odmiennie nie tylko w różnym czasie, ale także w tym samym czasie, ale w różnych miejscach. Próbowano sobie jakoś poradzić z tą różnorodnością i różnorodnością przejawiania się samodzielności, nadając im formalno-prawne ramy. Problem jednak w tym, że dla osiągnięcia liczących się w niej wyników w nauce potrzebna jest nie tyle,

a nawet nie przede wszystkim samodzielność formalna, ile realna, a tej niejednokrotnie brakowało tym, którzy formalnie już przekroczyli próg samodzielnych pracowników naukowych.

## 1. Trochę historii

Wprawdzie twierdzenie, że „nauka tradycją stoi” nie jest taką oczywistością, pod którą skłonni byliby się podpisać wszyscy uczeni, czy chociażby ich zdecydowana większość, to jednak nawet ci z nich, którzy mają do tego swoje zastrzeżenia, mogą się z godzić z tym, że tradycją stoją znaczące w nauce i w nauczaniu uniwersytety. Jeśli i do tego zgłoszone zostaną jakieś wątpliwości, to można się odwołać do okresu, w którym powstały pierwsze uniwersytety, tj. do czasów średniowiecza, oraz do tych, którzy na nich funkcjonowali i realizowali swoje życiowe i zawodowe cele, oraz pokazać, jak to wyglądało w praktyce. Przypomnę zatem, że pierwszym był Uniwersytet Boloński (powstał w 1088 r.), a niewiele później powstały uniwersytety w Paryżu i w Oksfordzie. Jeszcze dzisiaj można w nich oddychać tym klimatem, którym oddychała ówczesna społeczność akademicka, a przy okazji zobaczyć co nieco z tego, co należy do ich historii i z czego dzisiaj są one takie dumne. Przyznam, że na mnie spore wrażenie zrobiła najstarsza sala wykładowa Uniwersytetu Bolońskiego, stanowiąca wcześniej kościelną nawę, oraz wiszące na jej ścianach ryciny (jedna z nich przedstawia panienkę żegnającą z okna swojego kawalera studenta). Rzecz jasna, ten klimat i ten koloryt ówczesnego życia akademickiego był ważny, jednak nie najważniejszy. Znacznie ważniejsze było bowiem to, że w tamtych odległych wiekach europejskie uniwersytety związane były z Kościołem. Oznaczało to, że do ich misji należało wspieranie dochodzenia nie tylko do prawdziwej wiedzy, ale także do prawdziwej wiary. Ważniejsze było również sprawowanie przez kościelnych hierarchów duchowej i nie tylko duchowej opieki nad uniwersytetami oraz powielanie w nich tych form zwierzchnictwa, które występowały w Kościele (była o tym mowa w rozdziale I tej książki). Z kościelnej tradycji wywodzi się również ten rodzaj zależności, który występuje między profesorami (mistrzami i nauczycielu) i studentami.

Jacques Le Goff w swoim błyskotliwym studium poświęconym narodzinom nowego typu inteligencji w wiekach średnich podkreśla, że od momentu pojawienia się pierwszych uniwersytetów i objęcia na nich stanowisk przez uniwersyteckich profesorów pojawił się również swoisty stan napięcia między kościelną zwierzchnością oraz tą uczelnianą społecznością,

która wprawdzie poczuwała się do swoich związków z chrześcijaństwem, ale nie tylko z nim, bowiem również z tradycją przedchrześcijańską, oraz z tą świecką władzą, która mogła im zaoferować zarówno finansowe wsparcie, jak i pomoc w uzyskaniu większej niezależności od kościelnych hierarchów. Przykładem korzystania z tej pomocy i uzyskiwania coraz większej autonomii (aż do uwolnienia się w latach 1229-1231 spod jurysdykcji biskupa) może być Uniwersytet Paryski<sup>1</sup>. Zanim jednak doszło do uzyskania tej autonomii, uczelniana profesura oraz studenci tej uczelni musieli stoczyć niejedną trudną batalię. Podobnie zresztą było na innych ówczesnych uczelniach, które musiały stawiać czoła nie tylko ingerencjom w ich życie kościelnych hierarchów, ale także lokalnych władz miejskich<sup>2</sup>.

Te i podobne im batalie były prowadzone zarówno przez rzesze mało komu już dzisiaj znanych harcówników, jak i takich bojowników, o których się mówi nie tylko wówczas, gdy się wspomina te trudne dla uniwersytetów stulecia. Na Uniwersytecie Paryskim taką osobą był Pierre Abelard (1079-1142), teolog i filozof, jeden z uczestników głośnego w tamtym czasie sporu o uniwersalia (opowiadał się w nim po stronie zwolenników umiarkowanego realizmu) oraz sporu o status grzechu pierworodnego (uważał on, że jego rozumienie i przedstawianie jako współuczestnictwo w grzechu przodków jest sprzeczne z poczuciem sprawiedliwości)<sup>3</sup>. Na Uniwersytecie Oksfordzkim takim uczonym był Robert Grosseteste (ok. 1175-1253), angielski duchowny (biskup Lincoln) i poddany ówczesnego króla Anglii Henryka III – jednak taki duchowny, który prowadził odważne polemiki z papieżem (w obronie uprawnień miejscowych biskupów), oraz taki poddany, który potrafił zażądać od króla uwolnienia niesłusznie (w jego przekonaniu) uwięzionych uczonych. W ostatnich latach życia wszedł w konflikt ze swoim bezpośrednim przełożonym arcybiskupem Canterbury (jego źródłem była rozbieżność w poglądach na funkcjonowanie Kościoła w Anglii). Spadkiem po jego obecności w murach tej uczelni jest m.in. kaplica jego imienia. Autor *Nauki średniowiecznej i początków nauki nowożytnej* uznał

<sup>1</sup> Por. J. Le Goff, *Inteligencja w wiekach średnich*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 1997, s. 74 nn.

<sup>2</sup> „W Oksfordzie, po samowolnym wyroku na dwóch studentów, których powiesili mieszczanie [...] uniwersytet poczynił w roku 1214 pierwsze kroki ku niezależności. W Bolonii wreszcie konflikt pomiędzy uniwersytetem a mieszczaństwem jest tym gwałtowniejszy, że gmina miejska aż do roku 1278 rządzi miastem właściwie niepodzielnie, pod dalekim zwierzchnictwem cesarza...” Ibidem, s. 76.

<sup>3</sup> Jacques Le Goff nazywa go „chlubą ośrodka paryskiego”, „pierwszym wielkim intelektualistą nowoczesnym – w granicach nowoczesności wieku XII – pierwszym profesorem”. Ibidem, s. 49.

go za „rzeczywistego twórcę tradycji myśli naukowej w średniowiecznym Oksfordzie i w pewnym stopniu twórcę nowożytnej tradycji intelektualnej”<sup>4</sup>. Kontynuatorem takiego funkcjonowania w Oksfordzie oraz takiego myślenia o uczonych i nauce był Wilhelm Ockham (ok. 1284-1349). Do historii przeszła m.in. „brzytwa Ockhama” (wyrażająca się w twierdzeniu: „po co mieć do czynienia z wieloma istotami, jeśli można mieć do czynienia z mniejszą ich liczbą”). Cytowany tutaj historyk nauki przypisuje mu jednak dużo większe osiągnięcie, bowiem według niego przyczynił się on w istotnym stopniu do „zniszczenia wiary w większość zasad, na których opierał się system fizyki XIII w.” Odpowiadając na pytanie, co łączy tych przecież tak różnych uczonych, można krótko stwierdzić, że łączy ich ta intelektualna samodzielność myślenia i odwaga mówienia tego, co się faktycznie myśli. Sprawilo to, że zapisali się oni nie tylko w historii swoich uczelni, ale także w historii nauki.

W późnym średniowieczu i we wczesnym okresie czasów nowożytnych nastąpił swoisty wysyp uniwersytetów – jeśli tak można powiedzieć o ich stosunkowo licznym pojawieniu się w różnych europejskich krajach<sup>5</sup>. Wiązało się to zarówno ze zwiększonym zapotrzebowaniem na uniwersyteckie wykształcenie, jak i na taką kadrę, która posiadała odpowiednie kwalifikacje to tego, aby kształcić studentów. Z tą kadrą w praktyce oczywiście różnie bywało na różnych uczelniach. Mogła się o tym przekonać m.in. społeczność Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie (uczelni mającej w stosunkowo krótkim czasie aż dwie inauguracje działalności). W drugiej połowie XV i w pierwszej XVI wieku na niejednej z europejskich uczelni zaczęły jednak silniej wiać wiatry akademickiej wolności oraz tej samodzielności, która sprawiła, że w ich murach mogli znaleźć dla siebie miejsce zarówno ci, którzy poczuli się przede wszystkim do obowiązków wobec swojej chrześcijańskiej wiary i swojego Kościoła, jak i ci, którzy do tej wiary mieli różnorakie wątpliwości, natomiast wobec kościelnych zwierzchników i strażników ich prawomyślności zgłaszali mniej lub bardziej otwarcie swoje *votum separatum*.

<sup>4</sup> A.C. Crombie, *Nauka średniowieczna i początki nauki nowożytnej*, t. II, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1960, s. 21 nn.

<sup>5</sup> J. Le Goff nazywa to „poszerzeniem się uniwersyteckiego świata” oraz „zmianą uniwersyteckiego krajobrazu, bez niszczenia jego ram” i wskazuje na ich pojawienie się w krajach niemieckich (Wiedeń – 1383, Erfurt – 1379, Heidelberg – 1385, Kolonia – 1388, Wurzburg – 1402, Lipsk – 1409 i in.), w Czechach (Praga – 1347), w Polsce (Kraków – 1364, 1400), że nie wspomnę o rozkwicie uniwersytetów w Szkocji, Hiszpanii, Portugalii, Francji, Italii itd. J. Le Goff, *Inteligencja w wiekach średnich*, s. 18 nn.



Jedną z takich osób był Erazm z Rotterdamu (1466-1536), wykładowca na kilku znaczących uniwersytetach (m.in. w Lowanium, Oksfordzie i w Bazylei), ale także, a nawet przede wszystkim odważny i błyskotliwy polemista (polemizował m.in. z Marcinem Lutrem). Te jego umiejętności widoczne są m.in. w *Pochwale głupoty*, dziele, które już swoim tytułem miało skłaniać czytelnika do jakiegoś sprzeciwu (co jak co, ale głupoty nikt przy zdrowych zmysłach nie pochwała), a swoją treścią jeśli nawet nie do rewizji jego przekonań i zachowań, to przynajmniej do jakiejś krytycznej refleksji nad nimi. Rzecz jasna, Erazm z Rotterdamu miał świadomość, że tym czytelnikiem może być wyłącznie taka osoba, która swoje wykształcenie zdobyła w katolickiej uczelni (innych jednak w jego czasach w Europie Zachodniej nie było). W jego przekonaniu to, co tam mogła osiągnąć, niejednokrotnie rozmijało się nie tylko z ich powagą, ale także z taką rozumą, którą zawdzięczamy pospolitemu zdrowemu rozsądkowi. Jak można bowiem traktować poważnie tych „górnice marszczących się filozofów”, którzy głowę noszą wysoko, ale rozum mają w „niskim poważaniu”; tych wykładających na wydziale sztuk retorów, którzy „wzbudzają wesołość śmiesznym gadaniem”; tych wykładających na wydziale prawa prawników, którzy „jednym tchem płaczą ze sobą setki praw”; tych nauczających na wydziale medycyny medyków, z których „co jeden to większy nieuk, a im większy nieuk, tym bardziej bezczelny”; czy też tych nauczających na wydziale teologii teologów, którzy są specjalistami od „całej kupy niewiele wartych systemów scholastycznych”. Owych „tych” wskazywał on znacznie więcej, bowiem w jego przekonaniu głupota „kocha wielu”, a mądrości jest znacznie mniej. To, co pojawia się na kartach *Pochwały głupoty*, nie stanowi optymistycznej wizji ani ludzi uniwersytetu, ani też tych, którzy przez całe życie nie skalali się żadną uniwersyteckością. Pesymistyczny charakter ma również generalna konkluzja tego dzieła. Jego autor stwierdza w niej bowiem, że „fortuna kocha tych, co niezbyt mądrzy, tych, co mają więcej zuchwalstwa niż rozumu”<sup>6</sup>. Może ktoś powiedzieć, że w okresie, w którym w sposób bardziej odczuwalny zaczęły wiać wiatry wolności, odwaga wyraźnie staniała. Zapewne jest w tym trochę racji. Trzeba jednak również dopowiedzieć, że w tym przypadku ta odwaga łączyła się ze sporą

---

<sup>6</sup> „Mądrość odbiera odwagę i dlatego powszechnie widzicie, że owi mądrzy borykają się z ubóstwem, głodem. Z mrokiem, że żyją w zaniedbaniu, w zapomnieniu, w nienawiści, głupcy natomiast opływają w pieniądze. Dostają się do steru państwa, krótko mówiąc: kwitną na wszelkie sposoby”. Erazm z Rotterdamu, *Pochwała głupoty*, Ossolineum, Wrocław 1953, s. 140 i in.

rozważą – żeby nie powiedzieć: taką mądrością, na którą stać było wówczas tylko niewielu. Potrafili ją zresztą znaleźć i docenić niektórzy z czytelników dzieł Erazma. Byli wśród nich również tacy, którzy potraktowali je jako swoistą instrukcję dla swojego postępowania. Przykładem może być król Anglii Henryk VIII. W jego reformatorskich działaniach można znaleźć nie tylko erazmiańskiego ducha, ale także erazmiańskie pomysły na rozwiązanie niektórych problemów społecznych<sup>7</sup>.

W końcu XVI i na początku XVII stulecia na ówczesnych uczelniach owe wiatry akademickiej wolności nie tylko wiały znacznie słabiej, ale także pojawiły się takie, które je w znacznej mierze wywiały. W krajach katolickich związane to było z postanowieniami Soboru Trydenckiego (swoje obrady zakończył on w grudniu 1563 r.) oraz z ich wprowadzaniem w życie<sup>8</sup>. Jednym z uczonych, który tę zmianę wiatrów odczuł na własnej skórze, był Galileusz (wł. Galileo Galilei, 1564-164), wykładowca najpierw na uniwersytecie w swoim rodzinnym mieście Pizie, a później (w latach 1592-1610) na Uniwersytecie w Padwie (wykładał tym matematykę, mechanikę i astronomię). Do historii przeszła jego intelektualna batalia z kościelnymi autorytetami o zasadność heliocentrycznej koncepcji „układu świata”. Doczekała się ona wielu takich opisów, z których jasno wynika, że racje były po stronie Galileusza, a nie jego oponentów (przyznał to w końcu, dopiero w drugiej połowie XX stulecia, również Kościół). Samodzielność tego uczonego wyrażała się jednak nie tyle w zanegowaniu zasadności geocentrycznej koncepcji „układu świata” i przyjęciu heliocentrycznej (ta ostatnia bowiem pojawiła się na kartach opublikowanego w roku 1543 r. dzieła Kopernika pt. *O obrotach sfer niebieskich*), ile w sposobach jej przedstawiania i bronięcia – były one nie tylko różnicowane, ale także dostosowane do adresatów.

Jego biograf James Reston Jr. prezentuje kilka ich wariantów. Jednym z nich był ten, którego adresatami byli studenci. Rzecz jasna, „mówił po

<sup>7</sup> Autor *Historii społecznej Anglii* pisze, że „Henryk VIII wychował się w atmosferze naukowego antyklerykalizmu Erazma i jego oksfordzkich przyjaciół”, oraz dodaje, że „tak samo jak oksfordzcy reformatorzy reagowali na nauki Erazma za panowania Henryka VIII, tak pod rządami jego syna reformatorzy z Cambridge [...] reagowali na słowa Lutra zza morza”. G.M. Trevelyan, *Historia społeczna Anglii*, PIW, Warszawa 1961, s. 112 nn.

<sup>8</sup> Historyk papieżstwa Leopold von Ranke pisze, że sprawiły one, iż „Wierzący zostali poddani nieskłonemu do wyrozumiałości rygoryzmowi kościelnemu, a w przypadkach szczególnie drastycznych wisiał nad nimi miecz ekskomunikacji”. L. von Ranke, *Dzieje papieżstwa w XVI-XIX wieku*, t. 1, PIW, Warszawa 1974, s. 294 nn.

łacinie i, jak przystało na dobrego nauczyciela, najpierw grał na uczuciach słuchaczy, a potem odwoływał się do wiedzy jako przeciwieństwa zabobonu<sup>9</sup>. Zachowały się również świadectwa jego przemawiania do tych, którzy mieli za sobą autorytet Kościoła. Posiadali oni oczywiście swój rozum i niejednokrotnie udowodnili, że potrafią się nim posługiwać. Galileusz przynajmniej do pewnego momentu wierzył w to, że tak właśnie jest. Tak było m.in. w kwietniu 1611 r., gdy „zdumiał ważne rzymskie osobistości jeszcze jednym wstrząsającym twierdzeniem: obwieścił, że na Słońcu są plamy”<sup>10</sup>. Sytuacja stała się dla niego dramatyczna wówczas, gdy w kwietniu 1633 r. najpierw został uwięziony, a później postawiony przed rzymskim trybunałem inkwizycyjnym pod zarzutem głoszenia herezji. Najpierw próbował się tłumaczyć ze swojego opowiedzenia się za układem kopernikańskim; powoływał się m.in. na swoje rozmowy z ówczesnymi autorytetami kościelnymi w dziedzinie astronomii – takim jak kard. Robert Bellarmin (Galileusz utrzymywał, iż „dał on mu do zrozumienia, że koncepcja Kopernika jest możliwa do przyjęcia tylko ex suppositione”). Nie trafiało to jednak do przekonania sędziów trybunału inkwizycyjnego, a nawet wywołało u nich spore zdziwienie. Spróbował on zatem ratować sytuację (i swoją głowę), stwierdzając, że „dał się ponieść dumie ze swej przenikliwości i mądrości, jak również pysze i pragnieniu chwały”. To jednak również okazało się niewystarczające dla tych sędziów i zażądali oni od niego, aby zobowiązał się „ze szczerego serca i z niekłamną wiarą do wyrzeczenia się swoich błędów, przeklął je i potępił” oraz „przysiąc, że w przyszłości nigdy już nie będzie głosił ani twierdził słowem bądź pismem niczego, co skłoniłoby do takiego podejrzenia”. Jak wiadomo, przystał on na tę propozycję „nie do odrzucenia”. Było to chwilowe zwycięstwo Kościoła.

<sup>9</sup> „Wy wszyscy, młodzi ludzie, którzy napłynęliście tu tłumnie, by wysłuchać mojego wykładu o tym cudownym zjawisku, jesteście powołani, by dać świadectwo prawdzie. [...] To wasze wspaniałe pragnienie wiedzy godne jest najtęższych głów! Gdybyż mój znikomy umysł mógł sprostać ogromowi zagadnienia i zaspokoić wasze oczekiwania. Nie mam na to nadziei”. Jego biograf, za którym przywołuje ten fragment akademickiej narracji Galileusza, stwierdza, że „ta jego skromność niekoniecznie była fałszywa. Galileusz lepiej wiedział, co krytykować, niż jakie twierdzenie wysuwać”. J. Reston Jr., *Galileusz*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998, s. 93 nn.

<sup>10</sup> „Obserwował je przez cały rok jeszcze od czasów padewskich. W Padwie i Wenecji pokazywał je wybitnym osobom [...], ale z Rzymem sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Z teatralnym wyczuciem chwili czekał, by najlepiej zaprezentować ostatnią ze wstrząsających nowin. Według ludzi o ograniczonych umysłach Galileusz popisывał się po prostu bluźnierczymi czarami...” Ibidem, s. 157.

Nie było ono jednak w stanie „wstrzymać Ziemi i ruszyć Słońca”, choć przyczyniło się ono w istotnej mierze do spowolnienia postępów nauki.

Na temat uczonych i nauki w XVIII stuleciu można wprowadzić wiele powiedziec, ale nie można powiedzieć, że najlepsze warunki znajdowali oni na ówczesnych uniwersytetach. Te bowiem przeżywały w wielu krajach, albo swoistą „zadyszkę”, albo wręcz taki stan chorobowy, który wyrażał się w zadowoleniu ich kadry z tego, że stosunkowo niewielkim nakładem czasu i pracy mogła ona wieść wygodne, dostojne i dostatnie życie. Jeśli już ktoś z tej kadry chciał się czymś wyróżnić, to rzadko kiedy było to zaangażowanie w akademickie nauczanie lub w akademickie badania naukowe – częściej było to demonstrowanie przywiązania do swojego Kościoła, swoich akademickich przywilejów oraz swojego akademickiego stołka<sup>11</sup>. Niewiele pod tym względem się zmieniło w pierwszej połowie XIX stulecia. Jeśli już, to na gorsze, zwłaszcza w okresie tzw. restauracji – jej początek przypada na rok 1815 i związany jest z próbą przywracania (nierazko nie siłą argumentów, lecz argumentem siły) tego, co w okresie Rewolucji Francuskiej nazwano *ancien régime*. W życiu niejednego z ówczesnych uniwersytetów wiązało się to m.in. z usuwaniem z ich katedr tych profesorów, których myślenie nie pasowało ani do obrazu „starych dobrych czasów”, ani nawet do obrazu tych czasów, które do historii przeszły pod nazwą „siły i pary” (takiej, jaka np. towarzyszyła pojawiającym się wówczas coraz częściej kolejom żelaznym). Sprawilo to, że niejednen z samodzielnie myślących uczonych i – co niemniej istotne – źle odbierających wskazania i nakazy Kościoła (np. te, które znalazły się w ogłoszonym w 1864 r. przez papieża Piusa IX *Syllabusie Błędów*) poszukiwał możliwości realizacji swoich naukowych planów poza murami ówczesnych uczelni.

Należał do nich Karol Darwin (1809-1882). Ukończył on wprowadzić studia na Uniwersytecie w Cambridge (studiował tam nauki przyrodnicze), ale w żadnym momencie swojego naukowego życia nie był zawodowo związany ani z tą, ani też z żadną inną uczelnią. Był on jednak takim

---

<sup>11</sup> George Macaulay Trevelyan przedstawiając sytuację w Oksfordzie i Cambridge, „jedynych dwóch uniwersytetach angielskich”, przypomina, że „nie dopuszczały one nikogo, kto nie należał do Kościoła państwowego, a tym, których raczyły przyjąć, dawały tak złe i kosztowne wykształcenie, że liczebność ich spadała w sposób żalospny do mniej niż połowy studentów w porównaniu z czasami Lauda i Milтона” [przypadają one na drugą połowę XVI stulecia – Z.D.], natomiast ich kadra „w sumieniu swym rozgrzeszała się od trudu czytania, myślenia i pisania. Rozmowa jej grzęzła w kręgu spraw kolegialnych, polityki torysów, spraw osobistych i prywatnych plotek...” G.M. Trevelyan, *Historia społeczna Anglii*, s. 355 nn.

pasjonatem badań naukowych, którego osiągnięcia zapisały się „złotymi zgłoskami” w historii odkryć naukowych (chciałbym jednak kiedyś zobaczyć chociażby jedną taką „zgłoskę”). Do historii przeszła jego podróż na statku „Beagle”, oraz prowadzone przez niego samodzielne badania na terenie Ameryki Południowej nad występującymi tam gatunkami roślin i zwierząt. Jego biografowie – Michael White i John Gribbin – opisując przebieg tej wyprawy, stwierdzają, że „Karol znajdował się w szczytowej formie, był zdrow, żądny odkryć i wiedzy. Każde nowe doświadczenie rodziło tysiące pytań, na niektóre z nich mógł odpowiedzieć od razu dzięki odpowiednim eksperymentom, inne musiały poczekać, aż znajdzie czas, by utwalić swoje przeżycia i stworzyć spójny system, który tłumaczyłby to, co udało mu się zobaczyć”<sup>12</sup>. I go stworzył (występuje on pod nazwą teorii pochodzenia gatunków drogą doboru naturalnego), tyle tylko, że nie do końca samodzielnie i nie tylko on jeden był wówczas w stanie pokazać i wyjaśnić, że gatunki powstają, rozmnażają się i rozpowszechniają w ten sposób. Przekonująco przedstawiają to autorzy cytowanej tutaj biografii Darwina, przywołując osiągnięcia kilkunastu innych uczonych – zarówno wcześniejszych (takich jak Thomas Malthus), jak i mu współczesnych (takich jak Alfred Russel Wallace). Z niektórymi z nich Darwin utrzymywał zresztą kontakty naukowe i wymieniał się spostrzeżeniami i doświadczeniami, a swoje dzieło życia, rozprawę pt. *O pochodzeniu gatunków*, opublikował w roku 1858 „gnany obawą, że wyprzedzi go książka Wallace’a”<sup>13</sup>. Rzecz jasna, nie oznacza to ani braku jego samodzielności w badaniach, ani sugestii, że przypisywał sobie czyjeś zasług. Oznacza to natomiast taką sytuację, w której samodzielność mierzona jest umiejętnością znalezienia takich uczonych, którzy prowadzą podobne do naszych badania, dzielą się z nami swoimi ustaleniami i mimo wszystko wyprzedzają nas tuż przed przysłowiową „kreską” – jeśli tak można powiedzieć o opublikowaniu wyników swoich badań przed innymi. Dzisiaj jest zresztą rzeczą często spotykaną (przynajmniej w tych naukach, które nie mają większych problemów ze swoją naukowością), że wyprzedzeni czasami przyjmują to ze zrozumieniem i godnością, a czasami się obrażają; jednak nawet ci drudzy jakoś muszą z tym żyć. W końcu, gdyby uczeni mieli się kierować tylko tym, aby nikt przypadkiem nie poczuł się obrażony, to niewiele by się osiągnęło w nauce.

<sup>12</sup> M. White, J. Gribbin, *Darwin. Żywot uczonego*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998, s. 82 nn.

<sup>13</sup> „[...] w rzeczywistości po publikacji *O powstawaniu gatunków* Wallace zarzucił wszelkie plany napisania podobnej książki”. Ibidem, s. 228.

## 2. Samodzielność naukowa w USA

W każdym kraju dochodzenie przez uczonych do samodzielności oraz sposoby jej oceniania i doceniania ma swoją specyfikę. Uwarunkowane to jest zarówno występującą w nich akademicką tradycją, jak i takimi społecznymi realiami, z którymi społeczność akademicka musi się liczyć; a nawet jeśli nie specjalnie jest skłonna się z nimi liczyć, to ci, od których zależy ich zawodowe życie, i tak im wystawią swój rachunek, i nie zawsze będzie on taki, jakiego ci pierwsi by sobie życzyli. Można oczywiście w tym ocenianiu i docenianiu wzorować się na tym, co występuje w którymś ze znanych ze swoich osiągnięć naukowych kraju. Jednak z reguły dosyć trudne jest to do dokładnego skopiowania. W tych krajach, które mają stosunkowo krótkie tradycje akademickie, a nawet w tych, które są one wprawdzie dosyć długie, ale z różnych względów się przeżyły lub się znużyły, niejednokrotnie podejmowane były i są jednak próby upodobniania swoich rozwiązań do tych, które funkcjonują w krajach lepiej radzących sobie w akademickim życiu. Czasami udaje się to na tyle, że to naśladowcze życie pod niektórymi względami jest bliźniaczo podobne do pierwowzoru; jednak tylko pod pewnymi względami i tylko podobne.

Zwracał na to uwagę już Max Weber w 1917 r. w swoim monachijskim wykładzie pt. *Nauka jako zawód*. Zwracał w nim uwagę na różnice występujące między modelem kariery naukowej w Stanach Zjednoczonych i na uczelniach niemieckich oraz na pojawiające się na tych ostatnich próby przeniesienia amerykańskich rozwiązań. Próby te jednak krytykował, bowiem amerykański model funkcjonowania uczelni wyższych jest – w jego przekonaniu – w gruncie rzeczy powieleniem tego, który występuje w kapitalistycznych przedsiębiorstwach; z takimi jego uciążliwościami, jak biurokracja oraz traktowanie uczelnianego asystenta jako najsłabiej uposażonego robotnika („stojącego niewiele wyżej od robotnika niewykwalifikowanego”), docenta jako wprawdzie lepiej uposażonego, ale i mającego więcej obowiązków pracownika, natomiast profesora jako takiego dyrektora fabryki, który ma tak daleko idące uprawnienia, że „w całkiem dobrej wierze uważa, iż to przedsiębiorstwo jest jego własnością”<sup>14</sup>.

I co? I nic lub prawie nic się nie zmieniło od czasu sformułowania przez Maxa Webera tych zastrzeżeń i ostrzeżeń. Jeśli już ktoś chciałby poszukać kontynuacji tego naśladownictwa na uczelniach europejskich, to można

<sup>14</sup> M. Weber, *Nauka jako zawód i powołanie*, w: Z. Krasnodębski, M. Weber, *Wiedza Powszechna*, Warszawa 1999, s. 199 nn.



je stosunkowo łatwo znaleźć. Zainteresowanym polecam lekturę tych rozwiązań zalecanych przez unijnych komisarzy i realizowanych przez ministerialnych decydentów w krajach Unii Europejskiej, które występują pod wspólną nazwą „procesu bolońskiego”. W moim przekonaniu ta „bolonizacja” jest w gruncie rzeczy tą samą amerykańską, przed którą ostrzegał Weber – tyle tylko, że została „przypudrowana” hasłami Europy w jednej Zjednoczonej Europie pod sztandarem jednej Unii Europejskiej. Te ogólne uwagi nie mają stanowić rozpoczęcia batalii z „bolonizacją”, lecz jedynie pewne usprawiedliwienie dla wyróżnienia tutaj amerykańskiego typu samodzielności naukowej. To, co przedstawię w dalszej części tego rozdziału, można jednak potraktować jako swoiste *votum separatum* wobec niejednokrotnie bezkrytycznych lub mało krytycznych piewców amerykańskiej wielkości i doskonałości; a takich, którzy uważają, iż wszystko to, co jest w Ameryce, jest najlepsze, można przecież znaleźć bez większego trudu nie tylko w Ameryce, ale także w Europie, w tym w Polsce.

Na wstępie kilka podstawowych informacji o amerykańskim szkolnictwie wyższym. Odwołam się tutaj do artykułu pt. *Model kariery akademickiej w Stanach Zjednoczonych*. Jego autorka podaje, że dzisiaj w Stanach Zjednoczonych funkcjonuje „6,5 tys. uczelni, w tym 4200 kolegów i uniwersytetów, w których edukacja kończy się uzyskaniem dyplomu, oraz 2300 instytutów, w których w wyniku kształcenia otrzymuje się certyfikaty”<sup>15</sup>. Zdecydowana większość z tych uczelni pełni wyłącznie lub głównie funkcje edukacyjne, i to na poziomie licencjata (ang. *Bachelor's degree*). Osoby, które otrzymały ten stopień akademicki, mogą kontynuować studia na poziomie magisterskim (ang. *Masters's degree*), a później doktorskim (ang. *PHD*). Uprawnienia do nadawania tego ostatniego stopnia naukowego mają jednak tylko niektóre amerykańskie uczelnie. Wśród nich szczególnie wysokim prestiżem cieszą się uczelnie zaliczane do tzw. ligi bluszczowej (w bardziej rygorystycznym ujęciu jest to zaledwie 8, natomiast w mniej rygorystycznym 13)<sup>16</sup>. „W amerykańskim systemie próżno szukać stopni

<sup>15</sup> B. Jałocha, *Model kariery akademickiej w Stanach Zjednoczonych*, „Zarządzanie Publiczne” 3(7)/2009, „Zeszyty Naukowe Instytutu Spraw Publicznych Uniwersytetu Jagiellońskiego”, s. 88 nn.

<sup>16</sup> Tych osiem najbardziej prestiżowych uczelni to: Brown University w Providence (RI), założony w 1764 r. jako Rhode Island College; Columbia University w Nowym Jorku, założona w 1754 jako King's College; Cornell University w Ithaca (NY), założony w 1865; Dartmouth College w Hanover (NH), założony w 1769; Harvard University w Cambridge (MA), założony w 1636; University of Pennsylvania w Filadelfii (PA), założony w 1751 jako Academy of Philadelphia; Princeton University w Princeton (NJ), założony w 1746 jako College of New Jersey, i Yale University in New Haven

doktora habilitowanego czy też tytułów profesorskich. Profesorem można zostać już po doktoracie – profesura to stanowisko obejmowane na uczelni. Amerykański system edukacji wyróżnia kilka typów profesury, co związane jest z doświadczeniem zawodowym danej osoby, pozycją w środowisku akademickim i dorobkiem badawczym”. Na amerykańskich uczelniach batalia toczy się w pierwszej kolejności nie tyle o uzyskanie uczelnianej profesury, ile stałego zatrudnienia (*tenure*)<sup>17</sup>. W pewnym uproszczeniu można przyjąć, że takie zatrudnienie oznacza uznanie pracownika wyższej uczelni za osobę samodzielną naukowo. W Stanach Zjednoczonych są również takie uczelnie, na których *tenure* nie występuje. Są na nich natomiast takie stanowiska, np. *research profesor*, które również oznaczają samodzielność naukową. Tak czy inaczej kraj ten może imponować (nie tylko samym Amerykanom, ale także zewnętrznym obserwatorom ich akademickiego życia) zarówno liczbą posiadanych uczelni, jak i wielością ścieżek dochodzenia do samodzielnej naukowej.

Jak to wygląda pod względem jakości prowadzonych tam badań naukowych i osiągniętych wyników? Jeśli mierzyć to tylko liczbą amerykańskich noblistów, to z całą pewnością jest ona również imponująca (Amerykanie stanowią ponad 80% laureatów tej prestiżowej nagrody)<sup>18</sup>. Jeśli natomiast mierzyć to liczbą najbardziej znaczących odkryć naukowych i wynalazków technicznych, to i tutaj wskaźniki przemawiają na korzyść Amerykanów. Jeśli z kolei mierzyć to umiejętnością najpierw zdobywania przez amerykańskich uczonych grantów na badania naukowe, a następnie ich „przekuwania” na sukces naukowy i finansowy (swoją i swojej uczelni), to zapewne niejednego od nich można się nauczyć (a przynajmniej warto spróbować)<sup>19</sup>. Wielu uczonych z innych krajów podejmuje zresztą próby

---

(CT), założony w 1701 r. jako Collegiate School. Nazwa „liga bluszczowa” wzięła się od zainicjowanego w 1800 r. przez studentów Harvada zwyczaju sadzenia wiosną bluszczu.

<sup>17</sup> „*Tenure* to rodzaj zatrudnienia akademickiego, które naukowiec otrzymuje po okresie próbnym. Zapewnia ono określone prawa, w tym tzw. wolność akademicką oraz możliwość uczestniczenia w zarządzaniu instytucją naukową, w jakiej stałe zatrudnienie się otrzymało”. Ibidem, s. 91.

<sup>18</sup> Według danych z 2010 r. było ich 320. Brytyjczyków w tym czasie na tej liście było 116, Niemców 103, a Francuzów 54. Inne nacje są na niej znacznie skromniej reprezentowane.

<sup>19</sup> „Decydujące znaczenie w konkurowaniu o kolejne posady mają sukcesy w zdobywaniu środków na finansowanie projektów badawczych, co wspomaga finansowo cały wydział. Warto podkreślić jest to, że większość dochodów profesorów w USA pochodzi nie z pensji, a z grantów badawczych. [...] Dlatego właśnie nikt nie akceptuje,



jeśli nawet nie nauczenia się czegoś od Amerykanów, to przynajmniej uważniejszego przyjrzenia się temu, czemu zawdzięczają oni swoje imponujące osiągnięcia, i pielgrzymuje do Stanów Zjednoczonych niczym pielgrzymi do Mekki. Można jednak postawić pytanie: skoro jest aż tak dobrze, to skąd się biorą te krytyczne głosy o amerykańskich uczonych i amerykańskich uczelniach? Przywołane uwagi Maxa Webera (sformułowane po jego powrocie z Ameryki) nie są ani odosobnione, ani też najbardziej krytyczne. Nie chciałbym tutaj jednak występować ani w roli oskarżyciela, ani tym bardziej „advokata diabła”. W Stanach Zjednoczonych wprawdzie byłem, ale zbyt krótko, aby na podstawie własnych obserwacji wyrobić sobie ugruntowaną opinię na ten temat tamtejszych uczonych i uczelni. Odwołam się natomiast do opinii dwóch takich profesorów, którzy albo całe, albo też większość swojego akademickiego życia spędzili w murach amerykańskich uczelni. Są to wprawdzie filozofowie (a o nich niekiedy się mówi, że „ci to już na pewno do czegoś się przyczepią”), jednak zdarza się również, że przynajmniej niektórzy z nich mają sporo racji.

Jednym z tych filozofów jest Richard Rorty (1931-2007), absolwent Uniwersytetu w Chicago (uzyskał na nim stopnie licencjata i magistra filozofii) i Uniwersytetu Yale (uzyskał na nim doktorat) oraz profesor filozofii na kilku amerykańskich uniwersytetach. Klimat tych uczelni, na których studiował i pracował, wspomina on w swojej *Autobiografii intelektualnej*. Można się z niej dowiedzieć, że należał on tzw. młodych zdolnych, a nawet wybitnie uzdolnionych i interesujących się poważnie poważnymi lub w miarę poważnymi filozofami (takimi jak Nietzsche, James, Dewey, Heidegger, Gadamer, Davidson, Putnam, Derrida, Dennet i Wittgenstein). Już we wczesnym okresie swojego życia przejawiał skłonności do samodzielności naukowej, bowiem podjął m.in. próbę samodzielnego pogodzenia tych tak różnych filozofów<sup>20</sup>. Zarówno na Uniwersytecie w Chicago, jak i w Yale nauczycieli miał znakomitych. Na tym pierwszym m.in. Richarda McKeona i Rudolfa Carnapa, natomiast na tym drugim m.in. Carla G. Hempela i Richarda Schmitta; „stworzyli mu oni mnóstwo sposobności do doskonalenia jego zdolności argumentacyjnych”, a McKeon wyuczył

---

a tym bardziej nie अनुसुजे profesora, który dla zatrudniającej jednostki generuje jedynie obciążenia finansowe”. Ibidem, s. 94 nn.

<sup>20</sup> „Ze swą pierwszą parą filozofów zapoznałem się w wieku lat trzynastu. Byli to Platon i Nietzsche. Moja reakcja była następująca: nie mogą mieć oni racji równocześnie, choć z pewnością musi istnieć jakiś sposób ich pojednania”. R. Rorty, *Autobiografia intelektualna*, „Przegląd Filozoficzny” Rocznik 20, 3(79), Warszawa 2011, s. 12 nn.

go umiejętności wykazywania niepodważalności każdego stanowiska filozoficznego dzięki redefinicji terminów i przyjmowania odmiennych tez wyjściowych<sup>21</sup>.

Jego kłopoty zawodowe zaczęły się w momencie, gdy dorósł intelektualnie na tyle, że zaczął stawiać pod wielkim znakiem zapytania sens uprawiania filozofii przez jego nauczycieli z Chicago i z Yale. Dał temu wyraz m.in. w swojej opublikowanej w 1989 r. monografii pt. *Przygodność, ironia i solidarność*. Jej generalna teza sprowadza się do twierdzenia, że raczej nie są ani po stronie tych pierwszych, ani po stronie tych drugich, lecz tych, którzy tak jak w przeszłości Nietzsche i Heidegger, a współcześnie Foucault i Derrida, uważają, iż filozofia nie jest w gruncie rzeczy żadną nauką. Może ona jednak być taką dobrą literaturą, która podejmuje i przedstawia problem celu ludzkiego istnienia<sup>22</sup>. Reakcja profesorów filozofii z jego macierzystych uczelni była łatwa do przewidzenia – można ją wyrazić krótko: „Panu Rorty'emu już dziękujemy i niech Pan poszuka sobie miejsca na innej uczelni”. Nie tylko go poszukał, ale także je znalazł. Ameryka ma przecież takie uniwersytety, które przyciągnęły niejednego dysydenta; w tym przypadku były to najpierw Uniwersytet Princeton, później Uniwersytet Wirginii, a na końcu Uniwersytet Stanforda. To przemieszczanie się z uczelni na uczelnię traktował on ze sporym dystansem, a nawet pogodną ironią (o pracy na ostatnim z tych uniwersytetów napisał, że „w końcu poczuł się przydzielony do stanowiska przejściowego filozofa modnych studiów”). Podobnie jednak można potraktować mit Ameryki jako kraju takiej wolności, w którym bez negatywnych następstw można mieć takie poglądy, które odbiegają od poglądów autorytetów funkcjonujących w danym środowisku i obnosić się z nimi bez żadnych poważniejszych konsekwencji.

Drugim z tych filozofów, którego przywołałam tutaj na świadka, jest Allan Bloom (1930-1992), również absolwent Uniwersytetu w Chicago, mający po części tych samych nauczycieli (np. Richard McKeon), a później wykładowca najpierw na uniwersytetach w Cornell, Toronto, Yale

<sup>21</sup> „Schmitt zwrócił mi w końcu uwagę, że zacząłem przemieniać się w monomaniakalnego nudziarza, co skłoniło mnie do poszukiwań bardziej konstruktywnego sposobu uprawiania filozofii. Oczywiście alternatywą wydawała mi się filozofia analityczna”. Ibidem, s. 16.

<sup>22</sup> „W *Przygodności* próbowałem, jeszcze raz pogodzić dwie linie myślenia, a także dwa zestawy lektur, które uznałem za równie poruszające. Jedną była idea wspólna dla Nietzschego i Oscara Wilde'a, że doskonalenie estetyczne stanowi cel życia ludzkiego. Drugą było twierdzenie wspólne dla Kanta, Milla, Rawlsa i Deweya, że nasza odpowiedzialność wobec innych ludzi ma pierwszeństwo”. Ibidem, s. 31.

i ponownie w Chicago. Rozgłos przyniosła mu opublikowana w 1987 r. książka pt. *Umysł zamknięty* (*The Closing of the American Mind*). Zaraz po jej opublikowaniu spotkała się ona z pozytywnymi recenzjami (zamieszczonymi m.in. w „The New York Times”, „Newsweek” i „The Washington Post”). Później przyszło jednak pewne „opamiętanie” (jeśli tak można nazwać pojawienie się na łamach tych samych czasopism krytycznych recenzji). Po jej uważniejszym przestudiowaniu niejednemu z jej recenzentów mogła się „zapalić w głowie czerwona lampka” i pojawić się klasyczne pytanie-odpowiedź: „z kogo się śmiejecie, z samych siebie się śmiejecie”. Trzeba jednak powiedzieć, że ani autorowi tego dzieła nie było specjalnie do śmiechu, ani też nie wygląda na to, aby miał on zamiar rozśmieszać jej czytelnika. Wygląda raczej na to, że jego generalnym zamiarem było ośmieszenie amerykańskiego „zadęcia” (czytaj: przekonania Amerykanów o ich „wielkości ponad wszystko i ponad wszystkimi”) lub przynajmniej „spuszczenie nieco powietrza” z tego wielkiego „balonu”, który unosi się nad głowami bezkrytycznych Amerykanów i admiratorów ich osiągnięć. Jest kwestią dyskusyjną, na ile udało mu się osiągnąć tym dziełem taki efekt. Poza dyskusją jest jednak, że próbował w nim pokazać i wykazać, że po pierwsze, amerykańska kultura w swoich najbardziej typowych formach należy nie do tzw. wysokiej, lecz raczej niskiej kultury (nazywanej również popkulturą), a po drugie, że amerykańscy przedstawiciele nauk społecznych i humanistycznych nauczający na amerykańskich uniwersytetach nie są na tyle samodzielni w swoim myśleniu, aby formułować oryginalne teorie, a te, które wykładają swoim studentom, są niejednokrotnie marnymi kopiami europejskich pierwowzorów.

Przywołam tutaj tylko kilka przykładów ze znajdującej się w *Umyśle zamkniętym* długiej listy tych naśladowczych działań i produkowania przez tych profesorów raczej marnych kopii. Na początek filozofowie i filozofia. Prawdziwe wielkości w tym zakresie w przekonaniu Blooma pojawiły się w Europie i w gruncie rzeczy w Europie pozostały. W części pierwszej tej rozprawy – zatytułowanej *Niezapisana Karta* – stwierdza on, że „brak jest amerykańskich odpowiedników Kartezjusza i Pascala, a na dobrą sprawę także Montaigne’a, Rabelais’go, Racine’a, Monteskiusza i Rousseau”<sup>23</sup>. Nie lepiej wygląda kondycja amerykańskich psychologów i psychologii. Na

<sup>23</sup> „[...] nie wynika to z niskiego poziomu życia literackiego w naszym kraju. Rzecz raczej w tym, czy istnieją pisarze, którzy są niezbędni do budowy gmachu naszej duchowości, których należy mieć przeczytanych i przemyślanych, aby uzyskać miano osoby wykształconej...” A. Bloom, *Umysł zamknięty. O tym, jak amerykańskie*

koniec tej części rozważań przywołuje on swoją dyskusję z profesorem psychologii w Cornell University i stara się pokazać, że jego rozmówca tak naprawdę nie wie, o czym mówi (a rzecz dotyczy tak ważnej kwestii, jaką jest zlikwidowanie przesądów). Natomiast w jej dalszej części pojawiają się stwierdzenia, że amerykańska psychologia to „sprymityzowany Freud”<sup>24</sup>. Podobnie zresztą oceniana jest amerykańska socjologia, reprezentowana przez takich powszechnie znanych i uznanych uczonych, jak Talcott Parsons – jego teoria to zdaniem Blooma „sprymityzowany Weber”. Ten ostatni jednak także nie był bez „grzechu wtórności”<sup>25</sup>. „Koło ratunkowe” dla amerykańskiej kultury akademickiej widzi on w powrocie do europejskich pierwowzorów i to nie tylko nowożytnych, ale także starożytnych, zwłaszcza takich jak filozofia Platona<sup>26</sup>.

### 3. Samodzielność naukowa w Polsce

Polskie tradycje akademickie są wprawdzie starsze niż amerykańskie, bowiem sięgają XIV stulecia i związane są z założoną w roku 1364 przez króla Kazimierza Wielkiego Akademią Krakowską, przemianowaną w 1400 r. na Uniwersytet Jagielloński, jednak ta uczelnia miała zarówno lepsze, jak i gorsze lata. Jej rozkwit przypada na XVI stulecie – do jej studentów należał w tamtym czasie Mikołaj Kopernik (studia na niej ukończył w 1495 r., jednak bez uzyskania akademickiego stopnia). Dosyć często jednak co bardziej ambitni jej absolwenci uzupełniali wówczas swoje wykształcenie na uczelniach zachodnich (w przypadku Kopernika były to uniwersytety w Bolonii i w Padwie). W XVIII stulecia uczelnia

---

*szkolnictwo wyższe zawiodło demokrację i zubożyło dusze dzisiejszych studentów*, Zysk i S-ka, Poznań, s. 59 nn.

<sup>24</sup> Problem jednak nie tylko w tym, że amerykańscy psycholodzy nieudolnie podążają za wskazaniami Freuda, ale także w tym, że „psychologowie pokroju Freuda błąkają się po ziemi niczyjej pomiędzy nauką – odmawiającą istnienia zjawiskom, dla których Freud szuka wyjaśnienia – i nieświadomością, która leży poza jurysdykcją nauki”. Ibidem, s. 237.

<sup>25</sup> „Weber postawił sobie za cel wykazać, że powstanie kapitalizmu nie było materialną koniecznością, że o biegu historii przesądza ludzkie Weltanschauungen [...], że duch porusza materię, a nie odwrotnie. Powrócił tym samym do starszego poglądu, zgodnie z którym jednostki mają znaczenie, ludzie są wolni i potrzebują przywódców”. Ibidem, s. 249.

<sup>26</sup> Za swoje najbardziej znaczące osiągnięcie uważał on opublikowany w 1968 r. przekład *Państwa* Platona, wraz z zamieszczonym w nim jego komentarzem.

krakowska (podobnie zresztą jak powstałe później uczelnie we Lwowie i Wilnie) dołączyła do tej niechlubnej grupy tych europejskich uczelni, w których życie akademickie przebiegało leniwie, a jeśli już uczelniana profesura musiała się czymś wykazać, to było to przywiązanie do swojego Kościoła oraz swojego biskupa. Jak to wyglądało na uczelni krakowskiej, opisał Hugo Kołłątaj (również jej absolwent) w swoim *Raporcie z wizytacji Akademii Krakowskiej odbytej w 1777 r.* Krótko rzecz ujmując, zdaniem tego wizytatora podobna była ona do „szkieletonu przedpotopowego mamuta”, a największą odpowiedzialność za doprowadzenie jej do takiego stanu ponosić mieli wyznaczający w niej standardy kształcenia i badań naukowych jezuita<sup>27</sup>. Reformatorskie poczynania Kołłątaja doprowadziły wprawdzie do poprawy jej akademickiej kondycji, ale na krótko, bowiem później przyszedł okres rozbioru Polski między trzech jej sąsiadów (Rosję, Austrię i Prusy) i dyktowania przez nich (aż do 1918 r.) swoich standardów akademickiego życia.

Po 1918 r. na ziemiach odrodzonego państwa polskiego przywrócono działalność najstarszych uczelni, tj. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie oraz Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, i utworzono nowe. W sumie w latach międzywojennych (1918-1939) w Polsce wyższych uczelni było jednak stosunkowo niewiele, bo zaledwie 20 (w tym 13 państwowych), a jeszcze mniej prowadziło na wysokim poziomie badania naukowe oraz kształcenie. Na pytanie, jakie obowiązywały na polskich uczelniach w okresie międzywojennym zasady uznawania jej pracowników za samodzielnych pracowników naukowych, można odpowiedzieć krótko: generalnie takie jak na uczelniach tych krajów, które wcześniej podzieliły się polskimi ziemiami. W przypadku mojej macierzystej uczelni, Uniwersytetu Poznańskiego, droga akademickiej kariery prowadziła od asystenta, poprzez doktora i docenta, do profesora. Takim progiem, którego przekroczenie oznaczało uzyskanie statusu samodzielnego pracownika naukowego, była habilitacja. Jakaś „resztówka” pozostała z tego zresztą do dzisiaj.

Jednak tylko osoby słabo orientujące się w realiach życia akademickiego w Polsce po 1945 r. skłonne będą podpisać się pod stwierdzeniem, że uzyskanie stopnia doktora habilitowanego w zdecydowanej większości

---

<sup>27</sup> „Gdyby Akademia Krakowska nie była prześladowana przez jezuitów [...], co by jej przeszkodzić mogło w utrzymaniu w dobrym stanie tych nauk, w których przez dwa wieki zbierała sławę...” H. Kołłątaj, *Raport z wizytacji Akademii Krakowskiej odbytej w r. 1777*, w: idem, *Wybór pism naukowych*, Warszawa 1953, s. 155 nn.

przypadków równoznaczne było z uzyskaniem faktycznej samodzielności naukowej. Przez wiele lat miała bowiem miejsce deprecjacja znaczenia tego stopnia naukowego i nie tylko zresztą jego, bowiem również stopnia doktora i tytułu profesora. Spory udział w tym mieli polityczni decydenci. Jednak niewiele by mogli oni zdziałać bez znajdowania zrozumienia i wsparcia w części akademickiej społeczności. Szczególnie jest to widoczne w pierwszych latach po zakończeniu wojny. Okres ten nazywany jest – w zależności od miejsca siedzenia i punktu widzenia – kreowaniem i utrwalaniem władzy ludowej (tak mówią ci, którzy czerpali z tego stosunkowo największe korzyści) lub stalinowskich represji, wyrażających się m.in. w usuwaniu z publicznych urzędów lub niedopuszczaniem do nich osób nieprawomyślnych oraz takich, którzy swoim życiorysem nie wzbudzali zaufania ówczesnych władz. W niejednym przypadku wystarczyło, że ktoś miał tzw. inteligenckie pochodzenie, aby znalazł się na liście obywateli drugiej lub dalszych kategorii i nie został dopuszczony do wykonywania zawodów wymagających publicznego zaufania; należy do nich bez wątpienia zawód nauczyciela, w tym nauczyciela akademickiego. Na ten temat powiedziano już jednak dużo sporo – nie tylko zresztą o tym, co miało wówczas miejsce w Polsce<sup>28</sup>.

Nie chciałbym się znęcać nad kimś i czymś, co i tak już leży na „łopatkach”. Powiem zatem krótko: był to okres, w którym komunistyczna ideologia uzyskała wyraźną przewagę nad zwyczajnym zdrowym rozsądkiem, a jej siła przekonywania była taka, że nie potrafili jej się oprzeć nie tylko ludzie niewykształceni i słabo wykształceni, ale także część ówczesnej inteligencji. W rozrachunkowej literaturze z tamtym okresem pojawiło się i zrobiło sporą karierę określenie autorstwa Czesława Miłosza „zniewolony umysł”<sup>29</sup>. Pod niejednym istotnym względem „umysł” ten różnił się od „umysłu zamkniętego” opisanego przez Allana Blooma. Jednak – podobnie jak w przypadku tego pierwszego – charakterystyczna była dla niego wprawdzie autentyczna, ale raczej mało racjonalna wiara w to, że albo już żyjemy w nowym, dużo lepszym od poprzedniego świecie, albo też niewiele potrzeba do tego, abyśmy się w nim znaleźli, a ci, którzy w to powątpiewają lub nam utrudniają znalezienie się w nim, nie zasługują na

<sup>28</sup> Zainteresowanych odsyłam do *Czarnej księgi komunizmu* (w podtytule mówi się o jego „zbrodniach, terrorze i prześladowaniach”, Prószyński i S-ka, Warszawa 1999) oraz do niemniej interesującego dzieła, jakim jest książka Michała Hellera i Aleksandra Niekricza pt. *Utopia u władzy* (Zysk i S-ka, Poznań 2016).

<sup>29</sup> Cz. Miłosz, *Zniewolony umysł*, Wyd. Literackie, Kraków 1989.

uznanie i szacunek<sup>30</sup>. W przywoływanej tutaj książce Henryka Słabka pojawiają się jedynie pewne wzmianki na temat środowiska akademickiego (głównym przedmiotem jego zainteresowania są polscy literaci), jednak nawet na ich podstawie można się zorientować, że nie tylko nie było ono bez grzechu w upowszechnianiu i ugruntowywaniu marksistowskiej ideologii i związanej z nim wiary w komunizm, ale też zapisało w tym zakresie znaczące strony<sup>31</sup>. Z czasem u niektórych z nich nastąpiło intelektualne „przebudzenie”, a nawet pojawiło się jakieś zawstydzenie tym, że tak łatwo dali się uwieść „urokom” marksizmu i komunizmu; jednak tylko u niektórych, bowiem byli również i tacy, którzy nawet wówczas, gdy utracili swoje monopolistyczne stanowiska na polskich uczelniach i wyemigrowali za granicę, ze sporym uporem trwali „przy swoim”<sup>32</sup>.

Jednym z takich „przebudzonych” był Leszek Kołakowski (1927-2009). Akademickie wykształcenie (w zakresie filozofii) zdobywał on najpierw na Uniwersytecie Łódzkim, a później Warszawskim. W historii tej ostatniej uczelni zapisał się on nie tylko jako jej profesor (w latach 1957-1968 kiero-

---

<sup>30</sup> „Nowy ustrój budził ciekawość i zainteresowanie także wśród intelektualistów niechętnych mu. [...] W sumie, odmiennie niż dotąd, właśnie twórcy kultury i nauki [...] stawali się wzorcem społecznych zachowań i aspiracji. Spełniał się piękny sen rodowej inteligencji o zwycięstwie wartości ducha nad obcym jej fetyszem zysku i bogactwa. Nadchodziła – wydawało się – dla intelektualistów wyjątkowa epoka, która mogła wcielić w życie ich artystyczne i społeczne marzenia”. H. Słabek, *Intelektualistów obraz własny w świetle dokumentów autobiograficznych. 1944-1989*, Książka i Wiedza, Warszawa 1997, s. 54 nn.

<sup>31</sup> „Kadrę wykładowców na wyższych uczelniach zasilili wielu młodych naukowców, którzy przybyli ze ZSRR z Wojskiem Polskim, gdzie najczęściej pełnili funkcję oficerów politycznych. Byli wśród nich wybijający się młodzi ekonomiści (Włodzimierz Brus, Maksymilian Pohorille, Bronisław Minc, Seweryn Żurawicki), filozofowie (Adam Schaff, Bronisław Baczek, Stefan Morawski, Jakub Litwin), prawnicy i historycy (Stefan Rozmaryn, Stanisław Ehrlich, Leon Schaff, Juliusz Bardach, Leon Grosfeld)”. Ibidem, s. 56.

<sup>32</sup> Przykładem takiego uczonego marksisty, który do końca życia obstawał „przy swoim”, może być Adam Schaff (1913-2006) – w tamtych latach jeden z bardziej znaczących i wpływowych marksistowskich ideologów i filozofów, założyciel (w roku 1950) Instytutu Kształcenia Kadr Naukowych przy Komitecie Centralnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a później (w 1954 r.) Instytutu Nauk Społecznych przez KC PZPR (absolwentów tych instytutów Słabek nazywa „janczarami reżimu”). Po wydarzeniach „marcowych 1968 r.” (związanych z nagonką na intelektualistów żydowskiego pochodzenia) swoją działalność naukową kontynuował za granicą (m.in. w Austrii).



wał w niej katedrą historii filozofii nowożytnej), ale także jako jeden z tych ośmiu studentów, którzy w 1950 roku wystąpili z listem otwartym do jej władzy, w którym protestowali przeciwko dopuszczeniu prof. Władysława Tatarkiewicza (znakomitego znawcę historii filozofii) do prowadzenia seminariów (zarzucali mu „wyraźnie wrogi stosunek do budujących w Polsce socjalizm”). Jak wyglądało to zniewolenie jego umysłu w okresie łódzkim, wspominał on po latach w swoim wykładzie z 1992 r., wygłoszonym w związku z przyznaniem mu przez Uniwersytet Łódzki doktoratu *honoris causa*. W świetle tego przekazu: „miał na jednym seminarium referat z teorii nauki Henriego Poincarégo, wielkiego matematyka francuskiego, który napisał kilka ważnych dzieł z teorii nauki. Przystudiowałem je pilnie. Państwo wiecie, gdy się ma lat dwadzieścia czy dwadzieścia jeden, często się jest wszechwiedzącym; ja też byłem wszechwiedzący, dopiero potem stopniowo i powoli głupiałem. Jako ów wszechwiedzący zmiażdżyłem teorie Poincarégo, suchej nitki na nim nie pozostawiłem”<sup>33</sup>. Jest w tym pewna żartobliwa autoironia. W tamtych ponurych latach jednak takie zachowania mało kogo śmieszyły, a już na pewno nie tych, którzy – tak jak to miało miejsce w przypadku wspomnianego wyżej prof. Tatarkiewicza – pozbawiani zostali prawa wykładania na polskich uczelniach i musieli sobie szukać miejsca do pracy poza jej murami. Przywołany tutaj przykład najpierw uwiedzenia marksistowską ideologią, a później uwolnienia się spod jej „uroku” przekonuje, że samodzielność w nauce (nawet tak dyskusyjnej, jaką jest filozofia) nie tylko jest możliwa, ale także dobrze na tym może wyjść zarówno ta nauka, jak i ten uczyony, który się na nią zdobył. Jej wynikiem było bowiem zarówno napisanie przez Leszka Kołakowskiego szeregu ważnych i cenionych monografii naukowych, w tym rozliczeniowych *Głównych nurtów marksizmu*, ale także znalezienie zatrudnienia na prestiżowych uniwersytetach zachodnich<sup>34</sup>.

<sup>33</sup> L. Kołakowski, *Diabeł kłamie również, kiedy mówi prawdę*, w: *Honoris Causa. Księga pamiątkowa ku czci Leszka Kołakowskiego*, Wyd. Łódzkie, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź, 1994, s. 17 nn.

<sup>34</sup> W latach 1972-1991 wykładał on na Uniwersytecie Oksfordzkim, a później (jako *Honory Member of Staff*) na Uniwersytecie Yale, Uniwersytecie of New Haven, Uniwersytecie Kalifornijskim oraz Uniwersytecie Chicagowskim. Interesującym przyczynkiem do dyskusji nad samodzielnością marksistów może być część III jego *Głównych nurtów marksizmu*, zatytułowana *Rozkład*. Jej głównymi bohaterami są ci ideolodzy marksizmu, którzy wprowadzali do niego jakieś bardziej znaczące korekty i którzy nazywani byli przez marksistowskich ortodoksów „rewizjonistami”. L. Kołakowski, *Główne nurty marksizmu. Powstanie – rozwój – rozkład*, Aneks, Londyn 1988, s. 790 nn.



Takich utalentowanych i niesłychanie pracowitych filozofów na polskich uczelniach było jednak stosunkowo niewiele – zarówno w tych trudnych latach, które przeszły do historii pod nazwą stalinizmu, jak i po 1956 r., tj. tego przełomu, który oznaczał mimo wszystko – w tym mimo pozostawiania przy władzy tych samych sił politycznych – pewne uwolnienie spod „opiekuńczej” roli jedynie słusznej ideologii oraz stojącej na jej straży jedynie słusznej partii. Więcej takich uczonych było w innych dyscyplinach nauki, jednak również oni napotykali na takie bariery, które utrudniały im rozwinięcie naukowych skrzydeł i wzbicie się równie wysoko jak ich zachodni odpowiednicy. Jedną z nich było „reglamentowanie” przez ówczesne władzę wyjazdów zagranicznych oraz nawiązywanie kontaktów z tymi uczonymi, od których można było się wiele nauczyć lub przynajmniej skonfrontować swoje osiągnięcia z ich dokonaniem, a bez tego trudno było i jest liczyć na poważny sukces naukowy. W szczególnej trudnej sytuacji pozostawały jednak nauki humanistyczne i społeczne. Po wspomnianym wyżej przełomie zaczęła wprawdzie w Polsce wzrastać liczba wyższych uczelni i związane z tym zapotrzebowanie na samodzielną kadrę akademicką, jednak o nią było niemniej trudno niż we wcześniejszym okresie, zwłaszcza w tych dyscyplinach, które traktowane były jako naturalne zaplecze i wsparcie dla marksistowskiej ideologii; a ci, którzy albo tego nie rozumieli, albo też nie chcieli realizować tego zadania, albo nie znajdowali miejsca na uczelniach, albo też trafiali do takich jednostek badawczych, które – tak jak w przypadku jednostek Polskiej Akademii Nauk – miały stosunkowo mały wpływ na kształcenie młodzieży. Jak łatwo można było zdeprecjonować formalno-prawny status samodzielnego pracownika naukowo-dydaktycznego wyższych uczelni, pokazuje pojawienie się na uczelniach po marcowych wydarzeniach 1968 r. (związanych z usuwaniem z nich wykładowców żydowskiego pochodzenia) „marcowych docentów” – osób nie tylko bez habilitacji, ale także w niejednym przypadku bez odpowiednich kwalifikacji do tego, aby prowadzić samodzielne badania i decydować o tym, jak i czego nauczać studentów. Skłonny jestem zgodzić się z tymi, którzy uważają, że ta polityka „wypierania dobrego pieniądza przez zły pieniądz” (występująca w literaturze pod nazwą „prawa Kopernika-Greshama”) trwała w Polsce w gruncie rzeczy do przełomu z 1989 r. W późniejszych latach wprawdzie spowalniała, jednak nie zostało całkowicie zaniechana.

Rzecz jasna, podejmowane były różne próby rozwiązania tego problemu. Znalazły one wyraz praktycznie we wszystkich proponowanych w końcu

XX i na początku XXI wieku projektach reform polskiego szkolnictwa wyższego. Nie było jednak o to łatwo, bowiem przeszła ona z poziomu centralnego (rządowego) na poziom poszczególnych uczelni, ich wydziałów i jeszcze mniejszych jednostek organizacyjnych, a nawet poszczególnych uczonych; a tutaj stosowana była niejednokrotnie zasada: wprawdzie mierny uczony, ale „swoj człowiek”. Uporanie się z tym problemem nie będzie zapewne łatwe również w przyszłości, bowiem wieloletnie przyzwyczajania kadry naukowej sprawiają, że spora jej część woli dobierać do grona swoich współpracowników osoby może i nie najwybitniejsze, ale za to najwierniejsze w swoim trwaniu przy swoim szefie i jakoś nie trafia jej do przekonania, że większe szanse na naukowy sukces daje przyjęcie do niego osoby, która posiada zadatki na samodzielność myślenia. Rzecz jasna, z taką osobą trudniej jest współpracować i trzeba będzie w którymś momencie się rozstać. Jest jednak szansa na to, że zyska na tym nauka i rodzima uczelnia. Warto przy tej okazji przypomnieć, że na kartach historii nauki zapisali się nie tylko ci uczeni, którzy dokonywali przełomowych odkryć, ale także ci, którzy byli ich nauczycielami i czasami im pomagali, a czasami utrudniali osiągnięcie sukcesu. Czy jednak ta argumentacja trafi w końcu do przekonania możnych akademickiego świata? Być może kiedyś, ale raczej nie szybko, a zachodnie wzorce i przypadki (takie chociażby jak przedstawionego wcześniej Rorty'ego) mogą być zarówno zachęcające, jak i zniechęcające.

## Rozdział IV

# Młodzi uczeni

Jeśli można generalnie zgodzić się z twierdzeniem, że młodość ma swoje prawa, to jednak trzeba przy tym pamiętać również o tym, że ma także swoje zadania i wyzwania, w tym doskonalenie tych zdolności, którym w okresie młodzieńczym niejednokrotnie sporo brakuje do doskonałości. Ta wstępna uwaga wynika z faktu, że w swoim życiu niejedno już widziałem i niejedno sobie przemyślałem. Nie chciałbym jednak sprowadzać tytułowego problemu ani do osobistych zwierzeń, ani też do tych spostrzeżeń, które zgromadziłem przez długie lata swojej zawodowej pracy. Chciałbym natomiast na ten problem spojrzeć nie tylko szerzej, ale także głębiej i wskazać przynajmniej niektóre dodatnie i ujemne strony młodego wieku w nauce.

### 1. Źródła informacji

W każdym przypadku źródło informacji rzutuje na to, jaki mamy obraz rzeczy i stanów rzeczy oraz w jaki sposób je oceniamy i przedstawiamy innym. Nie inaczej jest w przypadku obrazu młodych uczonych i ich osiągnięć w tym okresie życia. Rzecz jasna, jedne z tych źródeł są bardziej, natomiast inne mniej wiarygodne. Jest jednak pewną regułą, że z im bardziej odległego okresu pochodzą, tym większe można mieć wątpliwości co do ich wiarygodności. Dotyczy to zarówno tych, których autorami są sami uczeni, jak i tych, których są nimi osoby z ich bliższego i dalszego otoczenia. W obu przypadkach do głosu dochodzą różnorakie motywacje i aspiracje, takie jak przedstawienie głównych bohaterów opisywanych wydarzeń w dużo lepszym świetle niż to faktycznie miało miejsce lub przeciwnie, w takim, że gdyby tylko mogli, to „przewróciliby się w grobie”, a gdyby ożyli, to być może wystąpiliby do sądu z pozwem o zniesławienie. Tego rodzaju obrazy uczonych można znaleźć m.in. w różnego rodzaju

biografiach. W hagiografiach są one natomiast niejednokrotnie tak „przypudrowywanie”, że nawet głęboko wierzącym w wielkość ich głównych bohaterów trudno jest niekiedy uwierzyć w to, że byli tak doskonali, iż nie sposób wskazać u nich chociażby jednej poważnej skazy; a jeśli już taka się pojawiła, to stanowiła ona „grzech młodości” i została „odkupiona z nawiązką” w późniejszym życiu.

Przykładem tych ostatnich mogą być opisy życia i osiągnięć matematyka i filozofa Pitagorasa (ur. ok. 572 r. p.n.e.). On sam wprawdzie niczego o sobie nie napisał i wiele wskazuje na to, że był analfabeta, jednak sporo na jego temat napisali inni. Sprawilo to, że stał się swoistym guru w matematyce oraz w dyscyplinach od niej zależnych. Jeden z takich opisów jego życia można znaleźć na kartach powstałego ok. połowy III wieku n.e. dzieła Diogenesa Laertiosa pt. *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*. Można się z niego dowiedzieć, że Pitagoras zarówno miał znakomitych nauczycieli, jak i dosyć szybko sam stał się znakomitym nauczycielem i przyciągał swoją osobowością oraz wiedzą liczne i zróżnicowane grono uczniów („na jego wykłady przyjeżdżali nawet cudzoziemcy”)<sup>1</sup>. Hagiograficzny wizerunek tego uczonego i filozofa nakreślony został również przez Porfiriusza (zm. ok. 305 r. n.e.). Z jego *Żywotu Pitagorasa* wyłania się postać przewyższająca znacznie innych nie tylko swoją wiedzą i mądrością, ale także czystością obyczajów i osobistą odwagą<sup>2</sup>. Na podstawie tego źródła informacji można dojść do wniosku, że Pitagoras był tzw. urodzonym mędrcelem oraz mistrzem sztuki wymowy, a kwestią czasu było nie tyle jego dojście do tych intelektualnych i moralnych zdolności, którymi się wyróżniał, ile ich rozpoznanie oraz docenienie przez bliższe i dalsze otoczenie<sup>3</sup>. Można nawet uwierzyć w to, że czczono go jak boga lub jednego z bogów (w końcu starożytni Grecy hołowali politeizmowi). Trudniej jest natomiast jakoś uwierzyć w to, że faktycznie miał on w sobie coś nadludzkiego, a najtrudniej w to, że te zdolności i umiejętności, którymi zapisał się w pamięci późniejszych pokoleń, otrzymał w darze nie od ówczesnej kultury, lecz od natury lub nawet od samych bogów. Tak czy inaczej, zarówno w tym pierwszym, jak i w tym drugim opisie życia i osiągnięć Pitagorasa została zatarta linia podziału między jego młodością i dojrzałością.

<sup>1</sup> Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, PWN, Warszawa 1984, s. 478 nn.

<sup>2</sup> Porfiriusz, *Żywot Pitagorasa*, Epsilon, Wrocław 1993.

<sup>3</sup> Giovanni Reale pisze, że z czasem „Pitagoras zatracił cechy ludzkie i uważany był za bóstwo oraz czczony jak bóstwo”. G. Reale, *Historia filozofii starożytnej*, t. I, Redakcja Wydawnictwa KUL, Lublin 1993, s. 105 nn.

Innego rodzaju źródłami informacji o życiu i dokonaniach znaczących uczonych są listy – zarówno te pisane przez nich samych, jak i te pisane do nich. Ten sposób komunikowania się osób władających piórem pojawił się wprawdzie już w czasach starożytnych, jednak na popularności zyskał w okresie nowożytnym. Odwołam się tutaj do takiego przykładu komunikowania się i dokumentowania swoich osiągnięć w poszczególnych okresach życia, jaki stanowi bogata (licząca ok. 500 pozycji) korespondencja René Descartes’a. Korzystam przy tym z monografii Ferdinanda Alquié poświęconej temu filozofowi i uczonemu. W suplemencie do jej części prezentującej poglądy Descartes’a zamieszczony został m.in. chronologicznie uporządkowany wybór fragmentów jego listów do o. Marina Mersenne’a<sup>4</sup>. Pierwszy z przywołanych tam listów napisany został 20 listopada 1629 r. Jego autor bez wątplenia był postrzegany wówczas jako młody filozof i uczyony (urodził się w 1596 r.). Można się z niego dowiedzieć, że absorbowały go wówczas problemy związane z używaniem języka oraz takiego „zreformowania gramatyki czy raczej stworzenia jakiejś nowej, której wyuczyć by się można w pięć lub sześć godzin i którą uczynić by można wspólną wszystkim językom”<sup>5</sup>. Pomysł bez wątplenia pociągający, w praktyce jednak mało realny. Podobnie zresztą jest z pojawiającym się w jego liście z 18 marca 1630 r. do tego samego adresata pomysłem, aby „ustalić raczej piękna tak samo jak ustala się raczej dźwięku”, czy też z pojawiającym się w liście z 15 kwietnia tego samego roku pomysłem, aby rozważyć wszystkie racje metafizyczne i albo „uznać, że nie ma wśród nich takich, których nasz umysł nie byłby w stanie pojąć”, albo też wskazać takie występujące między nimi różnice i granice, które jest on w stanie pojąć. Warto przy tym zwrócić uwagę również na to, że Descartes w liście tym z iście młodzieńczą brawurą oświadcza, iż „spodziewa się napisać o tym wszystkim w swojej *Fizyce* przed upływem nawet dni piętnastu” (dzieło takie wprawdzie napisał, ale jednak nie w tak krótkim czasie) oraz prosi (już z dojrzałą roztropnością), aby jego adresat

<sup>4</sup> Marin Mersenne (1588-1648 r.) nazywany jest „skrzynką pocztową” ówczesnej Europy. Korespondował bowiem z wieloma filozofami i uczonymi – poza Kartezjuszem – z Galileuszem (w którego obronie otwarcie wystąpił), Konstantym Huygensem, Gillesem de Robervalem, Thomasem Hobbesem i in. Posiadał dobre przygotowanie filozoficzne oraz w zakresie matematyki i fizyki. Jest autorem takich dzieł, jak: *Quaestiones celeberrimae in Genesim* (1623), *L’Impieté des déistes* (1624), *La Vérité des sciences* (*Truth of the Sciences Against the Sceptics*, 1624). Szerzej na temat Mersenne’a, por. R. Moreau, *Marin Mersenne et la naissance de l’esprit scientifique*, Edition Anagrammes, Perros Guirec 2012.

<sup>5</sup> F. Alquié, *Kartezjusz*, Pax, Warszawa 1989, s. 179 nn.

„do pewnego czasu trzymał to w tajemnicy”, bowiem „chciałby zapoznać się z zarzutami, które ktoś mógłby przeciw temu podnieść, a także po to, by świat przyzwyczał się do tego, co można mówić o Bogu”. Jeśli uwzględnimy fakt, że w przypadku tego filozofa i uczonego zwykle nie kończyło się na słowach i zapowiedziach, lecz sporo z tego, co sobie zaplanował w młodzięcym okresie swojego życia, realizował w późniejszych latach, to tym bardziej godne uwagi i poważnej analizy stają się te lata, w których pojawiły się w jego umyśle te i podobne do nich śmiałe pomysły.

Jeszcze innymi źródłami informacji o młodzieńczych latach znaczących uczonych mogą być przekazy członków ich bliskiej rodziny. Niektóre z nich mają również formę listów i zawierają z reguły wiele różnego rodzaju ważnych informacji dla ich autorów i adresatów, natomiast mniej ważnych dla tych, którzy przyglądają się z boku ich życiu oraz osiągnięciom i chcieliby się dowiedzieć, jak to się stało, że osiągnęli takie znaczące wyniki. Zarówno te pierwsze, jak i te drugie informacje są jednak wykorzystywane przez autorów biografii znaczących uczonych. Przykładem może być biografia pt. *Prywatne życie Alberta Einsteina*, nakreślona przez Rogera Highfielda i Paula Cartera. W jej części wprowadzającej jej autorzy powołują się m.in. na opublikowane w *Pismach wszystkich* tego uczonego listy, które ich zdaniem „świadczą o potrzebie gruntownej zmiany spojrzenia na osobę Einsteina”<sup>6</sup>. Odpowiedzieć na pytanie, co takiego istotnego wnoszą te listy do sprawy życia i osiągnięć tego uczonego, można znaleźć nie tylko w rozdziale 2 tej biografii – zatytułowanym *Pierwsza miłość* (można się z niego dowiedzieć, że był on osobą „kochliwą” – co przecież samo w sobie ani nie jest jakimś grzechem, ani też czymś niezwykłym), ale także w rozdziale 3, a zwłaszcza w 4, zatytułowanym *Drażliwa kwestia*. Pojawia się w nich bowiem jego wielka młodzieńcza miłość i późniejsza żona Mileva Maric oraz taka istotna z punktu widzenia oceny osiągnięć naukowa kwestia, jaką stanowi ustalenie faktycznego autorstwa szczególnej teorii względności. Biografowie ci wprawdzie nie podpisują się pod tezę, że jej współautorem była ówczesna życiowa partnerka Einsteina, jednak uważają, że „istnieją podstawy, by przypuszczać, że Mileva pomagała mu” w przygotowaniu do druku artykułu, w którym ta teoria została po raz pierwszy przedstawiona<sup>7</sup>.

<sup>6</sup> R. Highfield, P. Carter, *Prywatne życie Alberta Einsteina*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1995, s. 20 nn. W dalszej części tej biografii zamieszczone jest m.in. zdjęcie Evelyn Einstein, „wnuczki Einsteina, która odegrała kluczową rolę w odkryciu jego listów miłosnych”.

<sup>7</sup> Potwierdzeniem tego ma być fakt, że „w następnych listach Einstein pisał o »naszym artykule« i »naszej« teorii sił międzycząsteczkowych”. Ibidem, s. 91 nn.

Problem m.in. w tym, że w późniejszych latach występował on jako jej jedyny autor i nie chciał się dzielić swoim sukcesem z nikim.

W każdym z przywoływanych tutaj przykładów można znaleźć zarówno elementy jakiegoś obiektywizmu, jak i subiektywizmu w prezentowaniu i ocenianiu młodych uczonych. W obiegu czytelnicznym funkcjonują również takie przekazy, w których zdecydowanie więcej jest tych drugich niż pierwszych. Należą do nich relacje członków najbliższej rodziny uczonych. Przykładem mogą być wspomnienia Jane Hawking, żony (przez 25 lat) jednego z najwybitniejszych współczesnych uczonych (fizyka i kosmologa) Stephena Hawkinga, autora m.in. *Krótkiej historii czasu*. Przedstawił w niej teorię inflacji kosmologicznej (w jej świetle wszechświat przestanie się rozszerzać i w końcu dojdzie do jego upadku)<sup>8</sup>. Autorka tych wspomnień pisze, że jej „historia życia ze Stephenem Hawkingiem zaczęła się latem 1962 roku”. Jej przyszły mąż miał wówczas 20 lat (urodził się w styczniu 1942 r.) i „właśnie rozpoczął studia kosmologiczne w Cambridge”. Już przy pierwszym spotkaniu przyznał się on (z charakterystyczną dla niego „skromnością”), że „egzamininy ustne w Oksfordzie zdał na piątkę”<sup>9</sup>. Pisze ona również, że „Stephen nigdy nie chodził na wykłady” i opowiadał o tym, „jak wychodząc z seminarium, porwał na kawałki to, nad czym pracował na zajęciach, i po drodze wrzucił do kosza na śmieci przy biurku opiekuna”. Tego rodzaju zachowania można oczywiście wpisać na listę tzw. grzechów młodości osób, które potrafiły być bardzo krytyczne i „uwielbiały zachowywać się prowokacyjnie”; a taki właśnie był w tamtym okresie życia (ale nie tylko w tamtym) Hawking. Rzecz jasna, nie tylko te grzechy miał on na swoim sumieniu. Autorka tych wspomnień pisze także, że „jego arogancja bywała w kiepskim guście i narażała ją na utratę przyjaciół, a nawet na zerwanie stosunków z rodziną”; „przeszedł on samego siebie” wówczas, gdy usłyszał, że ma ona zamiar robić doktorat z literatury średniowiecznej:

<sup>8</sup> Por. S. Hawking, *Krótką historią czasu – od wielkiego wybuchu do czarnych dziur*, Zysk i S-ka, Poznań 1996.

<sup>9</sup> „Skonsternowani egzaminatorzy musieli zdecydować, jaką oceną podsumować wystąpienie wyjątkowo nieporadnego kandydata, w którego dokumentach widać było jednak przebliski geniuszu: ocenę najwyższą, zaledwie dobrą czy też dostateczną, przy czym ta ostatnia właściwie równała się porażce. Stephen nonszalancko poinformował komisję, że jeśli wystawią mu najwyższą ocenę, pójdzie do Cambridge i zrobi tam doktorat, stając się koniem trojańskim Oksfordu na konkurencyjnej uczelni, jeśli zaś dostanie od nich czwórkę (dzięki tej ocenie nadal będzie mógł prowadzić badania), wówczas zostanie w Oksfordzie. Egzaminatorzy przezornie ocenili go na pięć”. J. Hawking, *Moje życie ze Stephenem. Podróż ku nieskończoności*, Świat Książki, Warszawa 2013, s. 20 nn.



„Wymachiwał kieliszkiem sherry, jak gdyby chcąc pokazać, że to, co mówi, jest na tyle oczywiste, że tylko głupiec mógłby się nie zgodzić z tym, że ze studiowania średniowiecznej literatury płynie tyle samo pożytku, co z liczenia kamieni na plaży”<sup>10</sup>.

W wspomnieniach tych pojawia się jednak również opis intelektualnego klimatu Cambridge („Magnetyzm tego miejsca przyciąga całe zastępy młodych ludzi na trzy lata, a jeśli mają szczęście, to na sześć...”), badań jej męża nad czarnymi dziurami („wywoływały one u niego „intensywne radosne podniecenie”) oraz jego „kolegów po fachu z całego świata, których pasją było badanie czarnych dziur” („Nic nie okazywało się zbyt trudne dla tej rasy nadludzi”). Polskiego czytelnika mogą zainteresować pojawiające się na kartach tej książki informacje dotyczące Mikołaja Kopernika: „astronoma, którego niezadowolnienie ze skomplikowanych rachunków matematycznych [...] pchnęło do opracowania nowej koncepcji wszechświata”. W ostatniej części tej książki pojawiają się informacje o chorobie Hawkinga (stanowiło ją postępujące stwardnienie zanikowe boczne) i jego reakcji na nią (wynika z nich, że „standardową opowiadankę o nieustraszonym Stephenie i jego naukowym geniuszu” można włożyć między bajki). Te elementy relacji Jane Hawking posiadają co najmniej znamiona obiektywizmu.

## 2. Przykłady osiągnięć

Takie przykłady można oczywiście znaleźć w historii nauki, ale po pierwsze wiele tutaj zależy od tego, co się uznaje za znaczące osiągnięcie naukowe, a po drugie, w jakich naukach go się szuka, bowiem w jednych (takich jak matematyka) łatwiej jest je znaleźć niż w innych. Jednak nawet w tych, w których pojawiają się one częściej niż w innych, rzadko kiedy są dziełem pojedynczych uczonych, a w każdym razie to, co oni proponowali, wymagało później niejednego uzupełnienia i niejednej istotnej korekty<sup>11</sup>. Reakcje na takie poprawianie wyników badań uczonych i dopisywanie się do ich osiągnięć przez innych uczonych były oczywiście różne. Nierzadko najpierw było to oburzenie, a dopiero po pewnym czasie pogodzenie się z faktem, że jednak nie zaproponowali oni czegoś tak doskonałego, że po-

<sup>10</sup> Ibidem, s. 61 nn.

<sup>11</sup> Analiza tego rodzaju historycznych korekt doprowadziła Karla R. Poppera do sformułowania ewolucyjnej teorii epistemologicznej. Por. K.R. Popper, *Wiedza obiektywna*, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 1992.



zostaje jedynie podziwianie ich dzieła. Dzisiaj jest wprawdzie dużo mniej takich problemów badawczych, które można rozwiązać bez współpracy z kolegami po fachu oraz bez wsparcia licznej grupy pomocniczych pracowników (różnego rodzaju laborantów, techników itd.), jednak również w przeszłości ich nie brakowało. Odwołam się tutaj do trzech przykładów osiągnięć młodych lub stosunkowo młodych uczonych.

Pierwszy z nich związany jest z pojawieniem się geometrii analitycznej<sup>12</sup>. Wśród jej współautorów są: Blaise Pascal, Descartes i Pierre de Fermat. U każdego z nich ten naukowy sukces przypadał na wczesny okres aktywności badawczej, a w przypadku pierwszego z nich na bardzo wczesny, bowiem już w wieku 16 lat (urodził się w 1623 r.) ujawnił swoje nieprzeciętne uzdolnienia matematyczne. Interesował się on zresztą nie tylko kwestiami związanymi ze stosowaniem algebry w geometrii, ale także teorią liczb oraz kwestią figur geometrycznych (napisał m.in. *Esej o stożku*). Descartes, któremu przedstawiono Pascalską teorię stożka, nie mógł ponoć uwierzyć w to, że jej autorem jest tak młoda osoba (w liście do Mersenne'a napisał, że „nie przyszłoby mu do głowy, że mogło tego dokonać szesnastoletnie dziecko”)<sup>13</sup>. Można powiedzieć: „zapomniał wół, jak cielęciami był”. Przecież on również w stosunkowo młodym wieku fascynował się problemami matematycznymi. Mając zaledwie 23 lata, doznał w listopadzie 1619 r. takiego nagłego olśnienia, które nie tylko w istotnym stopniu wpłynęło na całe jego życie, ale także na jego dokonania w filozofii i w nauce, w tym w matematyce<sup>14</sup>. Jest prawdopodobne, że podobnych olśnień doznawał Pierre de Fermat (genialny samouk) w tym samym, a może nawet we wcześniejszym wieku; jednak tylko prawdopodobne, bowiem jego dochodzenie do sukcesów w matematyce (nie tylko w geometrii, ale także w arytmetyce, w tym w teorii liczb) jest znacznie

---

<sup>12</sup> Jej „przedmiotem jest nie tylko wyznaczanie poszczególnych odcinków, przedstawionych przez pierwiastki równania z jedną niewiadomą, lecz także badanie własności różnych geometrycznych utworów, głównie linii i powierzchni algebraicznych, przedstawionych równaniami z dwiema lub więcej niewiadomymi lub współzrędnymi”. Por. A.P. Juszkiewicz (red.), *Historia matematyki*, t. II: *Matematyka XVII stulecia*, PWN, Warszawa 1976, s. 109 nn.

<sup>13</sup> Szerzej w tej kwestii zob. J. Muir, *Of men and numbers : the story of the great mathematicians*, Dover Publications, New York 1996, s. 103 nn.

<sup>14</sup> „Znając późniejszą historię rozwoju naukowego Kartezjusza, można przypuszczać, że mogła to być albo idea uniwersalnej matematyki, albo idea reformy algebry, albo wreszcie – idea wyobrażenia wszelkich wielkości za pośrednictwem znaków algebraicznych”. W.D. Asmus, *Descartes*, PWN, Warszawa 1960, s. 68 nn.

ślabiej udokumentowane (jego pisma zostały opublikowane dopiero po śmierci w 1665 r.). Korespondował on jednak z Mersenne'iem i informował go o swoich badaniach oraz dokonaniach, w tym o dokonanych przed 1637 r. (ur. się w 1601 r.) ustaleniach w zakresie możliwości stosowania algebry w geometrii<sup>15</sup>. Doprowadziło to zresztą do sporu z Descartes'em o pierwszeństwo w zakresie geometrii analitycznej.

Drugi z tych przykładów związany jest z odkryciem w latach 90. XIX stulecia zjawiska promieniotwórczości. Dokonało go troje uczonych (chemików i fizyków): Antoine Henri Becquerel, Pierre Curie i Maria Skłodowska-Curie (w 1903 r. otrzymali oni za dokonanie tego odkrycia Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki). Całą trójkę można zaliczyć jeśli nie do młodych, to do względnie młodych uczonych. W okresie, w którym dokonano tego odkrycia, Becquerel nie przekroczył 50. roku życia (urodził się w 1852 r.), Pierre Curie 40. roku (urodził się w 1859 r.), natomiast Maria Skłodowska-Curie była o 8 lat młodsza od swojego męża (urodziła się w 1867 r.). Prekursorem badań, które doprowadziły do odkrycia zjawiska promieniotwórczości, był pierwszy z nich (ich wyniki przedstawił on w 1896 r. na posiedzeniu Francuskiej Akademii Nauk). Susan Quinn w swojej książce pt. *Życie Marii Curie* pisze, że Becquerel wprawdzie odkrył promieniotwórczość, jednak „to nie on nadał nazwę temu zjawisku i to nie on je wyjaśnił”. Co więcej, był on „niewolnikiem hipotezy, która tak wdzięcznie służyła mu na początku” i „uważał, że temat został wyczerpany”<sup>16</sup>. To „niewielkie zainteresowanie uczonych promieniowaniem Becquerela było – zdaniem tej biografki – „jednym z powodów, dla których Maria Curie podjęła ten temat” (szukając tematu do swojej rozprawy doktorskiej).

W opisie życia i aktywności naukowej tej uczoney znajdują się takie fragmenty, które pokazują nie tylko jak wielkiego wysiłku intelektualnego wymagał ten sukces, ale także w jak trudnych warunkach został on osiągnięty. „Pomieszczenie, w którym Maria Curie rozpoczynała prace nad pro-

<sup>15</sup> „Nieduży Wstęp do miejsc płaskich i bryłowatych Fermat napisał nieco przed r. 1637, lecz za życia Fermata był on znany, dzięki Mersenne'wi i innym, tylko w formie rękopiśmiennej”. A.P. Juszkiewicz (red.), *Historia matematyki*, t. II, s. 111 nn.

<sup>16</sup> „[...] po pierwszych artykułach z 1896 roku opublikował w 1897 roku tylko dwie prace, a w następnym roku – żadnej. [...] Oprócz samego Becquerela jedynie czterech innych uczonych wypowiedało się na forum akademii na temat promieniowania uranu. Największe zainteresowanie budziły jedynie promienie Roentgena. W 1896 roku wygłoszono na ich temat prawie sto komunikatów”. S. Quinn, *Życie Marii Curie*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1997, s. 203 nn.

mieniowaniem Becquerela, było zwykłym magazynem o ścianach z surowej cegły, znajdującym się na parterze szkoły, w której wykładał Piotr. Stało tam kilka drewnianych stołów i rozklekotanych krzeseł, a temperatura w zimne dni spadała do sześciu stopni Celsjusza”. Z zachowanej dokumentacji można się dowiedzieć, że „choć to Maria wpadła na pomysł, by zająć się badaniami nad tym promieniowaniem”, to jednak nie była zdana wyłącznie na własne siły – wydatnie pomagał jej w nich jej mąż Piotr („Wydaje się, że przez pierwsze sześć tygodni państwo Curie prowadzili badania wspólnie”)<sup>17</sup>. Ten naukowy sukces nie byłby prawdopodobnie możliwy bez zmysłu konstrukcyjnego jego autorów („Państwo Curie skonstruowali komorę jonizacyjną ze starych drewnianych skrzynek na warzywa”), a także bez tego łutu szczęścia, który jest potrzebny każdemu – w tym przypadku polegał on m.in. na „umieszczeniu na talerzu najpierw białego proszku uranu”, a później zastąpieniu go innymi pierwiastkami i badaniu ich „początkowo na chybił trafił” (jednak „nie emitowały one żadnych promieni”). Szczęściu jednak zwykle trzeba pomóc – w tym przypadku pomoc ta polegała na tym, że Maria Curie „nie poprzestała na badaniu najpowszechniej występujących pierwiastków”, lecz „sięgnęła po próbkę cięższego, czarnego, smolistego minerału, znanego jako blenda smolista”. Okazało się, że „powoduje on jonizację o wiele silniejszą niż wytwarzana przez czysty uran”<sup>18</sup>. Oceniając znaczenie tego naukowego osiągnięcia, autorka tej książki pisze, że „do chwili odkrycia promieniotwórczości wszystkie zjawiska zachodzące w przyrodzie można było wyjaśnić działaniem dwóch sił” – przyciągania ziemskiego oraz siły elektromagnetycznej, a także, iż „w ciągu pierwszych czterdziestu lat XX stulecia próby rozwiązania »zagadki« radioaktywności doprowadziły do poznania nowych sił kryjących się w jądrze atomu, sił o takim potencjale, że wiedza o nich na zawsze odmieniła nasz świat” [i stworzyła możliwości jego zniszczenia jednym naciśnięciem atomowego guzika – Z.D.].

<sup>17</sup> „W tym czasie wypracowali razem »nową metodę analizy chemicznej«, wykorzystując bardzo precyzyjnie pomiary czegoś, co obecnie nazywamy promieniowaniem”. Ibidem, s. 207.

<sup>18</sup> „We wtorek 12 kwietnia 1898 r. członkowie Akademii wysłuchali komunikatu Marii Skłodowskiej-Curie zatytułowanego »Promieniowanie emitowane przez związki uranu i toru«. [...] Ponieważ ani Maria, ani Piotr nie byli członkami Akademii, referat odczytał Gabriel Lipman, promotor i opiekun Marii. [...] Do niektórych wniosków przedstawionych w tym pierwszym komunikacie doszło też kilku innych badaczy”. Ibidem, s. 212 nn.

Nowszej daty przykładem sukcesu młodych uczonych jest odkrycie w 1953 r. podwójnej struktury DNA (wielkocząsteczkowego organicznego związku chemicznego z grupy kwasów nukleinowych, pełniącego rolę nośnika informacji genetycznej organizmów żywych). Wszyscy czterej współautorzy tego osiągnięcia, tj. Francis Crick (ur. w 1916 r.), Maurice H.F. Wilkins (ur. w 1916 r.), James D. Watson (ur. w 1928 r.) i Rosalind E. Franklin (ur. w 1920 r.), byli młodymi uczonymi (Nagrodę Nobla za swoje dokonanie otrzymali oni w 1962 r.). Okoliczności towarzyszące ich badaniom oraz ich przebieg i udział w nich każdej z wymienionych tutaj osób doczekały się wielu różnych opisów<sup>19</sup>. Jednym z nich jest opublikowana w 1968 r. *Podwójna helisa* Jamesa D. Watsona<sup>20</sup>. Stała się ona światowym bestsellerem w dziedzinie literatury *non-fiction*, i nie przez przypadek, bowiem z pewnością nie należy ona do gatunku science fiction. Jednak w niejednym swoim fragmencie nie grzeszy nadmiernym obiektywizmem, zwłaszcza jeśli chodzi o pojawiające się na jej kartach wizerunki głównych udziałowców tego sukcesu. Wywołały one zresztą stanowcze protesty Francis Cricka i Maurice'a H.F. Wilkina (Rosalind Franklin już wówczas nie żyła, zmarła w 1958 r.).

W świetle tego przekazu najbardziej barwną postacią w tym gronie był pierwszy z nich<sup>21</sup>. Pojawia się on już na pierwszych stronach tej książki jako osoba wyróżniająca się przede wszystkim brakiem skromności („Nigdy nie zdarzało mi się spotkać Francis Cricka w nastroju skromnej powściągliwości”), także swoją gadatliwością („wielu ludzi uważało, że jest zbyt gadatliwy”). Natomiast z formułowaniem trafnych sądów i opinii

<sup>19</sup> Por. B. Maddox, *Rosalind Franklin: The Dark Lady of DNA*, Harper Perennial 2003; V.K. McElheny, *Watson and DNA: Making a scientific revolution*, Perseus 2003; R. Olby, *The Path to The Double Helix: Discovery of DNA*, MacMillan, London 1974; R. Olby, *Francis Crick: Hunter of Life's Secrets*, Cold Spring Harbor Laboratory Press; M. Ridley, *Francis Crick: Discoverer of the Genetic Code (Eminent Lives)*, Harper Collins, New York 2006; J.D. Watson, *The Annotated and Illustrated Double Helix*, ed. by Alexander Gann and Jan Witkowski, Simon & Schuster 2012; M. Wilkins, *The Third Man of the Double Helix: The Autobiography of Maurice Wilkins*, Oxford University, Oxford 2003.

<sup>20</sup> James Dewey Watson był biochemikiem, absolwentem Clare College na Uniwersytecie Cambridge. Szczególnie istotny wpływ na jego badania miał pobyt w laboratorium biochemicznym na Uniwersytecie w Kopenhadze, kierowanym przez Hermana Kalckara (zajmował się on badaniem enzymatycznej syntezy kwasów nukleinowych).

<sup>21</sup> Francis Crick był biochemikiem, genetykiem i biologiem molekularny. W swoich rozprawach naukowych i publicznych wystąpieniach kwestionował on możliwość samoistnego powstania życia z materii nieożywionej.

miał już spore kłopoty<sup>22</sup>. Nieco lepiej wypada w tej książce Maurice H.F. Wilkins. Jednak tylko nieco, bowiem po przedstawieniu tego, co było jego głównym wkładem do odkrycia DNA („Maurice był fizykiem i jako podstawowe narzędzie badawcze stosował promienie rentgenowskie”), jej autor przechodzi do ujawnienia, że bronił on swojego pola badań jak ostatniej fortecy (co frustrowało Cricka) i – co było niemniej kłopotliwe dla jego naukowego otoczenia – działał „rozpaczliwie wolno” („pogłębiało to frustrację Francisa”)<sup>23</sup>. Najpoważniejszą skazę na wizerunku tego młodego wówczas uczonego stanowi jego ostry konflikt z Rosalind E. Franklin: „I to wcale nie dlatego, że był zakochany w Rosy [...]. Wręcz przeciwnie – niemal od chwili jej pojawienia się w laboratorium obydwójce działali sobie na nerwy. W tym okresie Maurice dopiero rozpoczynał prace nad dyfrakcją promieni Roentgena i potrzebował pomocy fachowca, miał więc nadzieję, że przybycie Rosy – doświadczonego krystalografa – przyspieszy badania. Ale Rosy patrzyła na to inaczej. Domagała się, by DNA zostało jej oddane »na własność« jako przedmiot jej własnych badań, i wcale nie miała zamiaru myśleć o sobie jako asystentce Marice’a”<sup>24</sup>. Nie stanowi to oczywiście najlepszego świadectwa tej ostatniej osoby (tyle tylko czy jest ono sprawiedliwe i zgodne z faktami?).

### 3. Mój subiektywny punkt widzenia

Mam świadomość, że prezentowane w dalszej części tych rozważań postrzeganie i ocenianie młodych uczonych skażone jest nie tylko subiektywizmem (wynikającym m.in. z tego, że jedni z nich budzili i budzą we mnie pozytywne, natomiast inni raczej negatywne emocje), ale także

<sup>22</sup> „Często przychodziło mu do głowy coś nowego i niezwykle podniecony mówił o tym każdemu, kto tylko gotów był go słuchać. Po jednym czy dwu dniach zdawał sobie jednak sprawę z niedoskonałości swojej teorii i wracał do doświadczeń – póki nuda nie skłoniła go do ponownego pogrążenia się w teorii”. J.D. Watson, *Podwójna helisa. Historia odkrycia struktury DNA*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1995, s. 15 nn.

<sup>23</sup> Maurice Hugh Frederick Wilkins był biochemikiem, absolwentem St John's College na Uniwersytecie Cambridge. W latach 1963-1970 był profesorem biologii molekularnej na Uniwersytecie Kalifornijskim, a w latach 1970-1981 profesorem biofizyki na tej uczelni.

<sup>24</sup> *Ibidem*, s. 21. Rosalind E. Franklin w wieku 21 lat została absolwentką College University Cambridge, a w wieku 26 lat obroniła doktorat w dziedzinie chemii fizycznej. Jej wkład w osiągnięcia tego zespołu badaczy polegał m.in. na sporządzeniu precyzyjnego rentgenogramu sodowej soli DNA.

swoistym partykularyzmem (wynikającym m.in. z tego, że przez te długie lata zawodowej pracy funkcjonowałem głównie na jednej uczelni) oraz wybiórczością (bo dzisiaj nie wszystko już dobrze pamiętam, a z tego, co pamiętam, nie wszystko nadaje się do zaprezentowania na kartach tej książki). Mimo tego mam nadzieję, że nakreślony tutaj obraz młodych uczonych nie rozmija się całkowicie z tą rzeczywistością, w której przyszło mi przez te lata współtworzyć, oraz że w jakiejś mierze oddaje on „cesarzowi to, co cesarskie”, a przywołanym w nich ludziom to, co było w nich takie ludzkie; a w każdym razie nie sprawię im tym obrazem tak wielkiej przykrości, że poczują się głęboko urażeni. Jeśli jednak tak by się stało, to na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko jedno – w końcu nikt z nas nie jest doskonały, a mówienie o niedoskonałościach młodych uczonych może okazać się pomocne przy próbie unikania tych błędów, które utrudniają osiągnięcie coraz większej doskonałości w nauce i w akademickim nauczaniu. Zatem do rzeczy.

Z niektórymi z tych uczonych, o których powiem tutaj kilka słów, spotkałem się już w okresie, gdy sam należałem do tej grupy pracowniczej. Zaczynałem od najniższego uczelnianego stanowiska pracownika naukowo-dydaktycznego (asystenta) oraz najniższego uposażenia. Tym ostatnim akurat stosunkowo mało się przejmowałem. Otrzymanie możliwości pracy na uczelni było bowiem dla mnie źródłem tak wielkiej satysfakcji, że przysłańało niemal zupełnie różne ówczesne niedogodności. Nie tylko zresztą mnie, bowiem również niejednemu z tych młodych pracowników naukowych, z którymi zamieszkiwałem w pierwszych latach mojej pracy w uczelnianym hotelu asystenta i z którymi się żywiłem w uczelnianej stołówce. Z niektórymi z nich utrzymywałem przyjazne kontakty również wówczas, gdy stali się profesorami i uznanymi specjalistami w swojej dziedzinie (i utrzymuję je do dzisiaj).

Jedną z tych osób jest fizyk specjalizujący się w teorii ciała stałego. Moją uwagę zwróciły nie tyle jego zainteresowania badawcze (do dzisiaj nie wiem, o co w nich chodzi), a nawet nie tyle uzyskiwane przez niego wyniki (udokumentowane publikacjami w prestiżowych czasopismach naukowych), ile jego sposób na naukowe i prywatne życie. Wyglądał i wygląda na to, że temu pierwszemu skłonny był i jest poświęcić tak dużo czasu i pracy, że już niewiele pozostawało i pozostaje go dla tego drugiego. Cierpiała na tym jego najbliższa rodzina (opinie jego małżonki miałem okazję usłyszeć i raczej nie było w nich zachwyty), a także jego urządzenie się w życiu (wyrażające się dla niektórych osób w posiadaniu

np. markowego samochodu). Zyskiwała na tym jednak polska nauka. W końcu niewielu jest w Polsce takich uczonych, których artykuły mają ponad tysiąc przywołań, a ich wskaźnik Hirscha (stanowiący swoistą świętość dla fizyków), jest taki wysoki, że budzi u jednych zdumienie, u innych zawstydzenie, a jeszcze u innych niedowierzenie, iż jest to możliwe. Jego naukowe osiągnięcia zostały również wysoko ocenione przez tych, którzy napisali mu rekomendację do tytułu profesora oraz członkostwa Polskiej Akademii Nauki (jedno i drugie otrzymał w stosunkowo młodym wieku). To również wywoływało i wywołuje różne reakcje jego akademickiego otoczenia. Nie brakuje w nim oczywiście takich osób, które chciałyby powtórzyć ten sukces. Do tego jednak musieliby spełnić kilka raczej niełatwych do spełnienia warunków, takich jak przychodzenie codziennie do pracy i pozostawanie w niej tak długo, że może to budzić zaniepokojenie nocnych portierów.

Innym wyróżniającym się młodym uczonym, którego dobrze zapamiętałem, był filozof. Poznałem go w okresie, gdy był on jeszcze studentem, ja byłem asystentem prowadzącym zajęcia na tym kierunku studiów. Wprawdzie już nie pamiętam zbyt dobrze, jak on wypadł na moich zajęciach, jednak obserwowałem jego zachowania również w pierwszych latach jego pracy na uczelni. Powiem krótko (ale tak, aby nie obrazić ani jego, ani też nikogo do niego podobnego) – czasami przypominało to myślenie i zachowania tego opisanego przez Maxa Webera uczonego z powołania, który analizuje kilka linijek tekstu i wierzy, że tylko jemu przypadła misja odczytania ich właściwego sensu i zbawienia tym całego świata. Natomiast innym razem przypominał on opisanie przez Jane Hawking zachowanie jej męża, który tłumaczy swoim egzaminatorom z Oxfordu, że nieprzyjęcie go na tę uczelnię byłoby nie tylko dla niej wielką stratą, ale także wielkim wstydem, natomiast autorkę *Mojego życia ze Stephenem* usiłuje przekonać, że studiowanie średniowiecznej literatury niewiele ma wspólnego z nauką, a jej pomysł, aby podjąć studia na tym kierunku, nie wystawia najlepszego świadectwa kwalifikacjom intelektualnym pomysłodawczyni. Do czego doprowadziło go takie myślenie i zachowanie? Póki co nie wygląda na to, że stał się on Hawkingiem światowej czy chociażby polskiej filozofii (nie chciałbym jednak wchodzić w domysły, co on sam na ten temat myśli). Skłonny jestem jednak zgodzić się z tymi, którzy uważają, że jest on dzisiaj jednym z bardziej znaczących w Polsce specjalistów w zakresie logiki.

Jeszcze o jednym uzdolnionym młodym uczonym chciałbym tutaj powiedzieć parę słów. Jest on jednym z najbliższych moich współpracow-



ników. Moją uwagę zwrócił on przede wszystkim swoim nieprzeciętnym odczytaniem w specjalistycznej literaturze oraz gruntowną orientacją w podejmowanej przez niego problematyce. Niejednokrotnie prowadziłem z nim rozmowy na różne tematy i z reguły nie tylko dobrze się w nich orientował, ale także przeważnie znał związaną z nimi fachową literaturę. Starłem się i staram w jakiejś mierze zrozumieć to cierpienie młodych pracowników naukowych, którzy chcąc nie chcąc uczestniczą niby to w dialogach, a faktycznie w moich monologach. Ich cierpienie jest tym większe, im mniej oni rozumieją z tego, co mam do powiedzenia. Natomiast nieco mniejsze wówczas, gdy mogą od czasu ten monolog przerwać i coś istotnego dopowiedzieć. Przywołany tutaj mój współpracownik nie tylko potrafił to zrobić, ale także niejednokrotnie swoimi uwagami i sugestiami skłonił mnie do jakiejś korekty moich przekonań lub pomysłów badawczych.

Jeśli jednak nawet zaliczy się wszystkie wymienionej wyżej osoby do wspólnej grupy – młodych zdolnych, pracowitych oraz żyjących nauką i dla nauki, to i tak nie będą oni stanowili akademickiej większości. Mogą oni natomiast stanowić (i jestem przekonany, że niejednokrotnie stanowią) taką mniejszość, która jeśli nawet specjalnie nie przeszkadza tej większości, to przynajmniej nie zakłóca im to samozadowolenia, które bierze się z udziału w akademickim życiu, ale niestety bez tego zaangażowania w wykonywanie swoich obowiązków, które daje nadzieję na osiągnięcie w nauce czegoś faktycznie istotnego. Jeśli przy takim funkcjonowaniu uda się im uzyskać akademickie stopnie, to tym lepiej – rzecz jasna, nie dla nauki czy tych, którzy żyją nauką i dla nauki, lecz dla nich samych oraz członków ich najbliższej rodziny (bo przecież z tymi akademickimi awansami wiąże się wzrost prestiżu i uposażenia). Nie mam jednak zamiaru tutaj rzucać gromy na tych młodych lub względnie młodych pracowników naukowo-dydaktycznych, którzy mimo że mało pracują lub tylko asystują tym, którzy poświęcają wiele czasu i wysiłku, aby coś istotnego osiągnąć w nauce, to jednak przez całe lata egzystują na uczelni (bywa, że potrafią na niej przetrwać aż do emerytury) i niektórzy z nich nawet awansują na kierownicze stanowiska. W życiu trzeba jednak również mieć tzw. fart.

Pozwolę sobie na sformułowanie w tej kwestii dwóch nieco mniej filozoficznych uwag. Pierwsza z nich nie jest ani specjalnie odkrywczą, ani też specjalnie dyskusyjną. Sprowadza się ona bowiem do stwierdzenia, że w funkcjonowaniu tej społeczności znajduje potwierdzenie zasada Pareto, tj. zasada 20 do 80% – ten pierwszy wskaźnik dotyczy tych, których praca

oznacza się efektywnością zawodową, natomiast drugi tych, u których ta efektywność jest poniżej wymagań i oczekiwań<sup>25</sup>. W każdej z tych grup występuje dosyć mocno zróżnicowane spektrum postaw oraz stawianych sobie zawodowych celów i sposobów ich osiągnięcia. W pierwszej z nich mamy zarówno takich uczonych, jak Stephen Hawking czy Maria Curie-Skłodowska, jak i takich, którzy prawdopodobnie nigdy nie trafią na listę noblistów, ale którzy podejmują i realizują takie problemy badawcze, których rozwiązanie stanowi „cegiełkę”, która jest jakimś krokiem do przodu i niejednokrotnie może być i była przydatna nauce i uczoneму (również noblistom). Natomiast w drugiej z nich mamy zarówno takich, którzy wykonują swoje obowiązki na miarę swoich przeciętnych kwalifikacji, jak i takich, którzy te kwalifikacje mają wprawdzie ponadprzeciętne, ale się specjalnie nie chce im pracować ponad przeciętność. W moim przekonaniu stosunkowo najliczniejszą podgrupę stanowią w tych 80% ci, którzy wykazują się zarówno przeciętnymi kwalifikacjami, jak i przeciętnym lub mniej niż przeciętnym zaangażowaniem zawodowym.

Druga z tych uwag związana jest z kwestią trwania i przetrwania na uczelniach młodych pracowników naukowych o przeciętnych lub mniej niż przeciętnych kwalifikacjach. Składa się na to wiele okoliczności, w tym tak prozaicznych i praktykowanych na niektórych uczelniach na sporą skalę, jak: związki rodzinne (nepotyzm), odruchy miłosierdzia ich przełożonych (bo gdzie taka nieporadna zawodowo osoba znajdzie sobie pracę, jeśli nie pozostanie na uczelni) czy wiara w „młodych, dobrze zapowiadających się” (niejeden z nich potrafił się dobrze zapowiadać przez całe lata, a na końcu okazuje się, że z tych zapowiedzi niewiele wynika). Jeśli już to wszystko zawiedzie, to można jeszcze liczyć na pomoc kolegów i przyjaciół. Ten rodzaj wsparcia nazwałem w swoim czasie „jazdą na świadka”<sup>26</sup>. Krótko rzecz ujmując: polega ona na tym, że któryś z takich kolegów wykonuje pracę badawczą i ją dokumentuje w formie artykułu opublikowanego w jakimś mniej lub bardziej znaczącym czasopiśmie. Natomiast ten, kto takiej pomocy potrzebuje, jest do listy jego autorów dopisywany. Taka „jazda na świadka” nie jest zresztą praktykowana jedynie przez młodych pracowników wyższych uczelni. Jest to już jednak temat na inne opowiadanie.

<sup>25</sup> Por. J. Juran, *Juran on Quality by Design*, Free Press, New York 1992, s. 68 nn.

<sup>26</sup> Por. Z. Drozdowicz, *Jazda na świadka*, „Forum Akademickie” 6/2017, s. 38 nn.

## Postscriptum

Trudno byłoby mi odpowiedzieć na pytanie, czy łatwiej jest oceniać innych, czy samego siebie. Nie uchylałem się jednak i nie uchylam od tej drugiej oceny. Taką próbę samooceny przedstawiłem już ponad 20 lat temu<sup>27</sup>. Dzisiaj chciałbym jednak dokonać kilku dopowiedzeń. W pierwszej kolejności do okresu moich studiów i mojego studiowania. Myślę, że nie należałem do tego rodzaju studentów, którzy chcieliby przejść przez studia lekko, łatwo i przyjemnie. Nie oznacza to jednak, że nie znajdowałem w życiu studenckim żadnych przyjemności. Sądzę, że nie różniły się one zasadniczo od tych, które znajdowali moim rówieśnicy. Jeśli już w czymś od nich odbiegały, to przede wszystkim w próbie realizacji tych aspiracji, które wiązały się z moimi wcześniejszymi planami podjęcia studiów na reżyserii filmowej (ostatecznym wyborem była historia). Jakaś namiastką tego było prowadzenie w okresie moich studiów teatru studenckiego. Do dzisiaj moim rówieśnicy przypominają mi na zjazdach koleżeńskich taki spektakl, w którym jedna z moich koleżanek umieszczona została w klatce; niestety, nie mogą sobie przypomnieć, o co mi wówczas chodziło. Na końcu tych studiów podjąłem jednak decyzję, której do dzisiaj żałuję. W swojej zarozumiałości (i braku roztropności) pomyślałem, że przecież te 5-letnie studia można skończyć w 4 lata. Jak pomyślałem, tak zrobiłem. Jeśli miałbym wówczas dzisiejszy rozum, to zapewne nie tylko nie skróciłbym tych studiów, ale jeszcze bym je wydłużył, podejmując je na dodatkowym kierunku (choćby na którejś z „egzotycznych” filologii). Krok ten był tym bardziej nierozważny, że nie przybliżał mnie do pracy na uczelni. Miałem jednak to szczęście, że pamiętał o mnie mój promotor pracy magisterskiej (prof. Janusz Pajewski) i po roku oczekiwania znalazło się dla mnie miejsce na uczelni.

Druga z tych kwestii dotyczy moich zainteresowań badawczych. Związane były one z filozofią francuską (rozprawę doktorską pisałem na temat antynomii rozumu i wiary w ujęciu Blaise’a Pascala). W miarę pogłębiania się mojej wiedzy i kompetencji zawodowych w coraz większym stopniu zwracały się one w kierunku filozofii René Descartes’a. W latach 80. minionego stulecia przerodziły się one w swoistą fascynację tym filozofem. Skutki

---

<sup>27</sup> Por. Z. Drozdowicz, *O filozofię żywą, a przynajmniej bliższą życiu*, w: *Z perspektywy końca pewnej epoki*, Wyd. Fundacji Humaniora, Poznań 1997, s. 47 nn.

tego odczuwali zapewne ci studenci kierunku filozofii, którzy mieli ze mną obligatoryjny wykład z filozofii francuskiej i na egzaminie wymagałem od nich dosyć gruntownej znajomości jego filozofii. Ponoć nawet nazywali mnie „René”. Mam jednak nadzieję, że było to związane z tym francuskim filozofem, a nie z popularnym wówczas serialem telewizyjnym „Halo, Halo” (takie imię miał bowiem również jeden z jego głównych bohaterów). Sporo wskazuje na to, że ubiegający się o stopnie naukowe doktora lub doktora habilitowanego na podstawie rozpraw z zakresu filozofii francuskiej raczej nie chcieli trafić na mnie jako na opiniodawcę ich naukowych osiągnięć. Mam zresztą wrażenie, że niewiele w tej kwestii zmieniło się do dzisiaj. Dodam jeszcze tylko, że raczej z pewnym zaniepokojeniem niż rozbawieniem traktuję takie sytuacje na tych konferencjach naukowych, na których autorzy referatów z zakresu filozofii XVII stulecia odruchowo spoglądają w moim kierunku, a w dyskusjach stosunkowo łatwo zgadzają się z moimi opiniami. W każdym razie mam nadzieję, że nie sprawiam wrażenie kogoś, kto wszystko wie o tej filozofii i ma odpowiedź na każde związane z nią pytanie.

Trzecie i ostatnie z tych dopowiedzeń związane jest z pisaną przeze mnie w końcu lat 70. minionego stulecia rozprawą na temat filozofii Descartes’a. Nie mogę w żadnym razie powiedzieć, że to pisanie szło mi łatwo. Jako młody uczony mogłem poświęcić na jej pisanie po kilkanaście godzin dziennie (i tyle poświęcałem). Zdarzało się jednak, że po takiej wielogodzinnej pracy to, co znalazło się na kartce, lądowało w koszu na śmieci. Koszty tego zmagania się z oporną „materią filozoficzną” ponosiłem zresztą nie tylko ja sam, ale także moje najbliższe otoczenie, z którym dzieliłem się nie tyle nawet swoimi kłopotami, ile tymi problemami, które wydawały mi się szczególnie ważne, a przynajmniej intrygujące. Przypominało to przedstawione wcześniej zachowanie Francisa Cricka, w szczególności jego opowiadanie o podejmowanych przez niego naukowych problemach. Dzisiaj być może nazwano by to uporczywym nękaniami i uznano za rzecz karalną. Istotna różnica polegała nie tylko na tym, że nie stałem się (póki co) Crickiem polskiej filozofii, ale także na tym, że wśród narażonych na słuchanie mojej filozoficznej gadaniny byli zarówno Bogu ducha winni moim koledzy z Instytutu Filozofii, jak i moja najbliższa rodzina, w szczególności moja Małżonka.

W końcu jednak tę rozprawę napisałem, opublikowałem i przedstawiłem jako podstawę ubiegania się o stopień doktora habilitowanego. Łatwo sobie wyobrazić, jak wielkie było moje rozczarowanie, gdy procedura ta

nie zakończyła się wówczas pozytywnym rozstrzygnięciem (stopień ten uzyskałem kilka lat później). Nie chciałbym jednak tutaj szczegółowo przedstawiać tych wszystkich okoliczności, które się na to złożyły, a tym bardziej wymieniać tych osób, które sprawiły, że moje dalsze funkcjonowanie na uczelni stanęło pod wielkim znakiem zapytania. Powiem jednak przynajmniej tyle, że mam głębokie przekonanie, iż moim ówczesnym grzechem była nie tylko nadmierna wiara w przyzwoitość tych, którzy oceniali moje osiągnięcia, ale także, a być może przede wszystkim, mój zbyt młody wiek (miałem wtedy zaledwie 32 lata). Pewne słabości znajduję dzisiaj również w samej rozprawie. Jedną z nich jest napisanie jej tak skomplikowanym językiem, że dzisiaj czytając ją, sam mam trudności ze zrozumieniem, o co mi faktycznie chodziło. Wtedy jednak miałem przekonanie (idąc zresztą za Descartesem), że jeśli ktoś tego nie rozumie, to tym gorzej dla niego; bo – jak zwykł mawiać ten filozof – „jest to proste i oczywiste samo przez się”. Nadal uważam tę rozprawę za niezłą próbę pokonania tych ogromnych trudności, które związane są z każdą poważną próbą zrozumienia i przedstawienia filozofii kartezjańskiej. Nie podtrzymuję już jednak ani tego przekonania, ani też nie praktykuję przedstawiania filozofii Kartezjańskiej w taki sposób, aby było to zrozumiałe jedynie dla wąskiego grona wtajemniczonych<sup>28</sup>.

---

<sup>28</sup> Mam nadzieję, że potwierdzeniem tego jest opublikowana przeze mnie w ostatnich latach książka pt. *Kartezjański racjonalizm. Zrozumieć Kartezjusza* – przynajmniej w swoim założeniu miała ona być nie tylko napisana bardziej zrozumiałym językiem, ale także zawiera takie dopowiedzenia, które to zrozumienie powinny ułatwiać.

## Rozdział V

# Doświadczenie i entuzjazm w nauce

Jest rzeczą bezdyskusyjną, że dla osiągnięcia czegoś znaczącego w nauce potrzebne jest zarówno odpowiednie doświadczenie, jak i spory entuzjazm. Rzecz w tym, aby występowały one w zgodnej parze lub przynajmniej były dopasowane do konkretnych przedsięwzięć. Mogę sobie wyobrazić taką sytuację, w której doświadczenie jest dla uczonego źródłem rozwagi, natomiast źródłem tej odwagi jest entuzjazm, bez którego nie jest możliwe przekroczenie różnorodnych ograniczeń. Łatwiej jest jednak to sobie wyobrazić niż zrealizować w praktyce. W tej ostatniej bowiem niejednokrotnie okazywało się i okazuje, że nie tylko nie występują one w zgodnej parze, ale także utrudniają sobie dotarcie do wyznaczonych celów.

### 1. Kilka opinii w sprawie

Na początek opinie i sugestie odautorskie. Bez wątplenia zarówno doświadczenie, jak i entuzjazm są w nauce ogromnie zróżnicowane – nie tylko w różnych dyscyplinach, ale także w tych samych, ale uprawianych w różnym miejscu i w różnym czasie. Rzecz jasna, różnie mogą one wyglądać i przejawiać się nie tylko u różnych uczonych, ale również u tego samego uczonego, ale na różnych etapach jego zawodowej aktywności i w różnych towarzyszących jej okolicznościach. Te ostatnie bowiem się zmieniają i czasami sprzyjają osiągnięciu znaczących wyników w nauce, a czasami to utrudniają lub nawet uniemożliwiają. Niektóre z nich są zależne od uczonych, a przynajmniej mogą one w jakiejś mierze na nie wpłynąć. Są jednak również i takie, wobec których podejmowane przez nich próby kontroli lub jakichś istotniejszych zmian okazują się mało skuteczne i muszą się oni poddać tzw. wyższej konieczności, takiej jak polityka prowadzona przez państwo lub przez ich uczelniane władze. Tak

czy inaczej, mówiąc o istotnych uwarunkowaniach działalności uczonych, trzeba mieć na uwadze zarówno to, co sytuuje ich w określonej zbiorowości, jak i to, co ma charakter jednostkowy i jest niejednokrotnie niepowtarzalne, a przynajmniej niedające podstaw do formułowania generalizacji.

W ich aktywności intelektualnej i w praktycznym postępowaniu występują jednak również takie prawidłowości, które pozwalają wskazać to, co w nich jest dosyć typowe i charakterystyczne. Odwołam się tutaj do wspomnianego w odautorskim wstępie wykładu Kazimierza Twardowskiego *O dostojęństwie Uniwersytetu*. Zdaniem tego filozofa generalnym

[...] zadaniem Uniwersytetu jest zdobywanie prawd i prawdopodobieństw naukowych oraz krzewienie umiejętności ich dochodzenia. Rdzeniem i jądrem pracy uniwersyteckiej jest tedy twórczość naukowa, zarówno pod względem merytorycznym, jak i pod względem metodycznym. Cięży na Uniwersytecie obowiązek odkrywania coraz to nowych prawd i prawdopodobieństw naukowych oraz doskonalenie i szerzenie sposobów, które je odkrywać pozwalają. Z tych wysiłków wyrasta gmach wiedzy naukowej, wiedzy obiektywnej, która domaga się uznania wyłącznie na tej podstawie, że jest według praw logiki uzasadniona, i która narzuca się umysłowi ludzkiemu jedynie, ale i nieprze-parcie siłą argumentów<sup>1</sup>.

Wszystko to jest wprawdzie powiedziane ze sporym akademickim namaszczeniem, jednak jest on w tym przypadku jak najbardziej na miejscu.

Trzeba jednak dopowiedzieć, że nie ma Uniwersytetu bez Ludzi Uniwersytetu oraz tych wielu dziedzin i dyscyplin, które są na nich uprawiane i wykładane. W tej kwestii odwołam się również do akademickiego wykładu – tym razem niemieckiego znaczącego uczonego, Maxa Webera (profesora kilku niemieckich uniwersytetów, mającego liczące się osiągnięcia w kilku dyscyplinach społecznych). W tej kwestii odwołam się do wspomnianego wcześniej monachijskiego wykładu Maxa Webera z 1917 r., zatytułowanego *Wissenschaft als Beruf (Nauka jako zawód)*. Twierdził w nim, że zawód uczonego różni się zasadniczo od tych zawodów, które się wprawdzie wykonuje, ale wykonuje m.in. z takich zewnętrznych przymusów, jak potrzeba zaspokojenia materialnych potrzeb (swoich i swojej rodziny) oraz wykonuje się go pod nadzorem tych, którzy nam płacą i od nas wymagają; tak jak w tej kapitalistycznej fabryce, w której „tyle zarobisz, ile zrobisz” (i ile zechce ci zapłacić jej właściciel). W nauce wprawdzie również istotne znaczenie ma praca i płaca, ale nie tylko, a w niejednym

<sup>1</sup> K. Twardowski, *O dostojęństwie Uniwersytetu*, Uniwersytet Poznański, Poznań MCMXXXIII, s. 2 nn.



przypadku nawet nie przede wszystkim, bowiem tutaj na pierwszy plan wysuwa się, a przynajmniej wysuwać powinno, „wewnętrzne powołanie do nauki. W dzisiejszych czasach tę wewnętrzną stronę, w porównaniu z warunkami zawodowego uprawiania nauki, określa przede wszystkim fakt, że nauka wkroczyła w stadium specjalizacji o niespotykanym dotychczas zasięgu, oraz że jest to proces nieodwracalny”. Stąd jeśli ktoś

[...] nie posiada [...] umiejętności nałożenia sobie kłapek na oczy i utwierdzenia siebie w przekonaniu, iż los jego własnej duszy zależy od prawidłowego dokonania poprawki, i to akurat tej poprawki w tym właśnie, a nie w innym miejscu rękopisu, ten ma niewiele wspólnego z nauką. Nigdy nie doświadczy tego stanu wewnętrznego, który można nazwać „przeżyciem” nauki. Bez owego szczególnego, wyśmiewanego przez każdego laika opętania, bez tej pasji, owego: „Musiały przeminąć tysiąclecia, aż ty przyszedłeś na świat, a następne tysiąclecia czekają w milczeniu na to, aby udała ci się ta poprawka”, nie ma on powołania do nauki i niech lepiej robi coś innego. Tylko bowiem czynność, którą można wykonywać z pasją, jest dla człowieka [nauki – Z.D.] jako takiego cokolwiek warta<sup>2</sup>.

Jest w tym trochę żartobliwości. Generalnie jednak trzeba ten wykład potraktować poważnie, bowiem mówi się w nim o czymś tak ważnym jak czasami bardzo subiektywne i trudno do zweryfikowania przekonanie uczonego, że posiada on powołanie do należytego wykonania tego zawodu, a także – co niemniej ważne – doświadczenia przez niego tej swoistej pasji, którą nazwać można również opętaniem, a która wypełnia jego duchowe życie i stanowi siłę napędową jego naukowej aktywności. Zapewne nie można postawić znaku równości między tą pasją i entuzjazmem uczonego. Można jednak znaleźć między nimi wiele elementów wspólnych. Wskazywał zresztą na nie sam Weber, mówiąc m.in. o tym, że „nie ma to nic wspólnego z jakąkolwiek zimną kalkulacją”, natomiast ma wiele wspólnego z trwaniem i przetrwaniem (niekiedy przez całe zawodowe życie) przy jednym problemie, jednym pomysłem czy też tej przysłowiowej „jednej linijce tekstu”, do której odczytania właściwego sensu uczony czuje się powołany i z którą czuje się on związany – rzecz jasna, na dobre i na złe (bo przecież nikt i nic nie da mu gwarancji odniesienia zawodowego sukcesu). Szersze

---

<sup>2</sup> „Faktem jest jednak, że nawet jeśli ma się w sobie wiele z tej pasji, to niezależnie od tego, jak bardzo jest ona prawdziwa i głęboka, rezultaty każą na siebie długo czekać. Stanowi ona wszakże dopiero warunek wstępny najistotniejszego »natchnienia«”. M. Weber, *Nauka jako zawód i powołanie*, w: Z. Krasnodębski, M. Weber, *Wiedza Powszechna*, Warszawa 1999, s. 203 nn.

wyjaśnienia i uzasadnienia dla takiego rozumienia doświadczenia i entuzjazmu można znaleźć w innych rozprawach Webera (takich jak *Etyka protestancka* czy *Gospodarka i społeczeństwo*), a także w jego osobistym i zawodowym życiu (wypełnionym niemal bez reszty pasją badawczą).

Odwołam się jeszcze do kilku innych „linijek” historycznego tekstu, które wnoszą coś istotnego do podjętego tutaj problemu. Jego autorem jest angielski filozof Anthony A.-C. Shaftesbury (1671-1713). W swoim *Liście o entuzjazmie* umieszcza on tytułowego „bohatera” w szerszym towarzystwie – zarówno ludzi młodych, jak i starych, dobrych i złych chrześcijan, tzw. ludzi pióra oraz tych, którzy nie potrafili się nim posługiwać. To zróżnicowanie ma zdaniem tego filozofa (ale nie tylko jego) istotne przełożenie na to, jak wygląda ów entuzjazm oraz do czego on może doprowadzić i niejednokrotnie doprowadził. Przykładowo: w przypadku „romansu piętnastoletniego chłopca może on doprowadzić w naturalny sposób do tego, że stanie się on fircykiem i podda się wpływowi pięknej namiętności na równi z poważnym pięćdziesięcioletnim mężczyzną”. Natomiast w przypadku „dobrego chrześcijanina może on sprawić, że będzie on pragnął być coraz lepszym człowiekiem i jeśli tylko pogłębi swoje skłonności, może pogłębić swą wiarę na tyle, że obejmie ona nie tylko biblijne i tradycyjne cuda, ale również niezły zbiór bajek opowiadanych przez piastunki”. Interesujące są również opinie tego filozofa dotyczące medyków i stosowanych przez nich sposobów leczenia z różnych związanych z entuzjazmem skłonności. W ich świetle są specjaliści od chorób duszy, którzy uważają, że „rodzajowi ludzkiemu właściwe są pewne humory, które muszą znaleźć ujście. Ludzki umysł i ciało są razem w naturalny sposób przedmiotem wzburzenia: tak jak we krwi są dziwne fermenty, które w wielu ciałach w wyjątkowy sposób wyładowują się [...]. Jeśli medycy zabiegający jedynie o uśmierzenie cielesnych fermentów, uderzają w humory, które ukazują się w takich erupcjach entuzjazmu, zamiast ozdrowienia najprawdopodobniej powodują istną plagę i zamieniają wiosenny niepokój czy jesienną ociężałość w zaraźliwą, złośliwą gorączkę”<sup>3</sup>.

W świetle obowiązujących dzisiaj standardów naukowości opisy te nie wyglądają zbyt poważnie, a w każdym razie niejeden ze współczesnych specjalistów od duszy mógłby zgłosić do nich swoje zastrzeżenia. Wyszły ona jednak spod pióra sporego formatu filozofa (mieszczącego się w pierwszym „składzie” ówczesnych filozofów angielskich), a poza tym od filozofów generalnie nie można oczekiwać, że wszystko to, co mieli

<sup>3</sup> A.A.-C. Shaftesbury, *List o entuzjazmie*, Wyd. Naukowe UMK, Toruń 2007, s. 27 nn.

i mają do powiedzenia, od początku do końca było i będzie prawdą lub przynajmniej czymś całkowicie przekonującym. Można jednak, a nawet należy od nich oczekiwać, że będzie inspirowało do głębszych przemyśleń, albo przynajmniej od czasu do czasu będzie trafiało w nasze zainteresowania i oczekiwania. Oba te warunki w moim przekonaniu spełnia *List o entuzjazmie* Shaftesbury'ego. Co więcej, zawiera on opisy tego entuzjazmu, który był udziałem znaczących filozofów, takich jak Epikur, który „całą siłę swojej filozofii skierował przeciw przesądom”, ale jednak „zostawił miejsce na wizjonerską wyobraźnię i skrycie tolerował entuzjazm”. Zdaniem tego filozofa nie to jednak było najgorsze. Znacznie gorsze było bowiem to, że ta wyobraźnia i ten entuzjazm niejednokrotnie przybierał stany chorobowe („starożytni wyobrażali sobie, że choroba ta ma coś wspólnego z tym, co zwali wścieklizną”). W postawionej przez siebie diagnozie stwierdza on, że choroba ta pojawia się dlatego, że „ludzkie naczynie jest zbyt wąskie, by przyjąć wielkie idee i obrazy”, co sprawia, że „powstaje coś na kształt furii i nieokiełznania”<sup>4</sup>. Zapewne niejednego z czytelników tego *Listu* mogły rozbawić te dywagacje. Byli jednak również i tacy, których one zaniepokoiły. Zawarta jest w nich bowiem sugestia, że w gruncie rzeczy nie ma zasadniczej różnicy między religijnym i antyreligijnym fanatykiem, a także między wielkim filozofem oraz tymi zwyczajnymi ludźmi, którzy coś sobie roją (we śnie lub na jawie) i te urojenia biorą za najprawdziwszą prawdę.

## 2. Kilka przykładów w sprawie

Przykładów udanego łączenia przez uczonych doświadczenia z entuzjazmem w historii nauki można znaleźć wiele. Nie wszystkie z nich wnoszą jednak coś tak ważnego do podjętego tutaj problemu, aby warto było je przywoływać. Warto się natomiast odwołać przynajmniej do kilku takich, które przy wszystkich swoich „ale”, „a przecież” czy „to tylko” skłaniają do głębszych przemyśleń oraz formułowania ogólniejszych wniosków i sugestii. Jednym z takich przykładów może być życie Piotra Abelarda (1079-1142). W pamięci późniejszych pokoleń zapisał się m.in. jego budzący w tamtym czasie oburzenie związek z Heloizą; w XIX stuleciu dla

<sup>4</sup> „Tak też natchnienie może być słusznie nazwane boskim entuzjazmem, gdyż samo to słowo oznacza bożą obecność i przez filozofa, którego najwcześniejsi Ojcowie Kościoła nazywali boskim (tj. Platona), było używane na określenie wszystkiego, co w ludzkich namiętnościach wzniosłe. Taki był duch, który przypisywał on bohaterom, politykom, poetom, mówcom, muzykom, a nawet samym filozofom”. Ibidem, s. 55.

jego upamiętnienia wybudowano im obu okazały grobowiec na cmentarzu Père-Lachaise w Paryżu. Z punktu widzenia tytułowego problemu tych rozważań kwestia ta schodzi na dalszy plan. Na pierwszy wysuwa się natomiast kwestia akademickiego doświadczenia tego filozofa i teologa. Nie ulega wątpliwości, że było ono nie tylko znaczne, ale także dosyć typowe dla tych, którzy mieli możliwości jego zdobycia i potrafili z nich skorzystać. Pochodził on ze szlacheckiej rodziny – na tyle zamożnej, że stać ją było na pokrycie kosztów wykształcenia swoich dzieci. Droga Abelarda do zdobycia naukowego doświadczenia prowadziła najpierw przez ważny w tamtym czasie ośrodek edukacyjny w klasztorze w Chartres, później poprzez szkołę Wilhelma z Champeaux (jego mistrz i nauczyciel zaliczał go do wyjątkowo uzdolnionych osób), a następnie przez studia na Uniwersytecie w Paryżu. W każdym z tych miejsc trafiał na znaczących w tamtym czasie nauczycieli. Jednak nie ze wszystkimi był w stanie się porozumieć, a z niektórymi z nich (takimi jak wspomniany Wilhelm z Champeaux) popadł w głęboki konflikt. Do głosu doszła nie tylko różnica poglądów, ale także, a być może nawet przede wszystkim różnica temperamentu i związanego z nim entuzjazmu.

Lapidarnie, ale sugestywnie entuzjazm Abelarda przedstawił Jacques Le Goff w swoim szkicu o narodzinach inteligencji w XII wieku. Zdaniem tego mediewisty „Abelard porzuca oręż wojenny tylko po to, aby toczyć inne batalie. Zawsze bojowy, stanie się on [...] rycerzem dialektyki. Bardzo czujny i ruchliwy, śpieszy wszędzie, gdzie zanoszą się na walkę. Gdziekolwiek zjawi się ten budziciel idei, wybuchają namiętne dyskusje. Intelktualna krucjata nieuchronnie wiedzie go do Paryża. Jego pewność siebie, do której się przyznaje [...] każe mu zaatakować najsłynniejszego z mistrzów paryskich, Wilhelma z Champeaux. Prowokuje go, przyciska do muru, przeciąga słuchaczy na swoją stronę”<sup>5</sup>. Rzecz jasna, wszystko to w imię prawdy – zarówno tej, do której Abelard już doszedł, jak i tej, którą dopiero zamierzał osiągnąć i do której osiągnięcia przyznał sobie prawo. Jego kłopoty z ówczesnym akademickim otoczeniem brały się nie tylko stąd, że nie uznawało ono jego prawd, ale także nie uznawało ono jego prawa do poszukiwania ich w taki sposób, jakby ówczesne autorytety naukowe i kościelne nie miały niczego ważnego do powiedzenia. Przypomnę, że wszystkie ówczesne uczelnie wyższe miały charakter wyznaniowy i oznaczało to m.in., że podlegały zwierzchności Kościoła oraz musiano się na nich liczyć z tym, co miały do powiedzenia w najistotniejszych kwestiach

<sup>5</sup> J. Le Goff, *Inteligencja w wiekach średnich*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 1997, s. 49 nn.

kościelne autorytety. Skończyło się to tak, jak w tamtym czasie skończyć się musiało, tj. usunięciem Abelarda z grona profesorów paryskiego uniwersytetu i potępieniem zarówno jego poglądów, jak i jego postawy. Uczony ten zakończył swoje akademickie życie na wygnaniu („Odnajdujemy go w roku 1136 w klasztorze na Górze Świętej Genowefy”), a po jego śmierci niektórzy z jego najbardziej zaciekle przeciwników (tacy jak św. Norbert czy św. Bernard) zostali wyniesieni na ołtarze. W późniejszych wiekach podobny los spotkał niejednego takiego entuzjastę dążenia do prawdy swoją własną drogą i bez oglądania się na kościelne autorytety.

W dalszej części tych rozważań odwołam się jednak nie do tych uczonych, którzy stanowili kolejne ofiary tego swoistego układu, w którym Kościoły wspierała swoje uczelnie, a uczelnie swoje Kościoły, lecz tych, którzy po zakończeniu swojej szkolnej edukacji raczej unikali kontaktów z uczelniami i demonstrowali brak entuzjazmu dla tego, co tam znajdowali. Jednym z nich był René Descartes (1596-1650). Jest on ceniony głównie jako filozof (autor m.in. formuły *cogito ergo sum* – „myślę, więc jestem”). Jego osiągnięcia jako uczonego są jednak również znaczące – żeby tylko tytułem przykładu przypomnieć, że sformułował on podstawy geometrii analitycznej (stanowiącej dzisiaj jeden z działów matematyki) oraz przyczynił się w istotnym stopniu do uwolnienia fizyki od tych arystotelesowskich założeń, które stały się z czasem dla tej dyscypliny czymś w rodzaju „kamienia u nogi”<sup>6</sup>. Osiągnięcia te nie byłyby jednak możliwe, gdyby nie otrzymał solidnego przygotowania w jezuickim kolegium w La Flèche (naukę w nim rozpoczął w wieku 8 lat, a zakończył w wieku 16 lat). Później wprawdzie wystawił nie najlepsze świadectwo tej placówki edukacyjnej, twierdząc m.in., że „gdy ukończył cały ten kurs nauk, którego opanowanie wprowadza zazwyczaj do grona uczonych [...], poczuł się uwikłany w takie mnóstwo wątpliwości i błędów, że zdawało mu się, iż jedyną korzyścią, którą wyniósł ze swoich usiłowań kształcenia się, było coraz pełniejsze wykrywanie własnej niewiedzy”. Przyznawał jednak również, że nie tylko „zaszczepiono w nim »upodobanie do nauk matematycznych«, ale także przekonano go, że są to w gruncie rzeczy jedyne nauki godne tego miana”<sup>7</sup>.

<sup>6</sup> Szerzej w tej kwestii por. D. Garber, *Descartes' physics*, w: J. Conttingham (red.), *The Cambridge Companion to Descartes*, Cambridge University Press, Cambridge 2005, s. 286 nn.

<sup>7</sup> „[...] na skutek pewności i oczywistości ich racji”; jednak „wtedy jeszcze zupełnie nie dostrzegał właściwego sposobu ich użytkowania i mniemając, że służą jedynie umiejętnościom technicznym, dziwił się, iż mimo ich podstaw tak niezachwianych i mocnych, nie zbudowano na nich nic bardziej doniosłego”. R. Descartes, *Rozprawa*

To upodobanie i to przekonanie przełożyło się bezpośrednio na ten entuzjazm filozoficzny i naukowy, który towarzyszył całej jego dalszej drodze filozoficznej i naukowej, oraz sprawiło, że już za życia stał się swoistym filozoficznym i naukowym „celebrytą” (rzecz jasna, na miarę XVII stulecia), a jego osiągnięcia były przedmiotem zainteresowania i dyskusji w wielu ówczesnych ośrodkach akademickich; jednak przez jednych były krytykowane, natomiast przez innych podziwiane, przy czym tych pierwszych było w tamtym stuleciu zdecydowanie więcej niż tych drugich<sup>8</sup>.

Warto powiedzieć chociażby kilka słów zarówno na temat jego naukowego doświadczenia, jak i tego entuzjazmu dla nauk matematycznych, który sprawił, że właściwie wszystkie proponowane przez niego rozwiązania mają w nich swoje źródło, uzasadnienie i usprawiedliwienie. Generalnie jego doświadczenie pogłębiało się z każdym kolejnym podejmowanym przez niego problemem i proponowanym rozwiązaniem – począwszy od napisanego w latach młodzieńczych traktatu pt. *Compedium musicae* (traktuje on nie tyle o muzyce, ile roli w niej matematyki), a skończywszy na napisanych w ostatnim okresie życia *Zasadach filozofii* (przedstawione w nim zostały zasady tego wszystkiego, co istniało, istnieje i jeszcze może zaistnieć). Są podstawy do tego, aby twierdzić, że wraz z pogłębianiem się tego doświadczenia pogłębiało się jego młodzieńcze przekonanie, że ci, którzy nie znają matematyki lub też nie potrafią się nią posługiwać tak jak należy (rzecz jasna, wskazał on, jak należy się nią posługiwać), nie mają szans na to, aby dojść do prawdy oraz legitymacji do tego, aby ją głosić z wysokości uniwersyteckich katedr. Ci ostatni odpłacali mu się oczywiście „pięknym za nadobne”, krytykując go i doprowadzając do zakazu wykładania jego filozofii i jego nauk na wielu wyższych uczelniach<sup>9</sup>. Do historii wielkich kontrowersji filozoficznych i naukowych przeszły zarówno *Zarzuty uczonych mężów do Medytacji o pierwszej filozofii* Descartes’a (wśród ich autorów byli m.in. profesorowie ówczesnych uniwersytetów), jak i odpowiedzi Autora. Jasno z nich wynika, że z tą uczonością jego oponentów coś jest nie tak, jak być powinno i powinno się zacząć od początku, tj. od opanowania zasad matematycznego myślenia i dowodzenia.

*o metodzie*, PWN, Warszawa 1970, s. 9 nn. Szerzej w kwestii wczesnych lat edukacji tego filozofa i uczonego zob. G. Rodis-Lewis, *Descartes' life and the development of his philosophy*, w: J. Conttingham (red.), *The Cambridge Companion to Descartes*, s. 21 nn.

<sup>8</sup> Szerzej w tej kwestii zob. N. Jolley, *The reception of Descartes' philosophy*, w: J. Conttingham (red.), *The Cambridge Companion to Descartes*, s. 393 nn.

<sup>9</sup> Szerzej w tej kwestii por. R. Ariew, *Descartes and scholasticism: the intellectual background to Descartes' thought*, w: J. Conttingham (red.), *The Cambridge Companion to Descartes*, s. 58.



Sporo do myślenia na temat związków naukowego doświadczenia z entuzjazmem daje również biografia Karola Darwina (1809-1882), brytyjskiego przyrodnika uznawanego za głównego autora teorii ewolucji gatunków; przedstawił ją w opublikowanej w 1859 r. rozprawie pt. *O powstawaniu gatunków* (*On the Origin of Species*). Posiadał on – podobnie zresztą jak jego konkurenci do tego naukowego sukcesu (tacy jak Charles Lyell czy Alfred Russel Wallace) – gruntowne akademickie wykształcenie (studował najpierw medycynę na Uniwersytecie Edynburskim, a później nauki przyrodnicze na Uniwersytecie w Cambridge) oraz spore doświadczenie badawcze związane m.in. z badaniami geologicznymi, a także (co w świetle jego późniejszych osiągnięć może stanowić pewne zaskoczenie) analizami też Williama Paleya, który w swojej *Teologii naturalnej* usiłował wykazać ściśle związki między przyrodniczymi procesami adaptacyjnymi oraz działaniem „ręki” Pana Boga. Jego biografowie podkreślają, że Darwin należał do tych przyrodników, którzy nie tylko wykazywali duże zaangażowanie i zamiłowanie do własnych badań, ale także spore zainteresowanie tym, co inni mieli do powiedzenia w interesujących go kwestiach. Szczególnie duże wrażenia zrobiły na nim ustalenia takich uczonych, jak Linneusz (Carolus Linnaeus) – o jego opublikowanym w 1735 r. dziele pt. *Systema Naturae* Darwin wyrażał się z ogromnym podziwem i entuzjazmem<sup>10</sup>.

Przełomowe znaczenie miały jednak nie tyle przeczytane przez niego lektury, ile udział w wyprawie na statku „Beagle”, której celem było sporządzenie map wybrzeża Ameryki Południowej. Przywoływani tutaj biografowie piszą m.in. że Darwin „rozpaczliwie pragnął przyjąć to zaproszenie”, ale nie mógł nic zrobić bez zgody ojca” (Roberta Darwina, również badacza przyrodnika), który był przekonany, że „będzie to zupełnie bezużyteczne przedsięwzięcie”. Dopiero interwencja przyjaciela jego ojca sprawiła, że otrzymał zgodę na udział w tej wprawie (trwała ona od grudnia 1831 r. do października 1836 r.). Pewien wpływ na sukces naukowy Darwina miała również jego przyjaźń z kapitanem tego statku Robertem FitzRoyem – nie tylko interesował się on jego badaniami, ale także „spędzał z nim całe godziny na dyskusjach o biologii i geologii”<sup>11</sup>. Zdaniem autorów tej biografii, podczas tej wyprawy jedno z zaobserwowanych przez Darwina zjawisk

<sup>10</sup> „Linneusz opisywał w nim rośliny i zwierzęta w systemie czterostopniowej hierarchii. Całe królestwo roślin dzieliło się na klasy, rzędy, rodzaje i gatunki”. M. White, J. Gribbin, *Darwin. Żywot uczonego*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998, s. 53 i in.

<sup>11</sup> „Znał pierwszy tom słynnych *Principles of Geology* Charlesa Lyella, ogłoszony w 1830 roku, który stanowił punkt wyjścia wielu poglądów Darwina i sam był zapałym przyrodnikiem amatorem”. Ibidem, s. 65.



wzbudzało w nim niepokój (np. zachowanie tych tubylców, którzy witają ich, „gadali i gestykulowali z wielką szybkością”), inne sprzeciw (postępowanie „hiszpańskich właścicieli ziemskich traktujących miejscową ludność gorzej niż Brytyjczycy na północy”), a jeszcze inne entuzjazm (m.in. „odnosił się on z entuzjazmem do roli misjonarzy”). Wszystko to było ważne, jednak nie najważniejsze dla dokonania tego odkrycia, które sprawiło, że zapisał się on wielkimi literami w historii nauki. Zgadzają się z tym zresztą przywoływani tutaj jego biografowie, wskazując na takie podstawy tego sukcesu, jak studiowanie przez Darwina „życia brazylijskiej dżungli, przy czym szczególnie zafascynowały go chrząszcze i inne owady żyjące na jej dnie”<sup>12</sup>. Ta fascynacja pozostała w nim zresztą do końca życia. O badaniach nad swoimi „ukochanymi pąglami” („miniaturowymi stworzeniami, wielkości główki od szpilki”) myślał i mówił z zachwytem oraz „z entuzjazmem powracał do tej pracy, w której po raz pierwszy wyprawiał się jako przyrodnik”.

Można zapytać: a co z tymi małpami, od których miałby jakoby pochodzić każdy człowiek? Problem w tym, że przynajmniej przed opublikowaniem jego sztandarowego dzieła kwestia ta nie była dla Darwina ani przedmiotem jakichś szczególnych fascynacji badawczych, ani też nie była w tym dziele szczególnie mocno eksponowana. Co więcej, można tam znaleźć takie sformułowania, które nie były w jakiejś radykalnej sprzeczności z rozpowszechnionymi wówczas przekonaniem<sup>13</sup>. Sytuacja zmieniła się w sposób zasadniczy po opublikowaniu tego dzieła i nagłośnieniu jego generalnych tez zarówno przez zwolenników teorii ewolucji (takich jak Thomas H. Huxley), jak i jej zdecydowanych przeciwników, reprezentowanych nie tylko przez ludzi Kościoła, ale także tych, którzy należeli wówczas do autentycznej elity akademickiej (takich jak jego nauczyciel z okresu studiów w Cambridge John Stevens Henslow). Z odpowiedzi na pytanie, jaki był stosunek Darwina do takiego odczytywania i przedstawiania pochodzenia człowieka, udzielonej przez przywoływanych tutaj jego biografów, wynika, że zmieniał się on pod wpływem ataków na jego teorię oraz jego osobę – jednak nie w kierunku wycofywania się na bezpieczne pozycje,

<sup>12</sup> „Znalazł tu mnóstwo gatunków nie występujących w Europie, masę chrząszczy, wobec których bładły najwspanialsze angielskie kolekcje”. Ibidem, s. 71.

<sup>13</sup> W podsumowaniu tego dzieła stwierdza on, że „wzniosły jest zaiste pogląd, że Stwórca natchnął życiem kilka form lub tylko jedną, i że gdy planeta nasza, podlegając prawom ciężenia, dokonywała swych obrotów, z tak prostego początku zdołał się rozwinąć i wciąż się jeszcze rozwija, nieskończony szereg form najpiękniejszych i najbardziej godnych podziwu”. K. Darwin, *O powstawaniu gatunków*, Wyd. Jirafa Roja, Warszawa, 2006, s. 451.

lecz umacniania się w przekonaniach, że taki „szlachetny” gatunek, za jaki uważa się człowieka, pochodzi raczej od czegoś mniej szlachetnego – być może nawet od małpy. Jasno jest to powiedziane w jego w opublikowanej w 1871 r. rozprawie pt. *O pochodzeniu człowieka i selekcji poprzez dobór płciowy* (*The Descent of Man, and Selection in Relation to Sex*). Pozostaje jednak kwestią dyskusyjną, czy do tego odkrycia odnosił się on – podobnie jak wielu jego ówczesnych zwolenników – z entuzjazmem. Sporo wskazuje na to, że nie była mu obca radość, będąca udziałem tych uczonych, którym udało się dokonać jakiegoś ważnego odkrycia. Od tej radości do entuzjazmu droga może jednak być daleka; i w przypadku Darwina tak właśnie było. Wpływ na to miało oczywiście wiele czynników, takich jak problemy rodzinne czy jego choroba (była ona bezpośrednią przyczyną jego śmierci w 1882 r.).

### 3. Kilka sugestii w sprawie

Na podstawie przedstawionych tutaj biografii i osiągnięć kilku znaczących uczonych można z pewnym przekonaniem powiedzieć, że zagrożeń dla ich entuzjazmu było i jest wiele. Można nawet pokusić się o próbę takiego ich uporządkowania, która pozwoli wskazać zarówno te, które mają bardziej ogólny charakter, jak i te, które są bardziej partykularne i jednostkowe. Do tych pierwszych można zaliczyć generalnie te zagrożenia, które są związane ze społecznym otoczeniem uczonego. Otoczenie to czasami jest mu przyjazne i wspomagające, a czasami nieprzyjazne, a nawet wrogie i utrudniające realizację postawionych przez niego celów. Jeśli jednak chce on osiągnąć w nauce coś istotnie ważnego, to musi sobie jakoś z nim poradzić – co oczywiście nie zawsze jest łatwe i trwałe. Ta niepewność może wpływać i niejednokrotnie wpływa na spadek poziomu entuzjazmu uczonego – nie tylko zresztą dla prowadzonych przez niego badań, ale także dla utrzymywania i rozwijania współpracy z bliższym i dalszym otoczeniem. Są takie mądrości życiowe, które przy całej swojej wieloznaczności dobrze trafiają w sedno problemu. Należy do nich stwierdzenie, że należy się obawiać nie tyle autentycznych wrogów (wiadomo przynajmniej z kim i z czym trzeba walczyć), ile fałszywych przyjaciół, a w każdym razie takich, którzy w trudnych momentach albo nie wyciągną do nas pomocnej dłoni, albo wręcz będą utrudniali wyciągnięcie jej przez innych. Zaliczam do nich również powiedzenie, że „to, co nas nie zabije, to nas wzmocni”. Tyle tylko, że czasami zanim kogoś zdąży wzmocnić, to zdąży może go

nie tyle nawet zabić, ile tak mocno osłabić, że z jego entuzjazm do pracy badawczej niewiele pozostaje. Zaliczam do nich także stwierdzenie (można je znaleźć w Starym Testamencie): „pomóż sam sobie, a Niebo ci pomoże”. Nie zawsze jednak pomoże ci tak, jakbyś sobie życzył lub przynajmniej abyś nie znalazł się w towarzystwie tych, z którymi przez całe zawodowe życie nie było ci po drodze. Może się przecież okazać (i niejednokrotnie się okazywało), że to, co w teorii przedstawiane było jako jakieś „niebo”, w praktyce bardziej będzie przypominało jakieś „piekło” – jego funkcjonariusze jeśli nawet nie będą posługiwali się jakimś „piekielnym ogniem” (w końcu nie wszystkich przeciwników Pana Boga posyłano na stos), to i bez tego potrafią boleśnie dać się we znaki niejednemu uczonemu (i rzecz jasna nie tylko jemu). Przywołany tu przypadek Abelarda pokazuje, jak to może wyglądać w szczegółach.

Dzisiaj ten sposób gaszenia entuzjazmu zdaje się cieszyć nieco mniejszym wzięciem, a przynajmniej nie ma na niego już tak szerokiego społecznego przyzwolenia, jak miało to miejsce w przeszłości. Nie oznacza to oczywiście, że w żadnym kraju zachodnim nie ma już uczelni podlegających zwierzchności któregoś z Kościołów. Kłopotliwa może jednak być nie tylko ta zwierzchność, lecz także to, co w niejednym z rozwiniętych krajów świata zachodniego zastąpiło tradycyjne *sacrum* – chociażby coś takiego jak pieniądze. Ci, którzy je posiadają lub przynajmniej nimi dysponują, mogą oczywiście przeznaczyć jakąś jego część na badania naukowe; jednak zwykle na swoich warunkach i tylko te badania, które uznają za potrzebne oraz im przydatne. O „wolnościach akademickich” mówi się co najmniej od czasów Abelarda. I dobrze, bowiem wolności te mogą w istotnym stopniu przyczynić się do efektywności badań. Gorzej, że były i nadal są one poważnie zagrożone zarówno przez ich starych, jak i nowych przeciwników, a jeszcze gorzej, że ci ostatni nie zawsze występują w tzw. rękawiczkach lub też mówią otwarcie: „płacę i wymagam, a jak nie będziesz spełniał moich wymagań to fora ze dwora” (czytaj: z uczelni, którą finansuję lub przynajmniej nad którą sprawuję polityczną kontrolę).

Najbardziej dramatycznie to wyglądało w krajach totalitarnych (komunistycznych i faszystowskich). Jednak dramatów nie brakowało i nie brakuje również w tych, które albo już posiadają skrojoną na swoją miarę demokrację, albo przynajmniej się do niej przymierzają, ale różnie to im wychodzi. Jest takie popularne powiedzenie: „nie traćcie ducha” oraz związane z nim entuzjazmu. Łatwiej to powiedzieć, niż zrobić, zwłaszcza gdy różnego rodzaju politycy próbują albo utrzymać przy życiu albo też ożywić

tego „ducha”, posługując się nie tyle siłą argumentów, ile argumentem tej siły, która się bierze z poparcia udzielonego im w wyborach parlamentarnych. Odwołam się tutaj do obowiązującej w Polsce od 1 października 2018 r. *Ustawy 2.0*, mającej reformować polskie szkolnictwo wyższe i naukę. W dyskusjach nad proponowanymi w niej założeniami i rozwiązaniami wzięło udział kilka tysięcy osób. Nie brakło w nich głosów poparcia. Pojawiły się w nich jednak również takie, które jeśli nawet nie odbiegały zasadniczo od oczekiwań głównych inicjatorów tego przedsięwzięcia, tj. ministra nauki i szkolnictwa wyższego i jego współpracowników, to jednak stanowiły świadectwo tego, że w środowisku akademickim jest spora grupa takich osób, którym nie wszystko w projekcie tej ustawy się podoba. Nie brakło nawet takich, którzy uznali, że należy go wyrzucić do kosza i napisać zupełnie inny – rzecz jasna, lepszy niż ten przedstawiony. Ministerstwo jednak broniło do „upadłego” swojej wizji tej reformy. Skutecznie, bowiem projekt ten nie tylko nie upadł, ale uzyskał poparcie parlamentarnej większości. To, w jaki sposób uzyskał on owe uznanie, może również stanowić interesujący przyczynek do dyskusji nad gaszeniem entuzjazmu uczonych przez polityków i tzw. wielką politykę. Okazało się bowiem, że w parlamentarnych dyskusjach słuszne racje mogą być tylko po stronie rządzącej większości – bowiem jedynie zgłaszane przez jej przedstawicieli poprawki zostały uwzględnione. Obawiam się, że nie świadczy to o wysokiej kulturze współżycia z innymi. Świadczy to natomiast nie tylko o braku szacunku dla opozycji, ale także tego racjonalizmu, do którego dochodzi się w wyniku poważnego potraktowania różnorodnych racji „za” i „przeciw” oraz ich wypracowywania wspólnym wysiłkiem różnych uczestników politycznych dyskusji. Pisał o tym Karl Raimund Popper w swoim *Spółeczeństwie otwartym i jego wrogach* (krytykując Karola Marksa i myślenie bolszewickie)<sup>14</sup>. Czy jednak ktoś z uczestników parlamentarnych polemik w Polsce skłonny jest sięgać po dzieła znaczących filozofów i – co niemniej istotne – poważnie traktować ich przemyślenia oraz sugestie?

Zagrożenia dla entuzjazmu uczonych znaleźć można jednak nie tylko w „wielkiej polityce”, ale także w znacznie mniejszej, a nawet tak niewielkiej, jaką stanowi polityka prowadzona w rodzinie przez jej członków. Można

<sup>14</sup> „[...] racjonalizm to gotowość do uważnego przyjmowania krytycznej myśli i do uczenia się z doświadczenia. Jest to postawa gotowości do uznania, że »ja mogę się mylić, ty możesz mieć rację, i wspólnym wysiłkiem możemy zbliżyć się do prawdy«”. K.R. Popper, *Spółeczeństwo otwarte i jego wrogowie*, t. 2, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 2006, s. 284 nn.

się poważnie zastanawiać nad tym, czy Darwin osiągnąłby, czy też nie osiągnąłby swojego naukowego sukcesu, gdyby pomoc przyjaciela jego rodziny nie przełamała sprzeciwu jego ojca, aby wziął udział w wyprawie do Ameryki Południowej. Być może odkryłby nawet coś interesującego w swoich pąklach, ale raczej nie stanowiłoby to dokonania na miarę teorii o pochodzeniu wszystkich gatunków. Można również zastanawiać się, jak wyglądałyby losy teorii względności Alberta Einsteina, gdyby jego entuzjazm badawczy został zgaszony niepowodzeniem przy pierwszej próbie dostania się na Politechnikę w Zurychu (barierą nie do przeskoczenia okazały się w tym przypadku przedmioty humanistyczne) lub też gdyby po ukończeniu studiów nie znalazł pracy w Szwajcarskim Biurze Patentowym w Bernie (pomogły mu w tym znajomości jego ojca)<sup>15</sup>. Można także zastanowić się, jakby wyglądały losy fizyki teoretycznej, gdyby nie doszło do spotkania Alberta Einsteina i Nielsa Bohra oraz kontrowersji między nimi w kwestii korpuskularnej i falowej teorii światła<sup>16</sup>. Nie chcę przez to sugerować, że poczynaniami i osiągnięciami uczonych rządzi przypadek. Chcę natomiast jasno powiedzieć, że w ich życiu – podobnie zresztą jak w życiu każdego innego człowieka – istotną rolę mogą odgrywać i niejednokrotnie odgrywały zarówno tzw. szczęśliwe, jak i nieszczęśliwe zbiegi okoliczności, a ci, którym w większym stopniu udało się trafić na te pierwsze niż na te drugie należą do tzw. życiowych szczęśliwców i osiągają niekiedy dużo więcej niż ci, którzy nie mieli takiego szczęścia. Rzecz jasna, trzeba mieć nie tylko ów życiowy fart, ale także to doświadczenie i ten entuzjazm, które daje im poczucie stąpania po w miarę pewnym gruncie i stanowi siłę napędową w zmierzaniu do wyznaczonych celów.

<sup>15</sup> Nie był to oczywiście szczyt marzeń tego uczonego, ale „niepowodzenia w poszukiwaniu stanowiska akademickiego uczyniły go znacznie mniej wybrednym i w obecnych warunkach uważał, że jest to »praca cudowna«”. R. Highfield, P. Carte, *Prywatne życie Alberta Einsteina*, Pruszyński i S-ka, Warszawa 1995, s. 99 i in.

<sup>16</sup> „Zacząć wypada od fizyki, która stanowiła przedmiot namiętności, jeśli nie obsesji Bohra i Einsteina. Obaj mówili z wielkim entuzjazmem i optymizmem o aktualnie prowadzonych badaniach. Obaj odznaczyli się wyjątkową zdolnością skupienia. Obaj bardzo wcześnie uświadomili sobie nie tylko znaczenie prawa Plancka, ale również wagę paradoksów, do których prowadziło to prawo”. Jednak pierwszy z nich uznawał za trafną, natomiast drugi za nietrafną hipotezę kwantów światła i – co niemniej istotne – ten pierwszy nie dał się do niej zniechęcić, mimo podejmowanych przez tego drugiego przez wiele lat prób w tym zakresie. A. Pais, *Czas Nielsa Bohra*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1991, s. 220 nn.

## Rozdział VI

# Wrażliwość i drażliwość uczonych

Wrażliwość i drażliwość należą do tych cech osobniczych, o których wiadomo, że występują w różnym stopniu i w różnej formie u każdego człowieka. Jeśli pojawiają się w tym zakresie istotne braki, to jest to traktowane jako nieprawidłowość. To pewne. Dalej jednak pojawiają się takie problemy, które przez jednych mogą być i w jakiejś mierze są rozwiązywane, natomiast dla innych stanowią sporą zagadkę. W tych rozważaniach nie będę wskazywał ani wszystkich tych problemów, ani nawet nie będę sugerował, że możliwe jest sporządzenie ich kompletnej listy. Spróbuję natomiast wskazać niektóre formy przejawiania się wrażliwości i drażliwości uczonych oraz niektóre ze sposobów ich ujmowania i przedstawiania. Zarówno listę tych pierwszych, jak i tych drugich traktuję jako dyskusyjną. Nie mam bowiem wątpliwości, że niejedno jeszcze można na ten temat powiedzieć, a to, co zostało tutaj powiedziane, w niejednym punkcie można skorygować.

### 1. Przykładowe ujęcia

W internetowym słowniku synonimów podaje się ponad 170 synonimów dla słowa „wrażliwość” i ponad 60 dla słowa „nadwrażliwość”, przy czym jedno i drugie sytuowane jest w zróżnicowanych obszarach ludzkiej aktywności oraz namysłu nad nią – począwszy od psychologii, poprzez fizjologię, a skończywszy na teologii. Mniej zamienników i pól refleksji ma słowo „drażliwość”. Charakterystyczne jest jednak, że często eksponowany jest jej wymiar psychologiczny, a nawet chorobowy, łączony m.in. z takimi stanami jak depresja. Sposobów ujmowania wrażliwości i drażliwości jest jednak tak wiele, że łatwo się w tym wszystkim pogubić – nawet tym, którzy profesjonalnie zajmują się tymi problemami, a zwyczajni ciekawscy mogą nawet dojść do wniosku, że różni specjaliści „od” nie tylko nie potrafią

znaleźć wspólnego języka, ale także wzajemnego zrozumienia. Jest zresztą kwestią otwartą, czy takie zrozumienie jest konieczne dla rozwiązania tych problemów, które stwarza ludzka wrażliwość i drażliwość. Jest przecież rzeczą normalną, że punkt widzenia zależy od tzw. miejsca siedzenia i nie wszyscy mogą i chcą siedzieć w pierwszym rzędzie oraz przyglądać się z bliska temu, co rozgrywa się na scenie, na której znaczące role odgrywają wrażliwości i drażliwości. W tej części rozważań przywołam zatem kilka takich sposobów ich ujmowania, które jeśli nawet się nie dopełniają, to przynajmniej całkowicie się nie wykluczają.

Jednym z nich jest ujmowanie wrażliwości z psychologicznego punktu widzenia. Znalazł on swój wyraz m.in. w książce Elaine N. Aron pt. *Wysoka wrażliwość*. Jej autorka prowadziła wieloletnie badania nad tytułową kwestią, a jej wyniki przedstawiła, posługując się terminologią typową dla psychologów eksperymentalnych i terapeutów. W świetle jej ustaleń wrażliwość uwarunkowana jest zarówno genetycznie (rodzimy się z nią), jak i biologicznie (stanowi taki układ nerwowy, który sprawia, że odbieramy więcej zewnętrznych bodźców oraz mocniej reagujemy na te bodźce niż inni). W swojej rozprawie wskazuje ona na takie cechy osób wrażliwych, jak: 1) introwertyzm oraz skłonność do wycofania się i unikania publicznych występów, 2) skłonność do gruntowniejszych analiz pojawiających się problemów oraz trzymania się swoich zasad i wartości, 3) wyższe niż u innego typu osób poczucie odpowiedzialności czy 4) skłonność do skrywania w sobie swoich negatywnych stanów emocjonalnych (takich jak złość czy irytacja) oraz demonstrowania stanów pozytywnych (takich jak współczucie). Do tego typu osób autorka ta zalicza nie tylko różnego rodzaju ludzi sztuki („prawie wszystkie wysoko wrażliwe osoby mają ciągoty artystyczne”) i nauki, ale także teologów i sędziów. Wiele jednak tutaj zależy zarówno od procesu indywidualizacji, jak i relacji osób wrażliwych ze społecznym otoczeniem<sup>1</sup>. Sprawia to, że można ich znaleźć w różnych zawodach, na różnych stanowiskach i w różnych warunkach pracy i płacy<sup>2</sup>. Najtrudniej jest im funkcjonować w tych, w których nie mogą wpływać

<sup>1</sup> W procesie indywidualizacji „ważna jest przede wszystkim zdolność usłyszenia wewnętrznego głosu (lub głosów) ponad wszelkim wewnętrznym i zewnętrznym hałasem”. E.N. Aron, *Wysoka wrażliwość*, Wyd. Feeria, Łódź 2017, s. 207 nn.

<sup>2</sup> Lista zawodów, które wydają się być „wyjątkowo dostosowane do osób wysoko wrażliwych” jest jednak długa i ogromnie zróżnicowana. Znajduje się na niej bowiem „renowator mebli, fryzjer zwierząt domowych, psychoterapeuta, pastor, operator ciężkiego sprzętu [...], rolnik, pisarz, artysta (tych jest bardzo wielu) technik rentgenolog, chirurg drzew, meteorolog, naukowiec, redaktor, księgowy i elektryk”. Ibidem, s. 2016.



na otoczenie i w których „krzewi się nieustępliwość i rywalizacja” – autorka tej rozprawy zalicza do nich m.in. świat biznesu („niewątpliwie nie docenia on działających w nim osób wrażliwych”). W każdym przypadku w grę wchodzi jednak wiele takich uwarunkowań, które muszą być brane pod uwagę i uważnie analizowane w badaniu i ocenianiu funkcjonowania osób wrażliwych.

Pomocna w tym może być specjalistyczna literatura. Niełatwo jest jednak znaleźć takie opracowania, które w miarę głęboko ujmowałyby oraz wyjaśniały problem wrażliwości i drażliwości uczonych. Dużo łatwiej jest znaleźć takie, w których przedstawiany jest on w szerszym kontekście. Ma to jednak również swoją wartość poznawczą. Przykładem może być rozprawa Arnolda Berleanta pt. *Wrażliwość i zmysły*, stanowiąca zbiór esejów, dla których wspólnym problemem jest wrażliwość na piękno. W sposobie jego rozwiązywania i przedstawiania jej autor stara się łączyć filozoficzny punkt widzenia z „biologicznym, materialnym, społecznym, historycznym i kulturowym”<sup>3</sup>. To łączenie tak różnych punktów widzenia sprawia, że mocno zróżnicowana jest również „materia”, z której „tkana” jest ta wizja wrażliwości estetycznej. Przywoływana w niej jest bowiem zarówno myśl starożytnej Grecji, w tym stanowiąca jej najwcześniejszą fazę spekulacja mityczno-filozoficzna, jak i myśl znacznie późniejsza, w tym stosunkowo młoda, taka jak myśl filozoficzna Johna Deweya, Maurice’a Merleau-Ponty’ego czy Jean-François Lyotarda (wymienionych tutaj filozofów łączyć ma próba „uwolnienia filozoficznego badania z ucisku metafizycznego dualizmu”). Przywołania te prowadzą autora tej rozprawy m.in. do sformułowania „dwóch metakognitywnych wymagań. Pierwsze z nich sprowadza się do identyfikacji rodzajów i różnorodności konstrukcji poznawczych, które pojawiły się w różnych czasach i w różnych miejscach. Drugie wiąże się z użyciem doświadczenia percepcyjnego, zwłaszcza doświadczenia estetycznego, aby można było je krytycznie rozpatrywać”<sup>4</sup>. Dla potrzeb tych osób, które nie mają ani skłonności, ani też specjalnego zaufania do

<sup>3</sup> Zdaniem autora tej rozprawy: „funkcjonują one w kontekście spraw estetycznych, które nadają im żywotność i ukierunkowanie, nie tracąc z pola widzenia ich znaczenia i możliwości zastosowania”. Ponadto praca ta „jest ważną i zarazem osobistą estetyczną deklaracją” wiary w to, że „przypisanie estetyczności centralnego znaczenia w ludzkim doświadczeniu” może się przyczynić do lepszego zrozumienia „świata ludzkich zdarzeń i działań”. A. Berleant, *Wrażliwość i zmysły. Estetyczna przemiana świata człowieka*, Universitas, Kraków 2011, s. 11 nn.

<sup>4</sup> „Pierwsze jest silnie wspierane przez etnologów, lingwistów, socjologów, geografów kulturowych i różnych krytyków kultury, którzy opisują i wyjaśniają takie

myślenia filozoficznego, autor tej rozprawy przywołuje i konkretyzuje nie myślenie, lecz doświadczanie estetyczności – takie m.in., które jest „czerpane z czysto zmysłowej przyjemności związanej ze spoglądaniem na samotny *trójlist*, kwitnący wiosną pośród leśnych, przykrytych liśćmi rumowisk skalnych”<sup>5</sup>. Tutaj również można znaleźć miejsce dla konkretnych specjalistów „od” oraz ich wrażliwości „na”, ale – podobnie jak w przypadku rozprawy Aron – nie jest ono wskazane jednoznacznie.

Można oczywiście uzupełnić te rozważania, odwołując się do tych uczonych, którzy w swoim życiu mieli artystyczne doświadczenia lub przynajmniej podejmowali próby opanowania którejs z sztuk. Przykładem może być Albert Einstein, który już jako znany i uznany uczoney próbował opanować sztukę gry na skrzypcach; a to, że nie osiągnął w tym zakresie oszałamiających sukcesów, nie oznacza całkowitego braku u niego wrażliwości na piękno. Co więcej, przykład ten może być interesującym przyczynkiem do dyskusji, jak ogromnie zróżnicowana i różnie zorientowana może być ta wrażliwość. Nie ulega bowiem wątpliwości, że u tego wybitnego uczonego była ona zorientowana na to piękno, którym oznaczają się teorie naukowe – w szczególności te, które są formułowane przez matematyków i które mogą stanowić i niejednokrotnie stanowiły swoisty wzorzec dla ich formułowania w innych dyscyplinach<sup>6</sup>. W historii nauki można również znaleźć przykłady takich stanowisk, w świetle których wrażliwość na piękno teorii naukowych uznaje się za istotne kryterium ich wyboru. Przykładem może być wybitny matematyk i filozof francuski Henri Poincaré. Przypomnę, że w swoich rozważaniach nad wartością nauki starał się on pokazać i wykazać, że w tych najbardziej rozwiniętych teoretycznie dyscyplinach – takich jak matematyka, astronomia i fizyka teoretyczna – ci, którzy je uprawiają, opowiadają się niejednokrotnie za

---

przekonania z politycznych, historycznych, społecznych, filozoficznych i literackich punktów widzenia”. Ibidem, s. 73.

<sup>5</sup> „Doświadczenie estetyczne może odsyłać do uczucia uniesienia i zdumienia, kiedy zachwycamy się każdym niepowtarzalnym pasmem chmur na niebie [...]. Ktoś inny mógłby umieścić tu tajemnicze spotkanie z Rembrandtem z jednego spośród późnych autoportretów lub dreszcz zachwyty wywołany dramatyczną sekwencją złamanych oktaw w solo skrzypcowym z pierwszej części koncertu Brahmsa”. Ibidem, s. 50.

<sup>6</sup> Byli jednak tacy matematycy, którzy mieli większą od Einsteina wrażliwość na piękno teorii. Jego biografowie przypominają, że „w roku 1908 były nauczyciel Einsteina Hermann Minkowski nadał teorii względności bardziej elegancką postać matematyczną, w której czas i przestrzeń tworzą nierozzerwalną całość, zwaną czasoprzestrzenią”. R. Highfield, P. Carter, *Prywatne życie Alberta Einsteina*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1995, s. 193 nn.

przyjęciem jednych teorii i odrzuceniem innych, kierując się tym, że te pierwsze wydają się im piękniejsze niż te drugie<sup>7</sup>. To ujęcie problemu wrażliwości uczonego stanowi integralną część filozofii nauki, nazywanej konwencjonalizmem scjentyzycznym.

Zbliżone do niego są te ujęcia, których autorzy poszukują cech charakterystycznych dla wrażliwości i drażliwości uczonych w ich praktycznych działaniach. Można je znaleźć m.in. na kartach rozprawy Janusza Goćkowskiego pt. *Ethos nauki i rola uczonych*. Jej autor proponuje spojrzeć na środowisko uczonych jako na swoisty „teatr życia kulturalnego”, którego główni aktorzy wyposażeni są a) „w odpowiednie kompetencje merytoryczne” i b) „postępują wedle wybranych i uznanych opcji o charakterze aksjologicznym i epistemologicznym”. Odwołania do wrażliwości uczonych można znaleźć w każdej z pięciu części tej rozprawy. Występuje ona jednak w istotnie różniących się kontekstach – począwszy od jej kontekstu życiowego, poprzez konteksty praktyki naukowej, „wykorzeniania się” ludzi nauki i ich deprawowania (do patologii włącznie), aż do jej aspektu terapeutycznego i „przywracania normalności w życiu naukowym”. Tak szeroka i zróżnicowana perspektywa sprawia, że wrażliwość raz przedstawiana jest jako cecha osobnicza, natomiast innym razem jako cecha wspólna tej grupy osób, których nazywa się ludźmi nauki. Tym, co ich łączy, jest m.in. wrażliwość na prawdę. Autor tej rozprawy już w jej części wprowadzającej stwierdza, że „ethos nauki jest ethosem uczonych właściwie uprawiających grę o prawdę naukową”<sup>8</sup>.

Trudniej jest znaleźć w przywoływanych tutaj rozprawach odwołania do drażliwości uczonych – być może dlatego, że traktowana jest ona jako coś takiego, co wprawdzie im się przydarza, ale nie jest to powód do chwały. Kwestia ta pojawia się jednak w szerszym kontekście. W *Wartości nauki* Poincarégo występuje ona m.in. w tym miejscu, w którym się mówi o tak fundamentalnej kwestii, jaką jest stanowienie przez uczonych zasad i praw nauki, tj. tego, co w najbardziej zaawansowanych teoretycznie naukach stanowi i stanowić powinno nadrzędny cel ich intelektualnych zmagania. Nazywane są one przez niego „dekretami naukowymi” i traktowane jako

<sup>7</sup> H. Poincaré, *Wartość nauki*, Warszawa 1908. Szerzej w tej kwestii por. Z. Drodzowicz, *O racjonalności w filozofii nowożytnej. Wykłady*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2008, s. 129 nn.

<sup>8</sup> „W grze tej chodzi o wiedzę coraz lepszą pod względem walorów przedstawienia i objaśnienia rzeczywistości. Uczestnicy gry powinni tedy pojmować wszelkie teorie i metody jako instrumenty w grze”. J. Goćkowski, *Ethos nauki i role uczonych*, Wydawnictwo i Drukarnia Secesja, Kraków 1996, s. 19 i in.

wynik swoistego porozumienia kompetentnego grona osób uprawiających te nauki. Trudno jest sobie wyobrazić dojscie do takiego porozumienia w sytuacji, gdyby osoby te nie przejęły kontroli nad swoją drażliwością i nie skierowały jej przeciwko tym, którzy ani nie posiadają odpowiednich kompetencji, ani nawet nie za bardzo się orientują, jakiego rodzaju kompetencje są potrzebne, aby być uczestnikiem tego, co Goćkowski nazywa „teatrem życia kulturalnego”. W rozważaniach tego ostatniego można zresztą również znaleźć szereg takich miejsc, w których wskazuje się, w jakich sytuacjach i przeciwko komu i czemu uczony ma nie tylko prawo, ale i obowiązek wyrażać zarówno swoją wrażliwość, jak i drażliwość. Krótko rzecz ujmując, można powiedzieć, że ta ostatnia znajduje swoje uzasadnienie i usprawiedliwienie wówczas, gdy ma on poczucie zagrożenia realizacji takiego swojego powołania, jakim jest dążenie do prawdy. Jednak okoliczności, w których takie zagrożenie się pojawia, jest wiele i są one dosyć mocno zróżnicowane – żeby tylko tytułem przykładu wymienić takie zagrożenia, jak „indoktrynacja i manipulacja wiodące ku demoralizacji profesjonalnej”, „wykorzenienia ludzi nauki” i rozpad tych wartości, bez których nauka przestaje być nauką i staje się podporządkowaną bieżącym interesom politycznym ideologią<sup>9</sup>. W literaturze można również znaleźć takie opisy drażliwości uczonych, które pod jednym względem zasmucają, ale pod innym rozbawiają. Przykładem może być opisywany przez Pierre’a Bourdieu ten *Homo Academicus*, którego wrażliwość można porównać do wrażliwości zakochanego bez pamięci młodzieńca, a drażliwość do drażliwości kochanka odtrąconego<sup>10</sup>.

## 2. Studium przypadków

To studium przypadków – podobnie zresztą jak każde inne – nie może oczywiście mieć mocy rozstrzygającej o znaczeniu w życiu uczonych wrażliwości i drażliwości. Mam jednak nadzieję, że nie tylko ukazuje ono złożoność problemu, ale także można w nim znaleźć jakieś wskazówki dotyczące

<sup>9</sup> Goćkowski analizuje to m.in. na przykładzie „zachowania się uczonych polskich w warunkach ustroju realnego leninizmu. Por. *ibidem*, s. 267 nn.

<sup>10</sup> W wyniku sprzeczki ze swoją dziewczyną ów młodzieniec zwraca się do dyrektora zoo z prośbą, aby umieścił go w klatce obok szympanów i napisał na tabliczce: „Prosi się zwiedzających o niedrażnienie osobnika krytycznymi uwagami”. P. Bourdieu, *Homo Academicus*, Les Editions de Manuit, Paris 2000, s. 289 nn.

sposobów jego rozwiązywania. W każdym razie nie są w nim przywoływane postacie przypadkowe. Każda z nich bowiem zarówno sama zapisała ważne karty w historii nauki, jak też dostarczyła istotnych inspiracji do ich zapisania innym. Jedną z nich jest Mikołaj Kopernik (1473-1543). Mówi się o nim, że „wstrzymał Słońce i ruszył Ziemię” (rzecz jasna, przenośnie). Jego opublikowane w 1542 r. w Norymberdze dzieło pt. *De revolutionibus orbium coelestium (O obrotach sfer niebieskich)* stanowiło (już bez żadnej przenośni) prawdziwą rewolucję w myśleniu o tym układzie planetarnym, w którym znajduje się m.in. Ziemia. Było ono – jak to niejednokrotnie bywa z tego rodzaju nowatorskimi poglądami – przez jednych podziwiane, ale przez innych krytykowane i surowo oceniane. Tych pierwszych początkowo było stosunkowo niewiele, natomiast tych drugich nie tylko wielu, ale także zajmowali oni niejednokrotnie eksponowane miejsca w ówczesnym systemie wiedzy i wiary. Kopernik dedykował je papieżowi Pawłowi III, jednak to właśnie w środowiskach kościelnych wzbudzało ono najpoważniejsze zastrzeżenia i w końcu (w 1616 r.) trafiło na kościelny *Indeks Ksiąg Zakazanych* (znajdował się na nim aż do roku 1835). Krytykowali je zarówno teolodzy katoliccy, jak i protestancy, w tym Luter, który uznał, że „wywraca ono astronomię do góry nogami”, a nawet takie ówczesne autorytety naukowe, jak Tycho Brahe<sup>11</sup>. Wśród tych, którzy je podziwiali i uznawali trafność przedstawionej w nim teorii heliocentrycznej, znajdowali się jednak również dużej miary uczeni. Jednym z nich był Galileusz (wł. Galileo Galilei, 1564-1642). W swoich *Dialogach o dwu najważniejszych układach świata: Ptolemeuszowym i Kopernikowym* napisał, że wprawia go „w nieopisany zachwyt i zdumienie wzniosłość tych umysłów, które poglądy te [kopernikańskie – Z.D.] przyjęły i uznały za prawdę, przewyżczając świadectwo własnych zmysłów i doświadczenia bystrością rozumu i dali pierwszeństwo temu, co dyktował rozum”<sup>12</sup>. Odpowiedź na pytanie, jakiego rodzaju wrażliwość kryje się za tym obrazem układu świata jest wprawdzie dyskusyjna, niemniej poza dyskusją jest fakt, że ani u Kopernika, ani też u podziwiającego jego dzieło Galileusza nie ma ona wiele wspólnego z tą, która jest charakterystyczna dla matematyków<sup>13</sup>. Dyskusyjną natomiast kwestią jest

<sup>11</sup> Szerzej w tej kwestii zob. M. Kokowski, *Różne oblicza Mikołaja Kopernika. Spotkania z historią interpretacji*, Instytut Historii Nauki PAN, Warszawa – Kraków 2009.

<sup>12</sup> G. Galilei, *Dialog o dwu najważniejszych układach świata: Ptolemeuszowym i Kopernikowym*, PWN, Warszawa 1962, s. 353 i in.

<sup>13</sup> „Kopernik stworzył system matematyczny przynajmniej tak dokładny jak system Ptolemeusza i posiadający podobnie jak ten ostatni matematyczne zalety i wady.

to, czy ma ona wiele wspólnego ze spoglądaniem w niebo i pozostawianiem pod wrażeniem znajdujących się tam gwiazd. Wprawdzie na obrazie Matejki Kopernik spogląda w niebo, ale nie jest on nawet wyposażony w lunetę (została ona skonstruowana przez Galileusza dopiero w 1609 r.). Zresztą gdyby nawet ją posiadał, to nie dawałaby mu ona możliwości dostrzeżenia tego, że Ziemia krąży wokół Słońca, a nie odwrotnie. Te akcesoria, które pojawiają się na tym obrazie, należą jednak do wyposażenia zarówno astronoma, jak i matematyka (rzecz jasna, takiego, który nie ogranicza się do podstawowych działań na liczbach).

Wprawdzie na temat życia i działalności Kopernika napisano już wiele, to jednak z niewielu opracowań można się dowiedzieć o jego drażliwości. Jeśli już pokusić się w tej kwestii o jakieś uogólnienie, to – używając określenia Janusza Szpotańskiego – należałoby go zaliczyć raczej to „cichych” niż do „gęgaczy”, przynajmniej jeśli chodzi o jego postawę w nauce. Przemawia za tym m.in. fakt, że długo zwlekał z wydaniem swojego epokowego dzieła<sup>14</sup>. W innych kwestiach – takich jak psucie pieniędzy czy zabieganie przez niego o godziwą płacę za dobrą pracę – można go jednak zaliczyć do „gęgaczy”; trzymającego się jednak takich standardów owego „gęgania” (krytykowania postępowania innych), które mieściły się w możliwych do zaakceptowania zachowaniach osoby duchownej i – co niemniej istotne – liczącej się z opinią swoich kościelnych przełożonych.

Takich „gęgaczy” (osób, które wprawdzie w jednej kwestii są „za”, ale w wielu innych „przeciw”) jednak nie brakowało i nie brakuje w nauce – nawet tej XVI-wiecznej. Jednym z nich był wspomniany tutaj Galileusz. Do historii nauki przeszedł nie tylko jego długotrwały proces przed trybunałem rzymskiej inkwizycji (zaczął się on w 1614 r., a zakończył w 1633 potępieniem stanowiska kopernikańskiego i upokorzeniem Galileusza), ale także

---

Teoretycznie i jakościowo był on niewątpliwie prostszy, ponieważ mógł dać jednolite wyjaśnienie wielu rozmaitych właściwości ruchu planet, który system Ptolemeusza tłumaczył w sposób dowolny i nieuporządkowany”. A.C. Crombie, *Nauka średniowieczna i początki nauki nowożytnej*, t. II, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1960, s. 219 nn.

<sup>14</sup> Jerzy Sikorski w swojej monografii twierdzi, że fakt, iż dzieło Kopernika „przeleżało niemal cztery dziesięciolecia w ukryciu” świadczy nie tylko o jego obawie przed reperkusjami ze strony Kościoła („oba zwalczające się Kościoły – katolicki i luteranski – mogłyby go w zupełnej zgodzie ze sobą powiesić na grubej gałęzi za to, że w swoim myśleniu sprzeniewierzył się Pismu św.”), ale także o jego realizmie. Nieco dalej autor ten przywołuje ten fragment jego pisma do papieża, w którym stara się wyjaśnić dlaczego „wbrew przyjętemu zdaniu matematyków i niemal wbrew powszechnemu przekonaniu miał odwagę wyobrazić sobie jakiś ruch Ziemi”. J. Sikorski, *Prywatne życie Mikołaja Kopernika*, Pracownia Wydawnicza Elset, Olsztyn 2011, s. 268 nn.



jego przekorne stwierdzenie: „a jednak się porusza”; miał je wypowiedzieć zaraz po tym, jak „przysiąg i zobowiązał się uznawać poglądy kopernikańskie za fałszywe, błędne i heretyckie” oraz obiecał, że w „przyszłości nigdy nie będzie ich głosił ani słowem, ani na piśmie”<sup>15</sup>. Owe przekorne słowa miał jednak wypowiedzieć szeptem i wiele wskazuje na to, że są niestety tylko legendą (pojawiły się one po raz pierwszy na pośmiertnym portrecie tego uczonego). Nie są jednak legendą te jego nader liczne i – co tutaj mówić – idące „pod wiatr” krytyczne i gniewne słowa na temat ówczesnych autorytetów naukowych i wyznaniowych. Są one świadectwem zarówno jego wrażliwości na te prawdy, do których dochodzi się własnym rozumem, jak i drażliwości na punkcie prawa uczonego zarówno do ich osiągnięcia, jak i obrony przed tymi, którzy albo nie posługują się własnym rozumem, albo też nie posługują się nim tak, jak należy. Pojawiają się one na kartach jego *Dialogu* – m.in. w tych fragmentach tego dzieła, w których jeden z uczestników tego dialogu – Salviatoti (reprezentujący stanowisko Galileusza) przekonuje swojego adwersarza – Simplicia (reprezentującego tradycyjne poglądy w kwestii Nieba, Słońca i Ziemi), że się myli. Posługuje się on przy tym czasami dowcipem, a czasami niepozabawioną złośliwością sugestią, że jednak z umysłem i inteligencją jego adwersarza nie wszystko jest tak, jak być powinno lub wręcz, że brakuje mu rozumu tam, gdzie jest on absolutnie niezbędny, aby móc się trafnie wypowiadać w kwestiach naukowych<sup>16</sup>. Świadectwa wrażliwości i drażliwości tego uczonego znaleźć można również w jego korespondencji, m.in. w jego napisanym w 1615 r. *Liście do pani Krystyny Lotaryńskiej*, w którym swoich oponentów nazywa nieukami, natomiast o Piśmie św. pisze, że „nie zawiera żadnej teorii fizykalnej, lecz objawia nam nasze ostateczne cele moralne”, zaś „dosłowna interpretacja tych miejsc, w których mówi się o Słońcu i Ziemi jest „sprzeczna zarówno z rozumem, jak i z tradycją interpretacji” tego pisma<sup>17</sup>. Jednak nawet te

<sup>15</sup> „Potem, jakby pragnąc dodatkowo przypodobać się słuchaczom, zaproponował, że będzie bronił starego systemu przed nową nauką. »Jeśli pozna jakiegoś heretyka lub podejrzanego o herezję, doniesie o tym Świętemu Oficjum«. Położył dłonie na Piśmie Świętym. »Jeślibym zaś – oby Bóg mnie przed tym uchronił! – wykroczył przeciwko któremuś z tych przyrzeczeń, wówczas poddam się wszelkim karom i kaźniom, jakie nakazują święte kanony«”. J. Reston Jr., *Galileusz*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998, s. 336 i in.

<sup>16</sup> „Książka ta – czasem ostra, czasem zaskakująco dyplomatyczna, czasem prorocza i pomysłowa, ludzka i przyjemna, śmiała i niestaranna – stanowi doskonałe odbicie osobowości autora”. Ibidem, s. 279.

<sup>17</sup> Por. A.C. Crombie, *Nauka średniowieczna...*, s. 247 nn.



jego uwagi mieszczą się w ówczesnych standardach krytyki naukowej i były do zaakceptowania przez ówczesne środowiska akademickie i dworskie<sup>18</sup>.

Interesującym przyczynkiem do dyskusji nad temat wrażliwości i drażliwości uczonych może być również życie i działalność Izaaka Newtona. Również na jego temat powiedziano i napisano wiele – zarówno pozytywów, jak i negatywów. Jedno jest pewne, był naukowym geniuszem i – jak zresztą niejeden geniusz – postacią trudną do jednoznacznego przedstawienia; mimo iż zachowało się sporo świadectw jego osobowości oraz związanej z nią wrażliwości i drażliwości. Można jednak powiedzieć o nim z pełnym przekonaniem, że nie tylko zapisał ważne karty w historii nauki, ale także, iż temu zapisywaniu towarzyszyła spora wrażliwość i drażliwość. Ta ostatnia zresztą wraz z wiekiem coraz bardziej się uwidoczniła i wyrażała w tych formach, których uczeni raczej powinni unikać; jednak w końcu to takie ludzkie, że nie możemy znieść swoich konkurentów i oponentów. Przede wszystkim jednak trzeba odnotować, że był wrażliwy nie tylko na to, co można było zobaczyć lub odczuć w bezpośrednich kontaktach ze światem przyrody (że przypomnę tylko owo legendarne jabłko, które spadając mu na głowę, uświadomiło mu działanie sił grawitacji), ale także na to, co bezpośrednio wiąże się myśleniem matematycznym (jego opublikowane w 1687 r. fundamentalne dzieło nosi tytuł *Philosophiae naturalis principia mathematica* – *Matematyczne zasady filozofii naturalnej*) oraz co można sformułować, posługując się zasadami tej nauki. Okazało się bowiem, że można za ich pomocą sformułować nie tylko prawo powszechnego ciężenia, ale także rachunek różniczkowy i całkowy oraz posłużyć się nimi przy opisie świata fizycznego. Niemniej wrażliwy był Newton na to, co jest tak ważne dla każdego głęboko wierzącego człowieka, tj. wiary w tego Boga, który może i być może zechce pochylić się nad naszym losem i otworzy przed nami bramy do tego świata, który pod wieloma względami różni się od tego wszystkiego, co mamy tutaj i teraz na Ziemi. Jego biografowie zgodnie podkreślają, że od dziecka był osobą głęboko wierzącą, a wraz z upływem lat jego religijna wiara jeszcze się pogłębiała i wyrażała w takich formach, które skłaniały jednych jej obserwatorów do żartów (napisano nawet komedię, w której są one wyśmiewane), natomiast innych do pytania, czy z jego umysłem na pewno wszystko jest tak jak być powinno. Jego

<sup>18</sup> Zdaniem cytowanego wyżej autora, „Galileusz pisał językiem bezkompromisowego naukowego realizmu. Był zwolennikiem świata niezmiennych praw, istniejących niezależnie od poznania ludzkiego, prawdziwego świata, którego odkrycie jest zadaniem nauki, niewątpliwie w drodze subtelnego rozumowania teoretycznego, ale niemniej jednak pewnego”. Ibidem, s. 253.

samego natomiast inspirowało do badań zarówno tego świata (doczesnego), jak i tamtego (nadprzyrodzonego) oraz analizowania świadectw ich wielkości i złożoności<sup>19</sup>. Rzecz jasna, dużo jeszcze więcej można powiedzieć o wrażliwości Newtona.

Sporo można również powiedzieć o jego pozostającej w związku z nią drażliwości. Niemało uwagi poświęcił jej zresztą autor przywoływanej tutaj biografii Newtona. Nie wszystkie one mają bezpośredni związek z jego funkcjonowaniem jako uczonego (profesora w Trinity College i członka Royal Society – Towarzystwa Królewskiego, stanowiącego angielską Akademię Nauk). Kilka z nich ma jednak swoją głębszą wymowę i skłania do refleksji. Do historii przeszły m.in. te świadectwa jego drażliwości, które pokazują, że ten dużego formatu uczoney nie potrafił wznieść się ponad zwyczajne ludzkie małości. Związane są one m.in. ze sprawą jego wieloletniego sporu z Robertem Hooke, uczonym również sporej miary i rywalem do palmy pierwszeństwa w ówczesnej fizyce, astronomii i matematyce<sup>20</sup>. W nauce można oczywiście się różnić w niejednej ważnej kwestii i to różnić – jak się czasami mówi – pięknie. O to ostatnie nie było i nie jest jednak łatwo – nawet takim uczonym, jak Hooke i Newton. Bo

<sup>19</sup> Jego biograf Frank E. Manuel pisze, że „w ciągu trzydziestu lat wyjątkowej działalności intelektualnej w Cambridge, w okresie z niczym nieporównywalnego wysiłku, dodawała Newtonowi sił świadomość bezpośredniego, przez nikogo nie zapośredniczonego, osobistego kontaktu z Bogiem, jego Ojca. To dla jego chwały nieprzerwanie się trudził, a jedyną rozrywką było mu przechodzenie od jednego zagadnienia do drugiego. [...] W potajemnych rozważaniach teologicznych rozpatrywał drażliwe problemy dotyczące Trójcy Świętej – badał każdy, w dowolnym języku, biblijny rękopis na temat świętości Chrystusa, który wpadł mu w rękę. [...] Nic tak mocno jak jego namiętne wyznanie religijne w *The General Scholium* nie poświadcza faktu, że Newton utożsamiał Boga z ojcem, wobec którego miał obowiązek posłuszeństwa, i którego woli miał się poddawać, a jego wyroki akceptować”. F.E. Manuel, *Portret Izaaka Newtona*, Prószyński i Sk-a, Warszawa 1998, s. 130 nn. W dalszej części tej biografii jej autor pisze, że „potajemny rękopis *O Ziemi* [...] wskazuje dobitnie, w jak harmonijny sposób Newton czytał Pismo Święte i księgę natury, będące dlań źródłem wiedzy o Bogu i Jego dziele. Ibidem, s. 388.

<sup>20</sup> „Newton i Hooke reprezentowali dwa niezgodne ze sobą style uprawiania nauki. Aczkolwiek żaden z nich nie poświęcił całego życia jednej dziedzinie, rozległość ich zainteresowań służyła różnym celom. Hooke [...] nastawiony był na liczne, szybkie i łatwe podboje; Newton, zafascynowany jakąś kwestią, drażył ją niezmordowanie, dopóki nie wy dobył z niej tajemnicy [...]. Z pięciu czy sześciu badań, które przeprowadził, wychodził za każdym razem zwycięsko; niepowodzenie przyniosła mu tylko alchemia. Hooke odniósł wiele łatwych zwycięstw, do których należą jego wynalazki i tak zwane prawa Hooke (prawa teorii sprężystości)”. Ibidem, s. 147.

czy jest rzeczą piękną besztanie publiczne (na posiedzeniu Towarzystwa Królewskiego) przez Hooke'a swojego adwersarza („co ten odbierał jako karę i upokorzenie”) i odpłacanie mu tym samym przez Newtona (oskarżał on go o plagiat i mówił z pogardą o jego kwalifikacjach matematycznych). Czy jest nią wpadanie w złość na sam dźwięk nazwiska oponenta (w takiej sytuacji Newton „gotów był na każdy, najbardziej nawet nierozważny krok, by zranić przeciwnika”)? Czy w końcu piękne jest to, że nie można znieść obecności swojego oponenta w Towarzystwie Naukowym i kiedy zyskuje się nad nim przewagę, pozbawia się go w nim znaczącej roli?<sup>21</sup> Są to pytania retoryczne. Powinny jednak być stawiane, i to nie tylko dla przypomnienia niezbyt chlubnych kart z przeszłości, ale także dla pokazania, że również w teraźniejszości z zachowaniem uczonych nie zawsze jest tak, jak być powinno.

### 3. Kilka ogólniejszych uwag

Na początek uwaga związana z pytaniami: mówić czy też nie mówić o wrażliwości i drażliwości uczonych oraz jak o nich mówić i przy jakich okazjach? Zapewne niejednen z uczonych skłonny byłby się opowiadać za tym, aby raczej mówić o pierwszej z nich niż o drugiej i to mówić tak, aby wychodziło na to, że jego wrażliwość jeśli nawet nie stawia go wyżej od tzw. zwykłych śmiertelników, to ma taki charakter, że nie jest i być nie może udziałem każdego. Jest to jednak pierwszy krok w kierunku kreowania wizerunku różnego rodzaju świętych; a przecież uczeni nie byli, nie są i raczej nigdy nie będą takimi świętymi, do których modlą się wierzący w ich nadprzyrodzone moce. W każdym razie niewiele na to wskazuje, aby takie moce posiadali. Rzecz jasna, nie przeszkadza to różnego rodzaju hagiografom w kreśleniu takiego ich wizerunku uczonych, że wychodzi na to, iż wszystko lub prawie wszystko to, co robili, robili dobrze i wszystko to, co mówili, mówili mądrze. Należałoby jednak również unikać drugiej skrajności i przedstawiać wyłącznie lub głównie „ciemną” stronę ich wrażli-

<sup>21</sup> „Na czele Royal Society nie było miejsca jednocześnie i dla Hooke i dla Newtona. Niczym w stadzie zwierząt, tylko jeden mógł być przywódcą. W królestwie, w którym niepodzielnie panował dotąd Hooke, Newton był intruzem, a w miarę jak wschodziła jego gwiazda, Hooke tracił władzę i obniżał się jego status. Walczył więc o swoją pozycję, pomniejszając zasługi intruza, nieustannie oskarżając go o plagiaty; bronił zawzięcie swego stanowiska aż do śmierci w 1703 roku. Dopiero wówczas Newton mógł zostać prezesem Royal Society i niekwestionowanym przywódcą stada”. Ibidem, s. 170 nn.

wości i drażliwości lub tak eksponować negatywne strony ich osobowości, że traci na znaczeniu to, co faktycznie zrobili i mówili dobrze i mądrze. Takie przedstawianie uczonych jest jednym ze sposobów strącania ich z pomników lub też – co w gruncie rzeczy na to samo wychodzi – takiego „hejtowania”, że odechciewa się żyć. Tym, którzy realizują tego rodzaju scenariusze, chciałbym zadedykować słowa wielkiego filozofa Georga Wilhelma Friedricha Hegla (dopasowując je jednak do potrzeb tej narracji): patrząc z pozycji kamerdynera nie ma i być nie może takich wielkości, które zasługiwałyby na uznanie i szacunek otoczenia – ów przysłowiowy kamerdynier może bowiem powiedzieć niejedno na temat różnego rodzaju słabości i słabostek swojego pracodawcy; a to, że nie chce lub nie jest w stanie dostrzec i zrozumieć jego autentycznych wielkości, ma już mniejsze znaczenie dla tych, którzy gustują w tego rodzaju plotkarskich doniesieniach. Moim zdaniem żadna z przywoływanych przeze mnie relacji na temat życia i działalności wybranych uczonych nie wpisuje się ani w hagiograficzny, ani też w plotkarski scenariusz. Żadna z nich nie narusza też tych standardów narracyjnych, które obowiązują w środowisku akademickim. Mam nadzieję, że użyte przeze mnie określenia są również do zaakceptowania przez to środowisko i nikt się specjalnie nie obrazi, jeśli dostrzeże w tych uwagach i sugestiach jakieś podobieństwo do swojej osoby.

Kolejne uwagi i sugestie związana są z pytaniem: w jaki sposób rozpoznawać wrażliwość i drażliwość uczonych? W pierwszej części swoich rozważań przywołałem kilka przykładowych sposobów ich ujmowania i przedstawiania. Do każdego z nich można jednak zgłosić jakieś „ale”. Ten sposób ich rozpoznawania, który proponuje i stosuje w swojej praktyce Elaine N. Aron, jest obarczony – jak sama przyznaje autorka tej książki – „tendencyjnością psychologii”. Oznacza to m.in., że wiele tutaj zależy nie tylko od stosowanych w tej dyscyplinie metod badawczych, ale także od doboru tzw. próby badawczej. Jakoś trudno jest mi sobie wyobrazić, aby znaczące w nauce osoby dały się namówić na typowo psychologiczne testowanie ich osobowości, a jeśli już, to zapewne dążyłyby do uzyskania takiego wyniku, który by je przedstawiał w możliwie najlepszym świetle i – co niemniej istotne – w niejednym przypadku taki „świetlany” obraz potrafiliby wykreować. Obarczone sporym błędem są jednak również te sposoby badania wrażliwości i drażliwości uczonych, które są oparte na tym, co na ten temat napisali inni. Spora część takich przekazów pochodzi bowiem z tzw. drugiej ręki i niejednokrotnie skrojona jest na miarę potrzeb i wyobrażeń piszących, a niekiedy również ich „pobożnych” życzeń.

Różnego rodzaju „ale” można również zgłosić do tych relacji, które są wynikiem tzw. obserwacji uczestniczącej. Jej przykładem może być przywołana w tych rozważaniach relacja Jamesa D. Watsona. To, że nie „grzeszy” ona nadmiernym obiektywizmem, przyznaje sam autor *Podwójnej helisy*. Jestem jednak przekonany, że zmartwiłby się on dopiero wówczas, gdyby ktoś mu wykazał, że jego charakterystyki tych osób, które pojawiają się na kartach jego książki, nie tylko pozbawione są całkowicie obiektywizmu, ale także nie mają w sobie niczego zabawnego. Rzecz jasna, każda z tych osób opowiedziałaby historię tego znaczącego w nauce odkrycia inaczej i zapewne przedstawiłaby siebie i swój udział w nim inaczej i być może zdobyłaby się nawet na jakąś autoironie (wątpię jednak, czy byłby do niej zdolny tak często przywoływany w tej książce Francis Crick). Jaka wynika z tego ogólna sugestia? Taka, że w tak zróżnicowanej i różnicującej się „materii”, jaką stanowi wrażliwość i drażliwość uczonych, warto jej się przyjrzeć z różnych stron oraz próbować ją opisywać oraz wyjaśniać, korzystając z różnych metod poznawczych i porównywać swoje własne spostrzeżenia i doświadczenia w tym zakresie z tymi, które były udziałem wielu innych osób. Rzecz jasna, może się na końcu okazać, że uczeni pod jednymi względami są wyjątkowi, ale pod wieloma innymi typowi lub przynajmniej specjalnie nieróżniący się od tych, którzy niewiele wspólnego mają z nauką. Nie będzie to jednak żadnym wielkim odkryciem.

Moje wieloletnie funkcjonowanie w środowisku akademickim skłania mnie do wniosku, że niejedna z przebywających w nim osób skłonna jest traktować siebie jako kogoś pod wieloma względami wyjątkowego – i czasami pod niektórymi względami (ale tylko pod niektórymi) jest wyjątkowa. Jednak nawet w przypadku takich osób dobrze jest znać swoją miarę i nie wywyższać się ponad nią, bo łatwo można popaść w samouwielbienie i znaleźć się w gronie tych, którzy wprawdzie jeszcze niczego wielkiego w swoim życiu zawodowym nie osiągnęli, ale myślą i mówią o sobie w taki sposób, jakby się znajdowali na krótkiej liście kandydatów do Nagrody Nobla; a ci, którzy powątpiewają w ich wielkość, wywołują jedynie ich rozdrażnienie lub nawet frustrację. Nie jest jednak żadną regułą to, że ci, którzy mają stosunkowo najbardziej znaczące osiągnięcia w nauce, mają też skłonność do „noszenia głowy” tak wysoko, że ich wielkość jest w stanie dostrzec każdy – nawet portier wydający im klucze do drzwi ich gabinetu. Znam takich uczonych, którzy nie tylko nie mają tego rodzaju skłonności, ale także niewiele sobie robią z tego, że nawet w ich bliskim otoczeniu są takie osoby, które nie chcą lub nie potrafią ocenić i docenić

ich osiągnięć. Rzecz jasna, każdemu – nawet tym osobom – miło jest usłyszeć, że swoimi dokonaniem wyrastają ponad krajowe podwórko. Jednak bez tego rodzaju miłych gestów i słów można również jakoż żyć i zupełnie dobrze funkcjonować w nauce. Pewnym problem w środowisku akademickim nie jest jednak brak tego rodzaju gestów, lecz zachowania tych osób, które ich się domagają niemal od każdego – mimo że ich dokonania nie są bezdyskusyjne i nie zawsze sytuują się w najważniejszych obszarach działalności akademickiej. Daleki jestem od bagatelizowania osiągnięć w takich obszarach, jak administrowanie i zarządzanie uczelnią. Mają one jednak charakter pomocniczy i w żadnym przypadku nie mogą być stawiane na tym samym poziomie, co osiągnięcia badawcze. Powiedzenie tego wprost lub chociażby tylko aluzyjnie osobom, które stawiają na administrowanie i organizowanie warunków pracy tym, którzy skupiają się głównie na prowadzeniu badań, może wywoływać i niejednokrotnie wywołuje ich rozdrażnienie, a nawet demonstracyjne lekceważenie tych, którzy ośmielili się uchybić ich „wielkościom”. Czasami bywa to zabawne, ale znacznie częściej irytujące dla ich bliższego i dalszego otoczenia.

Jeszcze parę słów o tym, co mnie drażni i irytuje w akademickim życiu i współżyciu. Rzecz jasna, jedne z występujących w nim zjawisk drażnią i irytują mnie bardziej, inne mniej. Do tych pierwszych należą takie wyobrażenia znaczących uczonych, które albo świadczą o ich jakimś życiowym infantylizmie, albo wręcz przeciwnie – o takiej przedsiębiorczości i zaradności w załatwianiu swoich interesów, że mógłby się od nich uczyć niejeden biznesmen. Jedne i drugie funkcjonują nie tylko w środowisku akademickim. Te pierwsze zdają się być nawet popularniejsze w przekonaniach potocznych. W świetle tych wyobrażeń wyrastający ponad umysłową przeciętność uczonego to osoba wprawdzie o pewnej sprawności intelektualnej, ale takiej nieporadności życiowej, że nie potrafi właściwie załatwić spraw swojego codziennego życia i współżycia z innymi. Rzecz jasna, w tym środowisku zdarzają się takie osoby. Co więcej, niektórym z nich żyje się z tym wygodnie, bowiem wiele z ich życiowych spraw załatwiają inni – współmałżonkowie, przyjaciele, podwładni itd. Jednak twierdzenie, że jest to typowy uczonego, nie tylko nie ma wiele wspólnego z akademicką rzeczywistością, ale także zupełnie nie przystaje do tego „modelowego” uczonego, który również funkcjonuje i w tym środowisku i na którego zdaje się być dzisiaj dużo większe zapotrzebowanie niż w przeszłości. Posiada on takie cechy organizatora naukowych przedsięwzięć, które sprawiają, że nie tylko orientuje się w tym, co trzeba i warto badać, ale także jakiego rodzaju są

do tego potrzebni specjaliści, jak pozyskać na te badania środki finansowe, jak je umiejętnie rozdysponować i rozliczyć. Irytujące jest nie to, że takim osobom przypisuje się znaczące role w życiu akademickim, lecz to, że mają to być role wiodące, a także to, że niejednokrotnie przedstawia się takie osoby jako wzorce do naśladowania przez wszystkich innych członków tej społeczności. Dla realizacji tych zadań, które stoją dzisiaj przed nauką, potrzebni są różnego rodzaju wykonawcy. Jeśli jednak zabraknie w tym gronie tych, którzy bezpośrednio zaangażowani są w badania naukowe lub też jeśli przypadnie im rola podwykonawców, to uczelnie przestaną wykonywać swoje podstawowe zadania i staną się – jak to się dzisiaj mówi – „firmami”. Być może nie do końca o to chodzi tym, którzy stoją za obecnymi projektami reformowania polskich uczelni i nauki w Polsce (w każdym razie mam taką nadzieję).

## Postscriptum

Interesującym przyczynkiem do dyskusji nad rozważaniami o wielkich uczonych bez wielkiego namaszczenia i – co się z tym niejednokrotnie łączy – ich drażliwości na punkcie swojej wielkości może być obszerna (licząca ponad 500 stron) biografia Nielsa Bohra napisana przez Abrahama Paisa – wieloletniego współpracownika tego wybitnego fizyka i uczonego, mającego również znaczące osiągnięcia w fizyce cząstek elementarnych. Już w jej części wprowadzającej (zatytułowanej *Duńczyk, na dobre i na złe*) pojawia się zapowiedź takiego mówienia bez namaszczenia. Autor tej biografii stwierdza tam bowiem, że „ludzie, którzy czytali wspomnienia i biografie Bohra, często odnoszą wrażenie, że historia jego życia jest zbyt piękna, aby była prawdziwa”, po czym dodaje, że główny bohater jego narracji wprawdzie „miał wspaniałe życie i był dobrym człowiekiem, który potrafił być szczęśliwy i przysparzał szczęścia innym. Nie sądzę natomiast, aby był aniołem, któremu obce są takie rzeczy, jak walka, ambicja, rozczarowanie i osobista tragedia”<sup>22</sup>. Dalej pojawiają się informacje nie tylko na temat zainteresowań i osiągnięć naukowych Bohra, ale także na temat jego zainteresowań polityką (po 1946 r. „przejmował się problemami polityki międzynarodowej”) oraz skonstruowaniem broni atomowej („uważał, że jej skonstruowanie stworzy wyjątkową okazję do zbudowania otwartego świata i zagwarantowania pokoju”). Na kolejnych kartach tej książki

<sup>22</sup> A. Pais, *Czas Nielsa Bohra*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1991, s. 18 nn.



Bohr jest przedstawiany zarówno jako taki nadzwyczajny człowiek, który „wkładał całą swoją istotę i potrafił skupić swą ogromną moc w małym punkcie”, jak i taki zwyczajny człowiek, który „gdy odczuwał potrzebę przerwania dyskusji, wychodził na dwór i zabierał się do pielienia, co robił w sposób, który trzeba określić jako agresywny”<sup>23</sup>. Miał on również takie słabości, które bezpośrednio przekładały się na jego funkcjonowanie w nauce i w akademickim nauczaniu. Pais pisze, że „Bohr wkładał ogromny wysiłek w kompozycje swoich artykułów. Natomiast fizyczna czynność pisania, z piórem lub kredą w rękę, była mu niemal całkowicie obca. Wolał dyktować. Przy jednej z niewielu okazji, gdy widziałem, jak sam pisał, dokonał on najbardziej godnego aktu kaligrafii jakiego byłem świadkiem [...] – wypisał kilka ogólnych tematów wykładu. Jeden z nich dotyczył harmonii tego czy owego. [...] W toku dalszej dyskusji uznał, że słowo harmonia mu nie odpowiada. Niecierpliwie krążył po pokoju. Nagle zatrzymał się, a jego twarz się rozjaśniła. »Mam!« Musiałem zmienić »harmonię« na »jednolitość«”. Dla laika takie zachowanie może wyglądać na jakieś dziwactwo, a być może nawet tak było odbierane przez niektórych słuchaczy jego wykładów; jednak raczej nie przez tych, którzy potrafili zrozumieć złożoność problemu, a już na pewno nie tych, którzy również znali złożoność osobowości Nielsa Bohra.

Interesujące przyczynki do tej dyskusji na temat mówienia o wielkich uczonych bez wielkiego namaszczenia można znaleźć również w dalszych częściach tej biografii. Tylko tytułem przykładu przywołam ten fragment jej części 7 (zatytułowanej *Bohr jedzie do Anglii*), w którym Pais opisuje jego spotkanie z Josephem Johnem Thomsonem (uczony ten „za swoje odkrycie elektronu otrzymał on w 1906 roku Nagrodę Nobla”). „Bohr wszedł do pokoju Thomsona z jedną z jego książek, otworzył ją na pewnej stronie i powiedział uprzejmie: »Tu jest błąd«. Aby w pełni docenić przebieg tego spotkania, należy pamiętać, że po pierwsze, Bohr był zawsze uprzejmy, a po drugie, w tym czasie bardzo kiepsko mówił po angielsku”<sup>24</sup>. Z części następnej (zatytułowanej *Bohr, ojciec atomu*) można się dowiedzieć nie tylko o początkach uniwersyteckiej pracy tego uczonego w Kopenhadze

<sup>23</sup> „Pewnego dnia pieliał grządki, jak zwykle trzymając fajkę w zębach. W pewnym momencie główka odpadła od cybucha, czego Bohr nie zauważył. [...] Nigdy nie zapomnę ogłupiałej miny Bohra, gdy podsunął rozważnie zapaloną zapałkę do fajki bez główki”. Ibidem, s. 22 nn.

<sup>24</sup> „W późniejszych latach opanował ten język znacznie lepiej, ale na zawsze zachował swój uroczy akcent. [...] Mnie najbardziej się podobało, gdy określił pewną śmiercioność broń »atomic bum« (ang. *bum* – włóczęga, próżniak). Ibidem, s. 124 nn.

(w 1913 r. „został docentem: do jego obowiązków należało uczenie studentów medycyny”) oraz dokonany w tamtym czasie „największym odkryciu jego życia”, ale także o tych cechach jego osobowości, które w późniejszym okresie jedynie się uwybraźniły – krótko rzecz ujmując: „nie powiedziałbym, że Bohr, jakim go znałem, był skromny. Z całą pewnością nie był również nieskromny, lecz zachowywał się jak człowiek obdarzony całkowitą pewnością siebie i poczuciem przeznaczenia, wolnego od pośpiechu, lecz zawsze pochłoniętego, być może kompulsywnie, realizacją tego czy innego projektu”<sup>25</sup>. Te cechy jego charakteru rzutowały bez wątpienia na opisany w części 11 tej książki spór Bohra z Einsteinem. „Do pierwszego sporu naukowego między nimi doszło w 1924 roku [...] chodziło w nim o różnicę zdań na temat realności kwantów światła”. Zdaniem autora tej biografii, już w 1920 r. Niels Bohr „nie wierzył w kwanty światła”. Rzecz jasna, wierzył w nie Albert Einstein – jednak „nie wymagał przekonywania, że dla jego kwantów światła brakuje miejsca w teorii falowej” („Nie darmo w tytule swojej pracy z 1905 roku o hipotezie kwantów światła wspomniał on o »heurystycznym punkcie widzenia«”). Mimo że ci dwaj uczeni „zostali intelektualnymi przeciwnikami, to w żaden sposób nie wpłynęło to na ich wzajemne stosunki i „gdy Einstein już nie żył, a Bohr miał przed sobą tylko rok życia, powiedział kiedyś: »Einstein był tak niewiarygodnie miły. [...] wciąż widzę przed sobą jego uśmiech, bardzo szczególny uśmiech mądry, ludzki i przyjacielski«. Dedykuję taki sposób wypowiedzania się o swoich naukowych adwersarzach tym wszystkim uczonym, którzy się różnią w swoich poglądach. Nie to jest jednak największym problemem. Większym jest to, że nie potrafią się tak pięknie różnić jak w przywołanym tutaj przykładzie.

---

<sup>25</sup> „Zdaję sobie sprawę, że te cechy jego charakteru musiały się przejawiać już bardzo wcześnie”. Ibidem, s. 139.

## Rozdział VII

# Czytanie ze zrozumieniem

Problemy ze zrozumieniem tego, co się czyta, nie pojawiły się oczywiście dzisiaj. Takie sytuacje, w których albo nie rozumie się czytanego tekstu, albo też występują istotne różnice między tym, co autor tekstu chciał i potrafił powiedzieć, oraz tym, co zostało z tego zrozumiane, zdarzały się niejednokrotnie również w przeszłości. W przypadku tekstów należących do nauk ścisłych takich rozbieżności wydaje się być mniej, bowiem ich autorzy posługują się standaryzowanymi symbolami i nie pozostawiają one wiele miejsca na interpretacyjną swobodę. Więcej ich jest w naukach społecznych, a najwięcej w humanistycznych. Stąd m.in. te ostatnie zaliczane są w krajach o długiej tradycji akademickiej nie do nauki, lecz do literatury (we Francji to *les lettres*). Jednak nawet autorom dzieł literackich zależy na tym, aby ich właściwie rozumiano. Nie zawsze oznacza to jednak – dosłownie. Takie bowiem zrozumienie niejednokrotnie albo nie jest możliwe, albo nawet nie jest specjalnie oczekiwane. Oczekiwane jest natomiast, aby tzw. przesłanie takiego przekazu zostało właściwie rozumiane (cokolwiek by to nie oznaczało). W humanistyce niejednokrotnie jest tak, że czytelnikowi takich literackich tekstów wydaje się, iż lepiej niż ich autor wie, co ten ostatni miał lub przynajmniej mógł mieć na myśli. Nie jest to przy tym całkowicie pozbawione sensu. Jest przecież rzeczą normalną, że czytelnik ten może być osobą lepiej wykształconą niż autor czytanego tekstu lub przynajmniej bardziej doświadczoną. Rodzi to jednak niebezpieczeństwo nieuprawnionych domniemań oraz sporych rozbieżności interpretacyjnych. Mające miejsce w wśród humanistów różnego rodzaju batalie „o coś” niejednokrotnie są bataliami nie tylko na słowa, ale także o słowa. Podobnie zresztą może być wówczas, gdy za czytanie tekstów z zakresu nauk ścisłych biorą się humaniści – np. ci filozofowie, którzy czują się uprawnieni do czytania wszystkiego, co wydaje się im godne uwagi. Takich filozofów nie brakowało w przeszłości i nie brakuje ich dzisiaj.

Odwołam się tutaj jednak nie do takiego filozofa – znawcy wszystkiego, lecz takiego, który dosyć gruntownie analizował nowożytną kulturę zachodnią, w tym tytułowy problem tej części rozważań. Jest nim Michel Foucault, autor rozprawy pt. *Słowa i rzeczy*. Wyszedł w niej z założenia, że kulturę tą – podobnie zresztą jak każdą inną – fundują różne „kody kulturowe – rządzące jej językiem, schematami percepcji, wymianami, technikami, wartościami i hierarchią zachowań”. Zadaniem „teorii naukowych i interpretacji filozoficznych jest wyjaśnienie, czemu istnieje powszechny ład, jakiemu ogólnemu prawu podlega, jaka zasada pozwala go uwidocznic i z jakiej przyczyny ustalony został akurat ten, a nie inny porządek”<sup>1</sup>. Szukanie odpowiedzi na te i podobne im pytania nazywa on „archeologią wiedzy” – archeologią dlatego, że postępowanie to podobne jest do postępowania archeologa, zdejmującego poszczególne warstwy ziemi i odsłaniającego kryjące się pod nimi tajemnice, a wiedzy dlatego, że chodzi o „wydobycie na jaw pola epistemologicznego, *episteme*, z którą poznania, rozpatrywane niezależnie od ich racjonalnej wartości i obiektywnych form, wiąże swoją pozytywność i tym samym manifestują pewną historię...” W świetle „archeologii wiedzy” w epoce Renesansu pojawiła się *episteme similitude* i związana z nim wiara w to, że słowo może coś znaczyć tylko wówczas, gdy odwzorowuje rzeczy<sup>2</sup>. „Okolo połowy XVII stulecia nastąpiła mniej lub bardziej wyraźna utrata tej wiary. [...] rodzi to nowy i dotąd nieznany problem: dotychczas zastanawiano się, po czym poznać, że znak ukazuje właśnie to, co znaczy. Począwszy od XVII wieku kwestią będzie, jak znak wiąże się z tym, co znaczy. Na to pytanie epoka klasyczna odpowie analizą reprezentacji [...]. Ale już choćby z tego względu język nie będzie niczym więcej niż szczególnym wypadkiem reprezentacji (dla klasyków) lub znaczenia (dla nas). Rozpada się w proch głęboka współzależność języka i świata. Uchylony został prymat pisma. Zniknęła jednolita warstwa, gdzie krzyżowało się bez ograniczeń widziane z czytany, oglądane z wypowiedzianym”<sup>3</sup>. Ta głęboka zmiana w kulturze zachodniej oznacza – poza wszystkim innym – przejście do takiego

<sup>1</sup> M. Foucault, *Słowa i rzeczy. Archeologia nauk humanistycznych*, Słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2006, s. 11 nn.

<sup>2</sup> „Aż do końca XVI wieku odwzorowywanie (*ressemblance*) było zwornikiem wiedzy kultury zachodniej. Ono kierowało w znacznej mierze egzegezą i interpretacją tekstów, ono organizowało grę symboli, umożliwiało poznanie rzeczy widzialnych i niewidzialnych, rządziło sztuką przedstawień”. Ibidem, s. 29.

<sup>3</sup> „W XVII i XVIII wieku właściwa językowi egzystencja, niegdysiejsza jego solidność jako rzeczy wpisanej w świat rozplynęła się w funkcjonowaniu przedstawienia

*episteme* słowa, w którym słowo nie tylko zaczyna żyć własnym życiem (niezależnym od życia i bycia rzeczy), ale także, w którym funduje ono mniej lub bardziej składną „serię niezbędnych i wystarczających mutacji, które wyznaczają próg nowej pozytywności”. Następstwem tych zmian było zniknięcie Tekstu Pierwszego (odwołującego się do świata rzeczy), „a wraz z nim nieprzebranej głębi słów, których niemy byt wpisany był w rzeczy”, oraz pojawienie się Tekstów Drugich i dalszych, związanych z językami wtórnymi – językami komentarzy, egzegezy i erudycji. Z czasem języki komentarzy zaczęto zastępować takim dyskursem, w którym „nie próbuje się już wydobywać tajemnicy przesłania skrytego pod znakiem, ale pyta się o funkcjonowanie języka – o to, jakie desygnuje reprezentacje, jakie elementy wykrywa i wyróżnia, jak analizuje i syntetyzuje, dzięki jakiej grze substytucji może pełnić funkcję przedstawienia”<sup>4</sup>. Można się z tym wyjaśnieniem zmiany kulturowej zgodzić lub nie. Problem jednak istnieje i warto mu się uważniej przyjrzeć z różnych stron.

W dalszej części tych rozważań spróbuję wskazać na szczególnie istotne znaczenie nastawienia czytelnika. Rzecz jasna, nastawienie to nie wyczerpuje listy uwarunkowań rozumienia czytanego przez nie tekstu. Przekłada się ono jednak m.in. na takie praktyki czytelnicze, jak czytanie „między wierszami” czy czytanie selektywne. Przedstawię to na konkretnych przykładach.

## 1. Czytanie z nastawieniem

Twierdzenie, że w rozumieniu czytanych tekstów wiele zależy od naszego nastawienia, można uznać za bezdyskusyjne. Wskazywano na to zresztą już niejednokrotnie przy analizowaniu różnego rodzaju kontrowersji związanych z treścią czytanych dzieł. Jednak dopiero gruntowne badania nad tymi różnymi nastawieniami pozwoliły na określenie ich faktycznego wpływu. Okazało się przy tym, że z tymi nastawieniami wiążą się zarówno różnego rodzaju emocje, jak i takie motywacje, przekonania i oczekiwania,

---

– każdy język uważano za dyskurs. Sztuką języka było teraz »dać znak« – oznaczyć coś i zarazem otoczyć tę rzecz znakami...” Ibidem, s. 51 nn.

<sup>4</sup> „Komentarz ustępuje miejsca krytyce. Na pozór krytyka tak przeciwstawia się komentarzowi, jak analiza widzialnej formy odkrywania ukrytej treści. Ponieważ jednak ową formę języka zawdzięcza reprezentacji, krytyka będzie mogła analizować go jedynie w kategoriach prawdy, dokładności i właściwości ekspresywnej. Stąd złożona rola krytyki i jej niemożliwa do przewyciężenia dwuznaczność”. Ibidem, s. 82 nn.

które, nie zawsze są w pełni uświadamiane. Co więcej, te z nich, które są uświadamiane, nie zawsze są ujawniane, a jeśli już je ujawniamy, to niejednokrotnie dodajemy do nich takiego „kolorytu”, abyśmy w miarę dobrze wypadali w oczach tych zewnętrznych obserwatorów, na których opinii nam z różnych względów zależy. Tak czy inaczej zabiegi te pełnią rolę maskującą i często niełatwo jest się zorientować, co stanowiło faktyczne nastawienie, a co jest jedynie jego maską. Następstwem tego może być i niejednokrotnie jest nie tylko zasadniczo odmienne rozumienie czytanego tekstu, ale także odmienne interpretowanie tego, co zostało przeczytane i zaprezentowane. Jeśli dobrze zrozumiałem sens wypowiedzi Foucault, to są to właśnie te Teksty Drugie, Trzecie itd. Odwołam się zatem do takich dwóch przykładów, które mogą stanowić ilustrację tego problemu.

Pierwszy z nich opisany został na kartach *Etyki protestanckiej a ducha kapitalizmu* Maxa Webera. Jego autor analizował i prezentował takie nastawienia religijne, które sprawiały, że zbawienie ludzkiej duszy łączyło się z działaniami prokapitalistycznymi, takimi jak zaangażowanie w wykonywanie zawodowej pracy, a jednocześnie ograniczanie się w konsumowaniu efektów tej pracy. Traktowane to było przez osoby kultywujące tego ducha kapitalizmu przede wszystkim jako taki typ życia i współżycia z innymi, który w największym stopniu spełnia wymagania chrześcijańskiej etyki. Takie myślenie było udziałem tych przedstawicieli ascetycznych odmian protestantyzmu, którzy w XVII i XVIII stuleciu współtworzyli mniejszościowe grupy wyznaniowe. W krajach niemieckich byli to pietyści, w Holandii metodyści, natomiast w Anglii przedstawiciele niektórych odmian purytanizmu, tacy jak kwakrzy, nonkonformiści czy prezbiterianie.

Jednym z nich był teolog prezbiteriański Richard Baxter. Zdaniem Webera jego *Christian Directory* stanowiło „najlepsze kompendium purytańskiej teologii moralnej, zorientowane [czytaj: nastawione – Z.D.] zawsze na praktyczne doświadczenie pracy duszpasterskiej”. Natomiast w jego „poglądach na temat bogactwa i zdobywania rzucają się w oczy [...] ebionckie elementy przekazu nowotestamentowego”, takie jak nastawienie przede wszystkim na osiągnięcie przez duszę zbawienia<sup>5</sup>. Nie tylko Baxter

<sup>5</sup> „Bogactwo jako takie jest wielkim zagrożeniem, jego pokusy niebezpieczne, a dążenie do niego nie tylko wobec przemożnego znaczenia Królestwa Bożego jest niebezpieczne, lecz także moralnie wątpliwe. O wiele bardziej niż u Kalwina – który dla bractwa osób duchownych nie widział żadnych przeszkód dla działania [na rzecz pomnażania swojego materialnego stanu posiadania – Z.D.] i pozwalał na zyskowne lokowanie kapitału, byle tylko bez konfliktów – asceza wydaje się tu być skierowana

i jego naśladowcy inspirowali się Nowym Testamentem. Zarówno Nowy, jak i Stary Testament stanowiły źródło wiedzy i wiary dla wielu różnych chrześcijan w różnych okresach istnienia tej religii. Jednak u tego teologa oraz tych, którzy podążali w swoim myśleniu i praktycznym życiu za jego wezwaniami i wskazaniem, owe „ebionckie elementy” sprawiły, że za moralnie naganne uznali oni m.in. konsumpcjonizm („z takimi następstwami jak gnuśność i rozpusta”), marnowanie czasu na takie błahostki, jak „rozrywki towarzyskie, leniwe pogawędki, luksus czy spanie dłużej niż jest to konieczne dla zdrowia”. Za godne uznania i praktykowania uznali oni natomiast wykonywanie zawodowych obowiązków, a nawet współżycie płciowe – o ile jego celem jest płodzenie dzieci (zgodnie z Bożym nakazem: „bądźcie płodni i rozmnażajcie się”). Uważniejsze przyjrzenie się poszczególnym komponentom purytańskiej etyki pozwala się zorientować, jak wyglądało owe nastawienie w innych wersjach chrześcijańskiego ascetyzmu.

Drugi z przykładów analizowania i przedstawiania roli nastawienia w czytaniu tekstów wzięty jest z *Medytacji kartezyjskich* Edmunda Husserla. Źródłem inspiracji prezentowanego w tej rozprawie nastawienia nie jest Pismo św., lecz pismo świeckie, tj. *Medytacje o pierwszej filozofii* René Descartes’a (w polskiej wersji Kartezjusz). Miało ono i nadal ma swoich wyznawców. Jednak mało który z nich podpisałby się pod tezę, że podstawą jego wyznania jest wiara w moc stwórczą Boga. Natomiast niejeden z nich uważa, że jest nią wiara w moc twórczą i odtwórczą ludzkiego intelektu, tj. tej władzy poznawczej, którą ich zdaniem posiada każdy człowiek. Problem jednak w tym, że tylko niewielu potrafi z niej zrobić taki użytek, aby dojść do tego, co jest całkowicie pewne i prawdziwe, a to właśnie w przekonaniu kartezyjan powinno być głównym celem ludzkiej aktywności. Zdaniem Husserla, nie do końca potrafił to uczynić również Descartes. Stąd uznał on, że jego filozofia – nazywana fenomenologią – stanowi „nową postać filozofii transcendentalnej” i – rzecz jasna – istotną korektę jej starej postaci. Miała ona powstać „na drodze radykalnego rozwijania kartezyjskich motywów”<sup>6</sup>.

Odpowiadając na pytanie, który z tych motywów okazał się szczególnie ważny, Husserl wskazuje na Kartezyjski „radykalny zwrot ku czystemu *ego cogito*”, zwrot „zmieniający cały dotychczasowy styl filozofowania”, poprzez zanegowanie wartości „naiwnego obiektywizmu” i uznanie war-

przeciw jakiegokolwiek dążeniu do gromadzenia dóbr doczesnych”. M. Weber, *Etyka protestancka a duch kapitalizmu*, cz. III: *Asceza a duch kapitalizmu*, Test, Lublin 1996.

<sup>6</sup> E. Husserl, *Medytacje kartezyjskie*, PWN, Warszawa 1982, s. 1 nn.



tości „subiektywizmu transcendentального”<sup>7</sup>. Bez wchodzenia w zawiałość tego i podobnego mu subiektywizmu można z pełnym przekonaniem powiedzieć, że chodzi tutaj o zwrócenie intelektu w pierwszej kolejności nie w kierunku świata zewnętrznego (jak to ma miejsce w owym „nawinym obiektywizmie”) ani też takiego świata wewnętrznego, jakim jest pragnąca zbawienia dusza ludzka, lecz takiego świata wewnętrznego, jakim jest medytujące i realizujące krok po kroku i etap po etapie swoje główne powołanie ludzkie „ja”. Nie jest to i nie może być zadanie łatwe do zrealizowania, o czym przekonują potknięcia intelektualne różnego rodzaju intelektualistów – również tych, którzy postępowali za Kartezjańskimi wskazaniem i rozwijali jego idee. Potwierdzeniem tego są niejednokrotnie zasadniczo różniące się odczytania *Medytacji* i innych pism Descartes’a. Ich odczytanie przedstawione przez Husserla w *Medytacjach kartezjańskich* jest zresztą również traktowane jako swoisty projekt, którego realizacja jest jednak daleka od doskonałości.

Już na pierwszy rzut oka można dostrzec różnice występujące w ujmowaniu i prezentowaniu nastawień przez Webera i przez Husserla. Można jednak w ich ujęciach znaleźć również wspólny element. Stanowi go różnicowanie nastawień na pozytywne i negatywne. Niemniej ważne jest ich różnicowanie z uwagi na zorientowanie bądź to w kierunku świata zewnętrznego, bądź też w kierunku świata wewnętrznego. Przy nastawieniu negatywnym czytelnik tekstu jest na „nie”, zanim jeszcze zapozna się z jego treścią, natomiast w czytany tekście szuka on m.in. tego, co mogłoby stanowić jakieś wyjaśnienie, uzasadnienie lub usprawiedliwienie dla jego „nie”. W każdym tekście można coś takiego znaleźć, a im te teksty są bardziej rozbudowane, tym jest o to łatwiej. Kontrowersje wokół treści różnego rodzaju pism dostarczają niejednokrotnie uzasadnienia dla generalnej tezy, że nawet uświadamiając sobie ujemne strony negatywnych nastawień, trudno jest się od nich całkowicie uwolnić.

Podobnie jest z nastawieniem „na tak”. Podobnie, ale jednak nie tak samo. W grę wchodzi tutaj bowiem takie emocje, motywacje, przekonania i oczekiwania, które sprawiają, że bądź to autorzy tekstów, bądź też ich instytucjonalne otoczenie kojarzy się nam z czymś pozytywnym. W przypadku czytania tekstów z humanistyki temu znajdowaniu pozyty-

<sup>7</sup> „Subiektywizmu wydającego się dążyć w ciągle nowych, a przecież ciągle jeszcze nie zadawalających usiłowaniach, do swego koniecznego, ostatecznego kształtu, w którym odłoni się być może dopiero jego prawdziwy sens oraz sens samego owego radykalnego przeistoczenia”. *Ibidem*, s. 5 nn.

wów towarzyszą niejednokrotnie różnego rodzaju „ale”, „być może”, „pod warunkiem”. Nie oznacza to oczywiście, że w tego typu tekstach pozytywów jest stosunkowo niewiele. Takie wypowiedzianie się należy bowiem do swobodnego kanonu języka humanistów, a nawet uchodzi w ich oczach za pewną normę poprawności językowej. Z ich punktu widzenia byłoby nawet czymś podejrzanym intelektualnie, gdyby jakaś osoba ze znaczącym autorytetem wypowiadała się bezkrytycznie o jakimś tekście (nie wyłączając własnych).

## 2. Czytanie „między wierszami”

Tradycje czytania „między wierszami” sięgają tych czasów, w których pojawiło się słowo pisane. Być może nawet są one wcześniejsze (bo przecież można również czytać „między wierszami” słowa mówionego). Różne były oczywiście okoliczności towarzyszące zarówno temu sposobowi przekazywania istotnych treści, jak i temu nastawieniu na szukanie ich właściwego sensu „między wierszami”. Jedną z nich była zapewne cenzura (instytucjonalna, moralna, obyczajowa itd.). W każdym jednak przypadku temu czytaniu towarzyszył i towarzyszy pewien brak zaufania albo do autorów czytanych tekstów, albo też do niektórych ich potencjalnych adresatów; a często do jednych i do drugich. Sprawiało to i sprawia, że autorzy tekstów wypowiadali się i wypowiadają w taki sposób, aby nie powiedzieć za wiele o tym, co faktycznie myślą i co może wywołać negatywne reakcje ich bliższego i dalszego otoczenia. Natomiast ich czytelnicy poszukują w nich takich podtekstów, które można wydedukować z różnego rodzaju niedopowiedzeń, „półśłówek” oraz takich zwrotów, jak „być może” czy „nie można wykluczyć”. Przykłady takiego czytania „między wierszami” można znaleźć w każdej epoce. Przywołam tutaj dwa z nich.

Pierwszy związany jest ze głośną w swoim czasie sprawą Galileusza. Ten odrodzeniowy uczonek (matematyk, astronom i fizyk) oraz wykładowca uniwersytecki (wykładał matematykę na Uniwersytecie w Pizie oraz w Padwie) był autorem traktatu zatytułowanego *Dialog o dwu najważniejszych układach świata: Ptolemeuszowym i Kopernikowym*. Opowiadał się w nim za drugim z tych układów. Jak wiadomo, doprowadziło to go do konfliktu z ówczesnymi autorytetami kościelnymi w zakresie teologii i astronomii. Żadna ze stron tego sporu nie negowała wartości takiego przekazu, jakim było i jest dla chrześcijan Pismo św. Kłopoty Galileusza brały się m.in. stąd, że uznał on to Pismo za źródło wiary, ale już nie tej wiedzy, do której

człowiek może i powinien dochodzić samodzielnie, posiłkując się jedynie własnym rozumem. Reakcją na to ówczesnych obrońców chrześcijaństwa było złożenie skargi na Galileusza do Świętej Inkwizycji Rzymskiej. Jego proces trwał kilkanaście lat i zakończył się wydaniem papieskiego dekretu, w którym zakazuje się głosić pogląd, że „Słońce jest środkiem świata i pozbawione jest w ogóle ruchu lokalnego”, oraz nakazuje się go uznać za „szalony i absurdalny pod względem filozoficznym oraz formalnie heretycki, bowiem wyraźnie sprzeciwia się nauce *Pisma świętego*”<sup>8</sup>.

Niewiele wskazuje na to, aby Galileusz chciał podważać chrześcijańską wiarę. Wiele natomiast wskazuje na to, że próbował on pokazać i wykazać nie tylko trafność heliocentrycznej idei Kopernika, ale także tego, że można mieć zaufanie nie tylko do Pisma św., ale także do takiego rozumu i takiego rozumowania, jakie było i jest udziałem znaczących matematyków oraz tych wszystkich, którzy stosują ich wskazania w swoim myśleniu. W dziele Galileusza znajdują się takie fragmenty, które można odczytywać jako jednoznaczne opowiedzenie się za autorytetem matematyków i matematyki – tytułem przykładu można przywołać ten, w którym stwierdza on, że „rozumując w ten sposób, niepodobna przecież uważać, że coś może być bardziej ogniste, aniżeli sama ziemia czy ogień”; dodając przy tym, że „skoro ktoś okazał się biegły w matematyce, to jest zgoła niepodobieństwem, by nie był przekonany o słuszności dowodu, że podobne materie stykają się z ciałem słonecznym”<sup>9</sup>. Na pytanie, co „między wierszami” tego dzieła znaleźli jego krytycy i przeciwnicy, odpowiada autor wstępu do jego polskojęzycznego wydania – w świetle tej odpowiedzi: dostrzeżono w nim przede wszystkim „groźne uderzenie w tradycyjny pogląd na świat, pogląd mający sankcję religijną”<sup>10</sup>.

Dobrym przykładem czytania „między wierszami” jest również głośny spór o pochodzenie człowieka, zapoczątkowany opublikowaniem w 1859 r.

<sup>8</sup> Kilka dni później ten sam urząd kościelny wydał dekret zakazujący upowszechniania dzieła Kopernika *O obrotach ciał niebieskich* – jednak nie całkowicie, lecz jedynie do czasu takiego jego poprawienia, aby jasno z niego wynikało, że heliocentryzm jest jedynie jedną z możliwych hipotez i nie podważa ona „naszej świętej wiary”. Szerzej w kwestii „sprawy Galileusza” zob. A.C. Crombie, *Nauka średniowieczna i początki nauki nowożytnej*, t. II, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1960, s. 260 i in.

<sup>9</sup> G. Galilei, *Dialog o dwu najważniejszych układach świata: Ptolemeuszowym i Kopernikowym*, PWN, Warszawa 1962, s. 60 i in.

<sup>10</sup> Do tych krytyków należał m.in. papież Urban VIII, który dzieło to odebrał nie tylko jako atak na Kościół, ale także na jego osobę. Zdaniem autora tego wstępu: „książka ta szczydziła z jego własnych przekonań, czym poruszała go do żywego”. M. Brahmer, *Przedmowa*, w: G. Galilei, *Dialog o dwu najważniejszych układach świata...*, s. XIV nn.

działa Karola Darwina pt. *O powstaniu gatunków drogą doboru naturalnego*. Jego biografowie Michael White i John Gribbin w swojej prezentacji życia i aktywności naukowej tego angielskiego uczonego dzieło to nazywają arcydziełem. Przyszają oni jednak, że przedstawione w nim spostrzeżenia i uogólnienia nie były całkowicie oryginalne. Darwin korzystał w nim bowiem m.in. z pewnych sugestii zawartych w rozprawie Thomasa Maltusa pt. *Prawo ludności*<sup>11</sup>. Jednak wnioski, do których doszedł w wyniku swoich wieloletnich badań nad powstawaniem, rozwijaniem się i ginieciem gatunków tak dalece odbiegały od rozpowszechnianych i utrwalanych przez wieki w kulturze zachodniej przekonania, że najpierw ujawnił je „kilku zaufanym przyjaciółom i kolegom, w tym Josephowi Hookerowi (botanikowi, który z czasem został jednym z jego najbliższych współpracowników i zwolenników”) oraz Alfredowi Russelowi Wallace’owi („przyrodnikowi działającemu na Dalekim Wschodzie”). Ustalenia tego ostatniego okazały się na tyle zbieżne z ustaleniami Darwina, że jedno i drugie zostały zaprezentowane (w 1857 r.) na forum Towarzystwa Lineuszowego w Londynie („wywołały one jednak umiarkowane reakcje”). Obawa Darwina, że pierwszeństwo w sformułowaniu teorii o „powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego” zostanie przypisana Wallace’owi, a nie jemu, sprawiła, że zdecydował się opublikować swój „wyciąg z eseju o powstawaniu gatunków” (taki był roboczy tytuł jego głośnego dzieła).

Ta licząca w pierwszym wydaniu ponad 500 stron rozprawa w małym stopniu przedstawia powstanie gatunku ludzkiego, natomiast w znacznym powstawanie różnych gatunków roślin i zwierząt (takich jak gołębie, mrówki czy pszczoły). Nawet w tych jej częściach, w których mówi się o człowieku, trudno jest doszukać się tak ostro wówczas krytykowanej z różnych pozycji tezy o pochodzeniu człowieka od małpy. Nie oznacza to oczywiście, że Darwin takiej tezy nie sformułował. Oznacza to natomiast, że prezentował ją tak ostrożnie, aby nie wywołała ona ataków na jego osobę oraz jego dzieło. Warto jednak zwrócić uwagę również na pojawiające się w końcowej części tej rozprawy sugestie, że jakkolwiek można przyjąć, iż człowiek pochodzi od niższych gatunków, to jednak stoi od nich wyraźnie wyżej – chociażby z tego względu, że „działa planowo i może dojść do wielkich rezultatów w krótkim czasie”. Natomiast w ostatnim zdaniu tego obszernego dzieła znalazło się stwierdzenie, iż „wzniosły zaiste jest

---

<sup>11</sup> „Z pracy Maltusa Darwin zrozumiał, że większość osobników w warunkach naturalnych nie żyje dostatecznie długo, by się rozmnażać”. M. White, J. Gribbin, *Darwin. A life in Science*, Simon and Schuster Ltd 1995, Part 10.

to pogląd, że Stwórca natchnął życiem kilka form lub jedną tylko i że gdy planeta nasza, podlegająca ścisłemu prawu ciężenia, dokonując swych obrotów z tak prostego początku, zdołała się rozwinąć i wciąż jeszcze się rozwija w nieskończony szereg form najbardziej godnych podziwu i najpiękniejszych<sup>12</sup>. Można oczywiście postawić pytanie, czy ten pogląd jest tylko „wzniosły”, czy też również zgodny z wiedzą naukową, a także, czy to, co jest godne podziwu, jest tym samym, co wymaga czy też nie wymaga uważnego badania, oraz czy dopuszcza się możliwość pozbawiania go tego uroku, który on posiada na pierwszy rzut oka. Takie pytania pojawiły się zresztą zaraz po opublikowaniu tego dzieła. Stawiali je zarówno ci jego przeciwnicy, którzy potraktowali je jako swoistą obrazę dla uczuć, wierzeń i przekonań ludzkich, jak ci jego obrońcy, którzy traktowali je jako swoistą księgę tych mądrości, do których w końcu ludzkość doszła po wielu wiekach różnego rodzaju nieporozumień i pobożnych życzeń dotyczących wielkości i wyjątkowości gatunku ludzkiego.

W przywoływanej tutaj biografii Darwina znajduje się rozdział zatytułowany *Boje w fanatyzmem religijnym*. Przedstawione w nim zostały m.in. fragmenty recenzji tego dzieła, w której jej autor napisał: „przeczytałem Pańską książkę raczej z bólem niż z przyjemnością. Niektóre jej części wywołały mój podziw, niektóre tak mnie rozbawiły, aż mnie boki bolały ze śmiechu, jeszcze inne czytałem z niewypowiedzianym smutkiem, ponieważ uważam je za absolutnie fałszywe i szkodliwe mylące”. Jej autorem był biskup kościoła anglikańskiego i profesor Oksfordu Samuel Wilberforce. Odpowiedzią na te słowa było wystąpienie jednego z najbliższych współpracowników Darwina i propagatora jego poglądów Thomasa Henry’ego Huxleya na zebraniu Brytyjskiego Stowarzyszenia Popierania Nauki w czerwcu 1860 r. W pewnym momencie tej dyskusji Wilberforce zwrócił się z pytaniem do Huxleya, „czy uważa, że pochodzi od małpy i czy ewentualnie jego małpi przodkowie występują po stronie jego dziadków czy babki”. W odpowiedzi usłyszał, że indagowany „wcale by się nie wstydził takiego pochodzenia. Jednak poczytywałby sobie za ujmę, gdyby wywodził się od kogoś, kto sprostył dar kultury i elokwencji w służbie przesądu i fałszu<sup>13</sup>. Ukazuje to nie tylko koloryt akademicki dyskusji wywołanych dziełem Darwina, ale także to, jak różne były do niego nastawienia oraz jakie treści potrafili znaleźć różni jego czytelnicy „między wierszami”.

<sup>12</sup> Por. K. Darwin, *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego czyli o utrzymywaniu się doskonalszych ras w walce o byt*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2009.

<sup>13</sup> Ibidem, s. 240 nn.

### 3. Czytanie selektywne

Czytanie selektywne może być, ale nie musi być czytaniem powierzchownym. Jest ono powierzchowne wówczas, gdy czytelnik nie ma albo czasu, albo chęci, albo też jednego i drugiego do zapoznawania się z całym tekstem i ogranicza się do jego kartkowania i rzucania okiem na to, co się pojawia na przypadkowo wybranej stronie. Jest ono powierzchowne również wówczas, gdy zapoznaje się on jedynie ze spisem treści lub zamieszczanymi w książkach indeksami pojęć i nazwisk. Te ostatnie praktyki mogą jednak być pomocne przy zapoznawaniu się z treścią dzieła, ale pod warunkiem, że nie będą zastępowały szerszej analizy (nie zawsze jednak wymagającej czytania „od dechy do dechy”). Nieprzestrzeganie tego warunku dosyć często występuje przy czytaniu gazetowych przekazów. Wiedzą o tym dobrze ich autorzy i redaktorzy. Stąd m.in. formułują w nich takie nagłówki przekazywanych w nich informacji, aby „były one po oczach” swoją wyrazistością lub dosadnością. Nieprzestrzeganie tego warunku zdarzało się również przy akademickim studiowaniu lektur. Nawet jednak w tym przypadku można znaleźć dla tych praktyk jakieś uzasadnienie i usprawiedliwienie – nie tylko zresztą w braku czasu czy też w pośpiechu, który towarzyszy niejednokrotnie dążeniu do osiągnięcia w nauce sukcesu. W dyscyplinach humanistycznych takim usprawiedliwieniem może być np. nadmierna rozwlekłość tekstów oraz występowanie w nich takiej ilości różnego rodzaju dygresji, że nawet ich bardzo wyrozumiali czytelnicy tracą w końcu cierpliwość. Tak czy inaczej w czytaniu selektywnym nie może być mowy o znajomości całej treści pisanego przekazu, a to, czy jego wybrane fragmenty zostały trafnie wyselekcjonowane i należycie zrozumiane, zależy nie tylko od zdolności umysłowych czytelnika czy charakteru czytanego tekstu, ale także, a niekiedy nawet przede wszystkim, od nastawienia czytelnika.

Odwołam się tutaj do przykładu takiego selektywnego czytania tekstu, którego autorem jest osoba przywiązana do ścisłego używania języka, natomiast jego czytelnikiem osoba, które ani nie wykazuje takiego przywiązania, ani nie posługuje się takim językiem, ani nawet nie potrafi specjalnie ocenić i docenić wartości ścisłego języka. Tym pierwszym jest angielski uczonec Izaak Newton, natomiast tym drugim francuski filozof i literat Voltaire. Pierwszy z nich posiadał gruntowne wykształcenie akademickie (uzyskane m.in. na Uniwersytecie w Cambridge, na którym od 1669 r. był profesorem matematyki i optyki). Drugi z nich nie miał wprawdzie gruntownego akademickiego przygotowania (swoją szkolną edukację skończył on w wieku

16 lat po dwóch lat nauki w jezuickim Kolegium Ludwika Wielkiego w Paryżu), jednak posiadał spore zamiłowanie do czytania i samodzielnego uzupełniania swojej wiedzy. Co więcej, miał on także spore zamiłowanie do pisania (jego dzieła zebrane i wydane pod koniec XVIII stulecia liczą 52 tomy), a to, co napisał, oznaczało się zarówno dobrym stylem literackim, jak i sporą odwagą w wypowiedaniu się na takie tematy, które u jednych budziły zaciekawienie, u innych zdziwienie, a jeszcze u innych oburzenie<sup>14</sup>. Trudno jest się zresztą dziwić, bowiem na kartach jego dzieł pojawia się zarówno długa lista problemów, jak i długa i ogromnie zróżnicowana galeria postaci, przy czym nie każda z nich zasłużyła na jego uznanie, a nawet można powiedzieć, że niewielu było takich. O osiągnięciach wielu z nich bowiem wypowiadał się krytycznie, a niektórych przedstawiał wręcz w satyrycznym świetle. Był on przy tym mistrzem takiej satyry, która wielu śmieczy, ale stosunkowo niewielu cieszy, bowiem zwykle ma jakieś drugie lub trzecie „dno” (i w końcu może skłonić do postawienia Gogolowskiego pytania: „z kogo się śmiejecie? – sami z siebie się śmiejecie”). Wiele jeszcze innych rzeczy można powiedzieć o Voltaire’owskim czytaniu i pisaniu. Nie można natomiast z pełnym przekonaniem powiedzieć, że „grzeszyło” nadmiernym obiektywizmem czy chociażby znaczącym zbliżeniem się do niego.

Potwierdzeniem tego jest zarówno jego apologetyka osiągnięć jednych uczonych i filozofów, jak i krytyka innych, przy czym o tym, którzy z nich znaleźli się w pierwszej, a którzy w drugiej grupie, rozstrzygały w mniejszym stopniu ich dokonania, natomiast w większym nastawienie Voltaire’a, by eksponować pozytywną rolę przeciwników tradycyjnych religii (w szczególności chrześcijaństwa) oraz negatywną rolę ich zwolenników. Do tych pierwszych zaliczył on m.in. Izaaka Newtona. Za jego największe osiągnięcia uznał on: po pierwsze, „zburzenie systemu kartezjańskiego”, a po drugie odkrycie naukowego systemu ciężenia, „praw rządzących światłem” oraz opracowanie nowej geometrii nieskończoności („dzięki owej geometrii nieskończoności zdobył najwspanialszą wiedzę”)<sup>15</sup>. Można zapytać: a co z tymi religijnymi wierzeniami Newtona, które w jego czasach były stosunkowo dobrze znane, a jego późniejsi biografowie uznają za główne źródło inspiracji tych poszukiwań badawczych, które ugruntowały jego naukową

<sup>14</sup> Wiele zresztą już powiedziano na ten temat. Por. przykładowo: R. Pomeau, *La religion de Voltaire*, A.G. Nizet, Paris 1995; I. Davidson, *Voltaire. A Life*, Profile Books, London 2010; R. Pearson, *Voltaire Almighty: a life in pursuit of freedom*, Bloomsbury Publishing, Bloomsbury 2005.

<sup>15</sup> Voltaire, *Listy o Anglikach albo Listy filozoficzne*, PIW, Warszawa 1953, s. 95 nn.



pozycję?<sup>16</sup> Czy Voltaire mógł ich nie znać lub chociażby o nich nie słyszał. Mało prawdopodobne. Mógł o nich się dowiedzieć chociażby podczas swojego kilkuletniego pobytu w Anglii (poznał przy tej okazji język angielski). Owocem tego pobytu były jego *Listy o Anglikach*, w tym o Newtonie, któremu wystawiał w nich tak wysoką ocenę. W późniejszych latach napisał on obszerną rozprawę zatytułowaną *Elementy filozofii Newtona* – nie tylko powtórzył w niej wcześniejszą ocenę osiągnięć tego uczonego, ale także bronił „newtonowskiego” pojmowania Boga. W świetle tej rozprawy pod pojęciem Boga Newton „rozumiał nie tylko Istotę nieskończoną, wszechmocną, wieczną i twórczą, ale również Pana, który ustanowił pewien stosunek pomiędzy sobą a swymi stworzeniami; bez tego bowiem stosunku poznanie Boga jest tylko jałową ideą, która w ludziach skłonnych do przewrotnego mędrkowania budzić może nadzieję bezkarności i przez to zachęcać ich do zbrodni”<sup>17</sup>. Można mieć zasadnicze wątpliwości, czy takie pojmowanie Boga jest zgodne z tym Bogiem, w którego istnienie faktycznie wierzył Newton i na którego chwałę trudził się przez całe swoje naukowe życie<sup>18</sup>.

Interesująca jest również lista nazwisk tych uczonych i filozofów, których Voltaire przy różnych okazjach krytykował. W tym gronie znalazł się m.in. René Descartes. Do jego najpoważniejszych błędów zaliczył on postawienie znaku równości między duszą i myślą, a także pomyłki „w badaniach nad naturą duszy, materii, światła, w dowodach na istnienie Boga i w prawach ruchu”. Jego generalny wniosek sprowadza się do stwierdzenia, że „w dziełach pana Descartes’a roi się od błędów”<sup>19</sup>. Nawet początkujący student studiów filozoficznych jest w stanie się zorientować, że przypisanie Descartes’owi pierwszego z tych błędów jest nie tyle nieporozumieniem, ile zwyczajnym niezrozumieniem jego filozofii. Nietrudno jest się również zorientować, że wszystko to, co zostało wskazane przez Voltaire’a jako Kartezjańskie błędy, zostało przez niego wyrwane z tego szerszego filozoficznego

<sup>16</sup> Por. F.E. Manuel, *Portret Izaaka Newtona*, Pruszyński i S-ka, Warszawa 1998, s. 130 nn.

<sup>17</sup> Por. Voltaire, *Elementy filozofii Newtona*, PWN, Warszawa 1956, s. 5 nn.

<sup>18</sup> Szerzej na temat związków między fizyką Newtona oraz jego pojmowaniem Boga por. J. Kierul, *Izaak Newton. Bóg, światło i świat*, Quadrivium, Wrocław 1996.

<sup>19</sup> Voltaire, *Listy o Anglikach...*, s. 106 nn. Długa lista zarzutów wobec Kartezjusza i kartezjanizmu pojawia się również w *Elementach filozofii Newtona* – Wolter zarzuca im tam m.in., że ich założenie o stałej ilości ruchu w świecie „wyklucza pojęcie Istoty jedynej w swej nieskończoności” oraz że hołdowanie „duchowi systematyczności” („sprowadziło to Kartezjusza z właściwej drogi” badań dotyczących światła i doprowadziło do „niedorzecznego galimatiasu”).

kontekstu poglądów, bez którego traci swoje wyjaśnienie i uzasadnienie. Czy Voltaire był w stanie to zrozumieć? Być może nawet i tak. Jednak liczyło się dla niego nie tyle takie rozumienie filozofii Descartes'a, w którym jej poszczególne części stanowią w miarę całościowy i zwarty logicznie system, ile takie nastawienie, które prowadzi do wyławiania z niego „co bardziej niestrawnych kęsków” i przedstawiania ich jako błędów tego filozofa. Podobnie zresztą rzecz się ma z przywoływanymi na kartach *Elementów filozofii Newtona* badaniami uczonych dotyczących natury światła (takich jak badania Ole Roemera czy Jamesa Bradleya), postrzegania położenia planet czy „przyczyny łamania się promieni światła przechodzących z jednej substancji do drugiej”<sup>20</sup>. Można oczywiście podziwiać odwagę, z jaką ten naukowy samouk wkracza na tak trudne do zrozumienia i wyjaśnienia obszary badawcze. W nauce liczy się jednak nie tylko odwaga, ale także odpowiednia rozważa i – rzecz jasna – to profesjonalne przygotowanie, które sprawia, że mierzymy siły na zamiary i nie bierzemy się za „bary” z tym lub z tymi, którzy przerastają nas pod wieloma względami o głowę (lub jeszcze bardziej).

#### 4. Kilka ogólniejszych uwag

Pewne uwagi ogólne pojawiały się już „między wierszami” dotychczasowych rozważań. W tym miejscu nie tylko chciałbym je wyraźniej wyartykułować, ale także dopisać takie, których nie było jeszcze okazji wyrazić. Pierwsza z nich ma najbardziej zasadniczy charakter. Związana jest ona bowiem z generalnym pytaniem: czy czytanie selektywne tekstów oznacza spłyconie ich treści, czy też może stanowić ich pogłębienie lub wzbogacenie? Nie można wykluczyć ani pierwszego, ani drugiego z nich. Może być również i tak, że pod jednymi względami treści te zostają spłycone, ale pod innymi pogłębione, a nawet wzbogacone. Ważne jest przy tym, aby stanowiły one źródło inspiracji dla tych, którzy do nich się odwołują i coś do nich dopisują. Dobrym tego przykładem mogą być pisma tych Ojców Kościoła, którzy z komentarzy do pism swoich poprzedników uczynili prawdziwą sztukę i naukę dla innych. Jednym z nich był św. Tomasz z Akwinu, autor *Komentarzy do De Trinitate Beocjusza* oraz *Komentarzy do*

<sup>20</sup> Według Voltairę'a „jest to rzecz bardzo łatwa do wyjaśnienia; jednakże nie udało się to ani arabskiemu geometrze Alhazemowi, ani Witelnowi, ani nawet Keplerowi” (ale oczywiście udało się jemu).

*Sentencji Piotra Lombarda*<sup>21</sup>. Do tych komentarzy napisano później wiele innych komentarzy – pod jednymi względami zbieżnych, natomiast pod wieloma innymi rozbieżnych. Efektem tego jest występowanie różnych wersji tomizmu i neotomizmu, a także takich wykładni chrześcijańskiej teologii i filozofii, które z tomizmem nie mają wiele wspólnego. W późniejszych wiekach pojawiły się również takie komentarze do tych i podobnych im komentarzy, w których kwestionowano zasadność tych pierwszych oraz prezentowano swoją wizję Boga, świata i człowieka. Nie zabrakło również takich, które wyrażały stanowcze *votum separatum* wobec tych odchodzących od pierwowzoru komentarzy i apelujących o powrót do niego. Stosunkowo niedawno pojawiła się grupa takich kontestatorów tego pędu do posługiwania się piórem lub klawiaturą komputera, która uznała, że każdy może napisać swój mniej lub bardziej interesujący komentarz; jednak na zainteresowanie szerszego grona czytelników niż najbliższa rodzina mogą liczyć tylko ci autorzy, którzy lepiej trafiają w gusta i upodobania potencjalnych i realnych czytelników. Zainteresowanych problemem odsyłam do pism tzw. dekonstrukcjonistów (takich jak Jacques Derrida, Michel Foucault czy Richard Rorty).

Trudno byłoby dzisiaj całkowicie zanegować zasadność ich wizji czytania i przedstawiania jego efektów w różnych formach. Różnica między liczbą piszących „coś” oraz liczbą czytających „coś” nieustannie się bowiem zmniejsza, aż w końcu być może dojdziemy do tego, że tych pierwszych będzie więcej niż tych drugich. Ponoć już obecnie w Islandii co dziesiąty mieszkaniec tego kraju napisał jakąś książkę. W innych krajach zachodnich jest wielu takich okazjonalnych „literatów”, którzy mają na swoim koncie jakieś nieco mniejsze „dziełko”. Niepokoić może nawet nie tyle to, że aż tak wiele osób coś pisze (w końcu „kto bogatemu w literackie aspiracje zabrani coś spłodzić”), ile to, kto pisze i jak pisze – krótko mówiąc, jakie posiada kwalifikacje. Nie jest to tylko problem kultury masowej, ale także tak elitarnej, jak kultura akademicka. Jako początkujący filozof spotkałem się w swoim środowisku z opinią, że raczej należy wiele pisać niż czytać. Osoba upowszechniająca ten pogląd nie tylko tak mówiła, ale także tak robiła. Nie przeszkodziło to jej zresztą w staniu się postacią rozpoznawalną w polskim środowisku akademickim, a nawet przez niektórych cenioną – zwłaszcza po tym jak zerwał z ortodoksyjną wersją marksizmu

---

<sup>21</sup> Szerzej w tej kwestii por. R. Barron, *Thomas Aquinas, Spiritual Master*, Crossroad, New York 1996.

i zaproponował niemarksistowską wykładnię materializmu historycznego (sądzę, że w tym momencie może ona już być rozpoznawalna).

Problem ten jednak nie sprowadza się do filozofii i filozofów. Środowisko to jest mi jednak stosunkowo najlepiej znane (w końcu zdobywałem w nim swoje akademickie „ostrogi”). Przedstawię zatem na koniec dwie „filozoficzne” lub prawie filozoficzne kwestie. Pierwsza z nich związana jest z prowadzeniem przeze mnie od wielu lat zajęć dydaktycznych na tym kierunku uniwersyteckiego kształcenia. Niemal co roku spotykam na nim takich studentów, którzy wyróżniają się tym, co Edmund Husserl łączył z nastawieniem na dociekanie „istoty rzeczy”. Jest ich jednak stosunkowo niewielu. Rzecz nawet nie w tym, że dużego formatu filozofia nie jest ofertą dla wielu, lecz przede wszystkim w tym, że takich adeptów, którzy chcą i potrafią uzyskać głębokie filozoficzne wykształcenie dramatycznie ubywa. Przybywa natomiast takich, którzy są przekonani, iż filozofia nie jest i w gruncie rzeczy nigdy nie była czymś na tyle ważnym i poważnym, aby do jej zrozumienia potrzebny był szczególnie duży wysiłek intelektualny oraz dobrzy nauczyciele. Tych ostatnich dzisiaj niejednokrotnie zastępuje wikipedia. Zdarzyło się niedawno na moich wykładach z filozofii, że ich treść jeden ze student konfrontował z tym źródłem „mądrości” i co pewien czas zgłaszał jakieś wątpliwości.

Druga z tych obserwacji związana jest z moim uczestnictwem w tej wymianie i konfrontacji poglądów, która ma miejsce na różnego rodzaju konferencjach naukowych. Jeśli powiedziałbym, że wszyscy ich uczestnicy mówili „całkiem do rzeczy” albo przynajmniej „na temat”, to zapewne spotkałbym się z głębokim niedowierzaniem (przecież o to niełatwo było i jest nawet największym filozofom). Wartość takich spotkań nie polega jednak na tym, że każdy z ich uczestników mówi „do rzeczy” i „na temat”, lecz na tym, że częściej niż na innego typu spotkaniach pojawiają się autentyczni pasjonaci drążenia filozoficznych problemów i niekiedy nawet udaje się im albo coś sensownego ustalić, albo przynajmniej powiedzieć coś takiego, co skłania do poszukiwania czegoś sensownego. Stanowią oni w moim przekonaniu żywą ilustrację tego nakreślonego przez Webera obrazu uczonego pasjonaty, który latami analizuje kilka lub kilkanaście linijek tekstu i jest przekonany, że „los jego własnej duszy zależy od prawidłowego dokonania w nich poprawki, i to akurat tej poprawki w tym właśnie, a nie w innym miejscu”. Profanów to może dziwić, a nawet śmieszyć. Jednak dla autentycznego człowieka nauki jest to rzeczą normalną, a nawet wymarzoną.

## Postscriptum

W tym dopisku przedstawię kilka uwag i wyjaśnień związanych nie tyle z czytaniem ze zrozumieniem, ile z takim pisaniem, aby mogło ono spotkać się z nieco szerszym zainteresowaniem czytelników niż grono najbliższych przyjaciół i znajomych. Nie jest to oczywiście nowy problem. Przeciwnie, ma on „długą brodę”, sięgającą tych odległych czasów, w których z jednej strony pojawiła się grupa osób potrafiąca posługiwać się piórem, natomiast z drugiej takich, którzy byli zaciekawieni tym, co tamci „naskrobali”. W czasach starożytnych jednych i drugich było jednak niewiele, a takich, po których dzieła pisarskie sięgały późniejsze pokolenia czytelników, jeszcze mniej. Jeśli już jednak takie ponadepokowe dzieła w świecie kultury zachodniej się pojawiały, to były one pisane najpierw w języku greckim, a później po łacinie oraz czytane i komentowane przez tak „nieprzystające do siebie” osoby, jak głęboko wierzący i równie głęboko niewierzący w istnienie jakiegoś innego od naszego świata (ale przecież nie tylko w to). Sytuacja ta zmieniała się za sprawą pojawienia się słowa drukowanego, a później zdobycia prawa obywatelstwa w tzw. wysokiej kulturze przez języki narodowe. Kolejną wielką zmianą było pojawienie się najpierw prasy, a później takich sposobów komunikowania się, jak poprzez telewizję, komputery czy telefony komórkowe. Nie uśmierciły one wprawdzie słowa pisanego, jednak sprawiły, że musiało się ono dostosować do obowiązujących w nich standardów komunikowania, takich jak skrótowość, dosadność czy obrazowość. W nauce słowo pisane wprawdzie jeszcze jakoś próbuje się bronić przed związanymi z tym uproszczeniami i spłyceniami problemów, jednak jest wielką niewiadomą, jak długo jeszcze ta obrona potrwa, oraz do czego ona ostatecznie doprowadzi. Nie chciałbym jednak tutaj bawić się w jakieś proroctwa. Chciałbym natomiast podzielić się takimi uwagami i sugestiami, które wynikają nie tylko z mojej wieloletniej praktyki pisarskiej, ale także z zapoznania się z tymi praktykami, z którymi spotkałem się w przeczytanych przeze mnie dziełach (było ich tak wiele, że nie jestem w stanie ich policzyć). O jednych z nich mogę jednak powiedzieć, że stanowiły dla mnie i w jakiejś mierze nadal stanowią przedmiot swoistej fascynacji. Natomiast o innych, że wprawdzie nie znalazłem w nich niczego fascynującego, jednak były one w jakiejś mierze interesujące, a czasami nawet pouczające – jeśli nie w całości, to przynajmniej w któryś z swoich fragmentów.

Dzisiaj – po wielu latach zdobywania zawodowego doświadczenia – mało które z nich jest w stanie mnie zachęcić do czytania swoim intrygującym tytułem lub zniechęcić swoją nadmierną objętością. Ani to pierwsze, ani też to drugie nie jest bowiem dla mnie wystarczająco wiarygodnym wskaźnikiem tego, co w dziele należącym do kategorii monografii naukowej można znaleźć (tego rodzaju publikacje stanowią głównym przedmiot mojego czytelniczego zainteresowania). W tej kwestii wypowiadałem się zresztą już przy innej okazji<sup>22</sup>. Powtórzę zatem krótko: są takie monografie, które wiele ważą, ale tylko wówczas, gdy zostaną położone na zwyczajnej wadze. Natomiast nie za wielka jest ich waga mierzona takimi kryteriami, jak oryginalność, odkrywczość czy chociażby istotność naukowa podjętej i prezentowanej w niej problematyki. Rzecz jasna, są również takie, które zarówno przy jednym, jak i drugim sposobie mierzenia zasługują na uznanie. Dla mnie jedną z takich monografii jest *Gospodarka i społeczeństwo* Maxa Webera (dzieło to w polskojęzycznym wydaniu liczy ponad 1000 stron). Cenię sobie jednak również (i zapewne nie jestem w tym osamotniony) *Etykę protestancką* tego samego autora (publikacja ta liczy niecałe 200 stron i jest ona w gruncie rzeczy nieco obszerniejszym esejem). Co z tego wynika (poza tym, że ten wybitny uczyony niemiecki był zdolny zarówno do krótkich, jak i obszernych wypowiedzi)? Co najmniej to, że niczego – również publikacji naukowych – nie należy osądzać na pierwszy rzut oka lub też – co w gruncie rzeczy na to samo wychodzi – po ich zewnętrznym wyglądzie; jest zresztą takie powiedzenie: „to nie okładka zdobi dzieło”.

Nie oznacza to jednak, że skłonny jestem bagatelizować znaczenie tytułu dzieła czy tytułów jego poszczególnych części. Przeciwnie, podzielam opinię tych, że w niejednym przypadku mogą one mieć i mają moc rozstrzygającą o zainteresowaniu nim czytelnika. W przypadku mojego pisarstwa jest zresztą tak, że najpierw muszę jakoś wyartykułować sobie w umyśle problem, a następnie wymyśleć dla niego taki tytuł, który przynajmniej mnie samemu wydaje się w miarę oryginalny. Czasami mówię żartem (ale tylko żartem) swoim współpracownikom: mam już tytuł, a napisanie reszty będzie dużo łatwiejsze. Nie inaczej było w przypadku tej książki. W każdym razie jej tytuł wymyśliłem, zanim przystąpiłem do jej pisania. Później jednak się zorientowałem, że książka pt. *Republika uczonych* już funkcjonuje w obiegu czytelnicznym<sup>23</sup>. Jest to wprawdzie dzieło z zakresu

<sup>22</sup> Por. Z. Drozdowicz, *Waga monografii naukowej*, „Forum Akademickie” 4/1018, s. 38.

<sup>23</sup> Por. A. Schmidt, *Republika uczonych. Krótka opowieść z obszaru końskich szeptów*, PIW, Warszawa 2011.

tw. fantastyki naukowej (w swojej książce chciałem raczej uniknąć fantazjowania), to jednak pokazuje to, jak trudno jest dzisiaj zaproponować coś całkowicie oryginalnego. Tak czy inaczej skłoniło to mnie do dodania podtytułu. Ma on nie tylko odróżnić te dwie publikacje, ale także, a nawet przede wszystkim zachęcić do zapoznania się z tym, co mam do powiedzenia w swojej. Nieprzypadkowa jest również stosunkowo nieduża objętość tej książki. Wynika to – poza wszystkim innym – z utraty wiary w to, że dzisiejszy czytelnik skłonny jest sięgać po obszerne publikacje. Nie zakładam jednak, że zapozna się on z nią od pierwszej do ostatniej stronu (dzisiaj takich czytelników trudno jest znaleźć w gronie przyjaciół lub członków najbliższej rodziny). Zaproponowałem w niej taki układ poszczególnych części, aby każdą z nich można było czytać oddzielnie, można też czytać od końca, tj. od tych uwag i sugestii, które przedstawiam w tym dopisku.

Pewne nadzieje na trafienie w oczekiwania i gusty adresatów tej książki pokładam również w jej stylu narracyjnym. Jeśli miałbym go krótko określić, to powiedziałbym, że nie jest to ani publicystyka, ani eseistyka, ani też ten rodzaj narracji, który wymagany jest przy rozprawach na różnego rodzaju stopnie naukowe. Mam jednak wrażenie, że można w nim znaleźć coś z każdego z tych sposobów wypowiedzania się. Nie jestem jednak w stanie odpowiedzieć na pytanie, którego z nich jest więcej, a tym bardziej, w którym fragmencie jest więcej jednego niż drugiego. Mogę jednak wskazać tych autorów, których dzieła w swoim czasie studiowałem i którzy zapewne wpłynęli na mój sposób wypowiedzania się. We wcześniejszym okresie mojego praktykowania w nauce byli to przede wszystkim różni filozofowie francuscy, tacy jak Michel Montaigne, Blaise Pascal, Kartezjusz czy Voltaire (zdaje mi się, że szczególnie ten ostatni odcisnął znaczące piętno na moim sposobie wypowiedzania się). Natomiast w późniejszym okresie byli to również filozofowie amerykańscy (m.in. Richard Rorty, Alasdair MacIntyre czy Allan Bloom) oraz tacy uczeni niemieccy jak wielokrotnie przywoływany przeze mnie Max Weber. W końcu jednak to mnie oceniać, czy ta mieszanka stylów i wpływów przyniosła dobre efekty.





# Bibliografia

- Ajdukiewicz K., *Język i poznanie*, PWN, Warszawa 1985, t. II.
- Alquié F., *Kartezjusz*, Pax, Warszawa 1989.
- Ariew R., *Descartes and scholasticism: the intellectual background to Descartes' thought*, w: J. Conttingham (red.), *The Cambridge Companion to Descartes*, Cambridge University Press 2005.
- Aron E.N., *Wysoka wrażliwość*, Wyd. Feeria, Łódź 2017.
- Asmus W.D., *Descartes*, PWN, Warszawa 1960.
- Augustyn Świąty, *Państwo Boże*, Antyk, Kęty 2002.
- Barron R., *Thomas Aquinas, Spiritual Master*, Crossroad, New York 1996.
- Berleant A., *Wrażliwość i zmysły. Estetyczna przemiana świata człowieka*, Universitas, Kraków 2011.
- Bernstein J., *Albert Einstein i granice fizyki*, Świat Książki, Warszawa 2008.
- Bloom A., *Umysł zamknięty. O tym, jak amerykańskie szkolnictwo wyższe zawiodło demokrację i zubożyło dusze dzisiejszych studentów*, Zysk i S-ka, Poznań.
- Boras Z., *Tradycje uniwersyteckie Poznania*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2003.
- Bourdieu P., *Homo Academicus*, Les Editions de Manuit, Paris 2000.
- Burckhardt J., *Kultura Odrodzenia we Włoszech*, PIW, Warszawa 1991.
- Burke P., *Kultura i społeczeństwo w renesansowych Włoszech*, PIW, Warszawa 1991.
- Courtois S. (i in.), *Czarna księga komunizmu. Zbrodnie, terror, prześladowania*, Prószyński i Sk-a, Warszawa 1999.
- Crombie A.C., *Nauka średniowieczna i początki nauki nowożytnej*, t. II, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1960.
- Darwin K., *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego czyli o utrzymaniu się doskonalszych ras w walce o byt*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2009.
- Davidson I., *Voltaire. A Life*, Profile Books, London 2010.
- Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, PWN, Warszawa 1984.
- Drozdowicz Z., *Jazda na światka*, „Forum Akademickie” 6/2017.
- Drozdowicz Z., *O filozofię żywą, a przynajmniej bliższą życiu*, w: *Z perspektywy końca pewnej epoki*, Wyd. Fundacji Humaniora, Poznań 1997.
- Drozdowicz Z., *Kartezjański racjonalizm. Zrozumieć Kartezjusza*, Wyd. Fundacji Humaniora, Poznań 2014.
- Drozdowicz Z., *Waga monografii naukowej*, „Forum Akademickie” 4/1018.

- Duby G., Mandrou R., *Historia kultury francuskiej. Wiek X-XX*, PWN, Warszawa 1967.
- Duda R., *Lwowska szkoła matematyczna*, Wyd. Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2010.
- Erazm z Rotterdamu, *Pochwała głupoty*, Ossolineum, Wrocław 1953.
- Foucault M., *Słowa i rzeczy. Archeologia nauk humanistycznych*, Słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2006.
- Furedi F., *Authority. A sociological history*, Cambridge University Press, New York 2013.
- Galilei G., *Dialog o dwu najważniejszych układach świata – Ptolemeuszowym i Kopernikowym*, PWN, Warszawa 1962.
- Gan-Krzywoszyńska K., Leśniewski P., *Kazimierz Ajdukiewicz (1890-1963)*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2016.
- Garber D., *Descartes' physics*, w: J. Conttingham (red.), *The Cambridge Companion to Descartes*, Cambridge University Press 2005.
- Gąsiorowski A., Topolski J. (red.), *Wielkopolski Słownik Biograficzny*, PWN, Warszawa – Poznań 1981.
- Goćkowski J., *Ethos nauki i role uczonych*, Wydawnictwo i Drukarnia Secesja, Kraków 1996.
- Goćkowski J., *Funkcja autorytetów naukowych w świecie uczonych*, w: P. Rybicki, J. Goćkowski (red.), *Autorytety w nauce*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wyd. PAN, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk 1980.
- Hawking J., *Moje życie ze Stephenem. Podróż ku nieskończoności*, Świat Książki, Warszawa 2013.
- Hawking S., *Krótką historia czasu – od wielkiego wybuchu do czarnych dziur*, Zysk i S-ka, Poznań 1996.
- Heller M., Niekricz A., *Utopia u władzy*, Zysk i S-ka, Poznań 2016.
- Highfield R., Carter P., *Prywatne życie Alberta Einsteina*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1995.
- Juszkiewicz A.P. (red.), *Historia matematyki*, t. II: *Matematyka XVII stulecia*, PWN, Warszawa 1976.
- Honoris Causa. Księga pamiątkowa ku czci Leszka Kołakowskiego*, Wyd. Łódzkie, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1994.
- Husserl E., *Medytacje kartezjańskie*, PWN, Warszawa 1982.
- Jałocha B., *Model kariery akademickiej w Stanach Zjednoczonych*, „Zarządzanie Publiczne” 3(7)/2009, Zeszyty Naukowe Instytutu Spraw Publicznych Uniwersytetu Jagiellońskiego.
- Jolley N., *The reception of Descartes' philosophy*, J. Conttingham (red.), *The Cambridge Companion to Descartes*, Cambridge University Press 2005.
- Juran J., *Juran on Quality by Design*, Free Press, New York 1992.
- Kierul J., *Izaak Newton. Bóg, światło i świat*, Quadrivium, Wrocław 1996.

- Kokowski M., *Różne oblicza Mikołaja Kopernika. Spotkania z historią interpretacji*, Instytut Historii Nauki PAN, Warszawa – Kraków 2009.
- Kołąkowski L., *Diabeł kłamie również, kiedy mówi prawdę*, w: *Honoris Causa. Księga pamiątkowa ku czci Leszka Kołąkowskiego*, Wyd. Łódzkie, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź, 1994.
- Kołąkowski L., *Główne nurty marksizmu. Powstanie – rozwój – rozkład*, Aneks, Londyn 1988.
- Kołątaj H., *Wybór pism naukowych*, PWN, Warszawa 1953.
- Kumor B. ks., *Historia Kościoła*, część 6, Wyd. KUL, Lublin 1985.
- Le Goff J., *Inteligencja w wiekach średnich*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 1997.
- Maddox B., *Rosalind Franklin: The Dark Lady of DNA*, Harper Perennial 2003.
- Manuel F.E., *Portret Izaaka Newtona*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998.
- Matysiak J., *Stefan Błachowski (1889-1962)*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2017.
- Miłosz Cz., *Zniewolony umysł*, Wyd. Literackie, Kraków 1989.
- Moreau R., *Marin Mersenne et la naissance de l'esprit scientifique*, Edition Annales, Perros Guirec 2012.
- Mosakowski R., *Szkolnictwo wyższe w krajach Unii Europejskiej. Stan obecny i plany reform*, Wyd. Politechniki Gdańskiej, Gdańsk 2002.
- Muir J., *Of men and numbers : the story of the great mathematicians*, Dover Publications, New York 1996.
- Olby R., *Francis Crick: Hunter of Life's Secrets*, Cold Spring Harbor Laboratory Press.
- Olby R., *The Path to The Double Helix: Discovery of DNA*, MacMillan, London 1974.
- Ostrowski A. (red.), *Zbiór przepisów o szkolnictwie akademickim. Ustawy – rozporządzenia – ogólniki*, Książnica Atlas, Lwów – Warszawa 1938.
- Pais A., *Czas Nielsa Bohra*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1991.
- Pearson R., *Voltaire Almighty: a life in pursuit of freedom*, Bloomsbury Publishing, Bloomsbury 2005.
- Poincaré H., *Wartość nauki*, Warszawa 1908. Szerzej w tej kwestii por. Z. Drozdowicz, *O racjonalności w filozofii nowożytnej. Wykłady*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2008.
- Pomeau R., *La religion de Voltaire*, A.G Nizet, Paris 1995.
- Popper K.R., *Spółczesność otwarte i jego wrogowie*, t. 2, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 2006.
- Popper K.R., *Wiedza obiektywna*, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 1992.
- Porfiriusz, *Żywot Pitagorasa*, Epsilon, Wrocław 1993.
- Puślecki Z.W., *Zarządzanie strategiczne a idea uniwersytetu*, w: *Uniwersytety. Tradycje, dzień dzisiejszy przyszłość*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2009.
- Quinn S., *Życie Marii Curie*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1997.
- Ranke L. von, *Dzieje papieżstwa w XVI-XIX wieku*, t. 1, PIW, Warszawa 1974.
- Reale G., *Historia filozofii starożytnej*, t. I, Wyd. KUL, Lublin 1993.
- Reston J. Jr., *Galileusz*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998.

- Ridley M., *Francis Crick: Discoverer of the Genetic Code (Eminent Lives)*, Harper Collins, New York 2006.
- Rodis-Lewis G., *Descartes' life and the development of his philosophy*, J. Conttingham (red.), *The Cambridge Companion to Descartes*, Cambridge University Press 2005.
- Rorty R., *Autobiografia intelektualna*, „Przegląd Filozoficzny” Rocznik 20, 3(79), Warszawa 2011.
- Schmidt A., *Republika uczonych. Krótka opowieść z obszaru końskich szerokości*, PIW, Warszawa 2011.
- Shaftesbury A.A.C., *List o entuzjazmie*, Wyd. Naukowe UMK, Toruń 2007.
- Sikorski J., *Prywatne życie Mikołaja Kopernika*, Pracownia Wydawnicza Elset, Olsztyn 2011.
- Słabek H., *Intelektualistów obraz własny w świetle dokumentów autobiograficznych. 1944-1989*, Książka i Wiedza, Warszawa 1997.
- Sztumski J., *Autorytet i prestiż uczonego*, w: P. Rybicki, J. Goćkowski (red.), *Autorytety w nauce*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wyd. PAN, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk 1980.
- Trevelyan G.M., *Historia społeczna Anglii*, PIW, Warszawa 1961.
- Twardowski K., *O dostojeństwie Uniwersytetu*, Uniwersytet Poznański, Poznań MCMXXXIII.
- Voltaire, *Elementy filozofii Newtona*, PWN, Warszawa 1956.
- Voltaire, *Listy o Anglikach albo Listy filozoficzne*, PIW, Warszawa 1953.
- Walczak M., *Szkolnictwo wyższe i nauka w latach wojny i okupacji 1939-1945*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk 1978.
- Walicki A., *Odpowiedź na ankiety „Przeglądu Filozoficznego” w sprawie kondycji polskiej filozofii*, „Przegląd Filozoficzny” 1/2014.
- Watson J.D., *Podwójna helisa. Historia odkrycia struktury DNA*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1995.
- Watson J.D., *The Annotated and Illustrated Double Helix*, ed. by Alexander Gann and Jan Witkowski, Simon & Schuster 2012.
- Weber M., *Etyka protestancka a duch kapitalizmu*, cz. III: *Asceza a duch kapitalizmu*, Test, Lublin 1996.
- Weber M., *Gospodarka i społeczeństwo. Zarys socjologii rozumiejącej*, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 2002.
- Weber M., *Nauka jako zawód i powołanie*, w: Z. Krasnodębski, M. Weber, Wiedza Powszechna, Warszawa 1999.
- White M., Gribbin J., *Darwin. A life in Science*, Simon and Schuster Ltd 1995.
- White M., Gribbin J., *Darwin. Życie uczonego*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998.
- Wilkins M., *The Third Man of the Double Helix: The Autobiography of Maurice Wilkins*, Oxford University, Oxford 2003.
- Wolter, *Listy o Anglikach albo Listy filozoficzne*, PIW, Warszawa 1953.

# Wykaz monografii autorskich

1. *Kartezjusz a współczesność*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 1980.
2. *Nowożytna kultura umysłowa Francji*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 1983.
3. *O Bogu, Rozumie, Naturze i Wielkim Eklektyzmie. Szkice z filozofii francuskiej*, Glob, Szczecin 1986.
4. *Intelektualizm i naturalizm w nowożytnej filozofii francuskiej. Wybrane postacie*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 1987.
5. *Konwencjonalizm w nowożytnej filozofii francuskiej*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 1989.
6. *Główne nurty w nowożytnej filozofii francuskiej*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 1991.
7. *Antynomie Pascala*, Kantor Wydawniczy SAAW, Poznań 1993.
8. *Excellentia Universitatis. Szkice o Uniwersytecie*, Wyd. Fundacji Humaniora, Poznań 1995.
9. *Z perspektywy końca pewnej epoki. Szkice bez mała filozoficzne*, Wyd. Fundacji Humaniora, Poznań 1997.
10. *Sekty religijne w nowożytnej Europie*, Wyd. Fundacji Humaniora, Poznań 2000.
11. *Uczelnie, uczenie, uczeni*, Kurpisz, Poznań 2003.
12. *Filozofia włoska w epoce Odrodzenia*, Wyd. Fundacji Humaniora, Poznań 2004.
13. *Filozofia francuska w epoce Oświecenia*, Wyd. Fundacji Humaniora, Poznań 2005.
14. *Liberalizm europejski*, Wyd. Forum Naukowe, Poznań 2005.
15. *Filozofia Oświecenia*, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 2006.
16. *O racjonalności życia społecznego. Wykłady*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2007.
17. *O racjonalności w filozofii starożytnej i odrodzeniowej. Wykłady*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2008.
18. *O racjonalności w filozofii nowożytnej. Wykłady*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2008.
19. *O racjonalności w religii i w religijności. Wykłady*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2009.
20. *O racjonalności w religii i w religijności (raz jeszcze). Wykłady*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2010.
21. *Społeczne następstwa racjonalizacji religii*, Wyd. Naukowe WNS UAM, Poznań 2011.
22. *Filozofia włoska w epoce Odrodzenia i Oświecenia*, Wyd. Naukowe WNS UAM, Poznań 2012.
23. *Standards of philosophical rationality. Traditions and modern times*, LIT Verlag, Berlin 2013.
24. *Standards of religious rationality. Tradition and modern times*, LIT Verlag, Berlin 2013.
25. *Rationality standards of social life. Traditions and the present*, LIT Verlag, Berlin 2013.
26. *Essays on European liberalism. History and ideology*, LIT Verlag, Berlin 2013.
27. *Kartezjański racjonalizm. Zrozumieć Kartezjusza*, Wyd. Naukowe WNS UAM, Poznań 2014.
28. *Cartesian Rationalism. Understanding Descartes*, Peter Lang, Frankfurt am Main 2015.
29. *Comprendre les Lumières*, Wyd. Fundacji Humaniora, Poznań 2016.
30. *Higher Education Institutions in the Process of Transformation and Modernization. Global and Local Issues*, LIT Verlag, Zürich 2018.

